

CO FINOWIE MAJĄ W GŁOWIE

WOLFRAM EILENBERGER

GO FINOWIE MAJĄ W GŁOWIE

O JEDNYM TAKIM, CO
POŚLUBIŁ FINKĘ

Przełożyła z niemieckiego
Wioletta Mazurek

Wydawnictwo Dolnośląskie

Tytuł oryginału

*Finnen von Sinnen: Von einem, der auszog,
eine finnische Frau zu heiraten*

Zdjęcie na okładce

© Andrejs Zemdega

Redakcja

Bogusława Otfinowska

Korekta Iwona

Huchla

Redakcja techniczna

Adam Kolenda

© 2010 by Blanvalet Verlag, a division of Verlagsgruppe
Random House GmbH, München, Germany

Polish edition © Publicat SA. MMXII

ISBN 978-83-245-9173-2

Wrocław

Wydawnictwo Dolnośląskie

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

oddział Publicat SA. w Poznaniu

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66

e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

w ww.wydawnictwodolnoslaskie.pl

* Idę zjeść sielawę. *Muikku* (fiń.) - sielawa, gatunek ryby z rodziny lososiowatych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza, chyba że zaznaczono inaczej).

Mów po fińsku, abyś zrozumiał sam siebie.

Matti Pellonpaa

YARHAISET OPIT - POCZĄTKI

YKSI, KAKSI, KOLME

Ależ ona była piękna! I taka wysoka. Jej długie rudawe włosy opadały miękko na kruche ramiona. Szlachetna bledź jej ciała harmonizowała w subtelny sposób z głębokim różem piersi. Stała przede mną, była bardziej zaskoczona niż onieśmiewona, uśmiechnęła się do mnie, popogładziła mnie po włosach i delikatnie oraz czule poprosiła, abym jej zdradził, gdzie schowałem ręcznik.

Istnieje ważny powód, by rozpocząć moją opowieść od spotkania z ciocią Verą. Była pierwszą kobietą, którą zobaczyłem nagą. To z ciocią Verą, przede wszystkim, wkroczyła w moje życie Finlandia. Jako studentka pedagogiki społecznej wprowadziła się na nasze poddasze. Tamtego dnia brała po raz pierwszy prysznic, a jakiś czas potem straciła swoje serce dla dyplomowanego nauczyciela szkoły średniej, który był rozwodnikiem i z którym to miałem odtąd spędzać każdy letni urlop w Finlandii. Elmar, bo tak miał na imię ów mężczyzna z tytułem doktora nauk chemicznych, nosił krzaczastą białą brodę i angażował się w działania na rzecz ochrony środowiska.

* Jeden, dwa, trzy (fiń.).

W oczach mojej mamy był wiec „prawdziwym pomysłem”.

To pierwsze i - jak mniemam - decydujące o moim dalszym życiu spotkanie z Finlandią nie było bynajmniej przypadkiem. Tego, co Niemcy wiedziały pod koniec lat siedemdziesiątych o Finlandii, dowiedziały się od Elmara i jemu podobnych. Wtedy tylko pasjonaci, z zawodu urzędnicy państwowi, byli gotowi przetrwać dobrowolnie, bez prądu oraz bieżącej wody, cztery tygodnie nieustannego deszczu w domku letniskowym o powierzchni 12 m² i zapłacić za to cztery razy więcej niż za urlop w luksusowym apartamencie nad Morzem Śródziemnym. Tylko ci, którzy poważnie traktowali ekologię oraz socjalizm jako alternatywę dla ówczesnej rzeczywistości, chcieli doznać takich wrażeń.

Pewnego sierpniowego wieczoru Elmar i Vera, wyraźnie wypoczęci, siedzieli pod markizą na tarasie naszego domku szeregowego i zachwycali się losiami, lasicami oraz żmijami zygzakowatymi, powracali myślami do lasów pełnych jagód i pobytów w saunie, do kurek zbieranych w lesie oraz latryn, ale przede wszystkim tęsknili za tą niesamowitą ciszą, która, jak mawiała ciocia Vera, „była po prostu nie do opisania”.

Na delikatne zarzuty, że wszystko to, pomijając losie i pobyty w tamtejszych saunach, można przeżyć przecież w niedalekim Szwarcwaldzie, odpowiadali opowieściami o baśniowym Rovaniemi. Udało im się wreszcie odwiedzić to miasto i zobaczyć je w blasku słońca polarnego dnia. Rovaniemi zostało swego czasu w niekzemy sposób zrównane z ziemią przez wycofujących się Niemców. Mój

ojciec, dostatecznie pijany, by móc być sobą, powiedział tamtego wieczoru, że bardziej przekonujące wydaje mu się założenie, iż to w sztok pijani Lapończycy omyłkowo puścili z dymem tych kilka drewnianych chat.

Zachowałem w pamięci tamto spotkanie, ponieważ doszło wtedy do poważnego i burzliwego sporu, w czasie którego Elmar poprzysiął nigdy więcej nie przekroczyć progu naszego domu.

To był oczywiście nonsens. Elmar nie dotrzymuje postanowień. Elmar zawsze wraca. Przyszedł nawet na naszą uroczystość, mimo że ani moja żona, ani ja nie zaprosiliśmy go imiennie. I co z tego? Przecież należy do naszej rodziny.

Kłótnia tamtego wieczoru to był absolutny wyjątek. Finlandia, proszę mi wierzyć, jest idealnym tematem na rozpoczęcie rozmowy - na imprezach, świętach rodzinnych, wernisażach, seminariach dokształcających, w przedziale pociągu. Odgrywa rolę negocjatora w pełnym tego słowa znaczeniu, a w dyskursie teoretycznym gra w tej samej lidze co Beatlesi i dalajlama. Neutralna politycznie, ekologicznie zrównowazona, przodująca w technologiach, wzorowa wychowawczo, językowo kuriozalna, pionierska w kwestiach emancypacji... Publiczne wyrażanie niechęci wobec narodu fińskiego należy interpretować wyłącznie w kontekście ogólnej nienawiści do człowieka, co jest sprzeczne z europejskim modelem postrzegania świata na początku XXI wieku.

Zazwyczaj już pierwsza interesująca pogawędka poprowadzi nas przez tysiąc jezior oraz niuanse ugrofińskiej

rodziny języków* aż do zalet niedocenianego gulaszu z renifera. To z kolei umożliwi koneserowi sztuki kucharskiej podjęcie głębokiej dyskusji o piętnastu przypadkach istniejących w języku fińskim lub o jedynych w swoim rodzaju grupach skalnych występujących w środkowej części kraju.

Oczywiście rozmowa przybierze swobodniejszy przebieg, jeśli zagłębimy się w rozważania na temat wariantów pieszych wędrówek po tak zwanej Pętli Niedźwiedzia. Proszę nie zapominać, że należy wspomnieć również o komarach i mieć zawsze w pogotowiu imponującą historię wędkarską w stylu „Moja walka z pstrągiem tęczowym”.

Pierwszą, potencjalnie niezręczną przerwę w rozmowie można skutecznie zatuszować, czyniąc uwagę na temat małomówności Finów lub zadając pytanie: Czym właściwie zajmuje się Matti Nykanen**? Alkoholowe

* *Fiński* to przymiotnik od rzeczownika *Fin*, odnosi się więc do narodowości. Mówimy o *narodzie fińskim, języku fińskim, kulturze fińskiej* - narodzie, języku czy kulturze Finów. Istnieje również przymiotnik *finlandzki*, który jest całkowicie poprawną i normatywną formą, ale nie jest tożsamy z przymiotnikiem *fiński*. *Finlandzki* to słowo utworzone od nazwy *Finlandia* i wskazujące na związek z państwem. Gdyby zatem mówiono np. o kulturze różnych narodów zamieszkujących Finlandię, posłużono by się właśnie tą formą - *kultura finlandzka*. Najczęściej słowo to stosuje się w połączeniach z rzeczownikiem *obywatel*: *obywatel finlandzki* to tyle, co *obywatel Finlandii*. Finlandczyk jest to obywatel Finlandii jako państwa, niezależnie od tego, czy jest on narodowości fińskiej, a więc czy jest Finem. Fin to właśnie członek narodu fińskiego, który nie musi ani być obywatelem Finlandii, ani mieszkać na jej terytorium, choć powszechnie przyjęło się nazywać Finami po prostu mieszkańców Finlandii (Rada Języka Polskiego).

** Matti Ensio Nykanen - fiński skoczek narciarski, pięciokrotny medalista olimpijski, dziesięciokrotny medalista mistrzostw świata, czterokrotny zdobywca Pucharu Świata, uznawany za jednego z najlepszych zawodników w historii skoków narciarskich.

rozważania (sam Jelecyn pił wyłącznie wódkę Finlandię!) doprowadzą Państwa niepostrzeżenie do hymnów wielbiących najnowszy film Kaurismakiego, przy czym nierozstrzygnięta może pozostać kwestia, czy nakręcił go Mika czy Aki*.

Jeśli interesuje nas polityka społeczna, to najwyższa pora, aby wspomnieć na marginesie o badaniu PISA oraz, o ile wydaje się to w danej chwili stosowne, należy wysnuć wniosek, że u podstaw skandynawskiej koncepcji szkolnictwa leży wizyta fińskiej grupy badawczej u byłej minister oświaty NRD - Margot Honecker.

Możemy jednak uczynić rozmowę łatwiejszą i wybrać temat z dziedziny techniki i innowacji. Tak, to prawda, Nokia zaczynała swego czasu od produkcji gumowców i prezerwatyw, ale żeby całość ująć właściwie, należy przyznać, że Linux*** jest lepszy od Windowsa.

I w ten oto sposób przeszlibyśmy do kultury wysokiej.

Pisarz J.R.R. Tolkien, tworząc swoje dzieło *Władca Pierścieni*, wzorował się - jak wiadomo - na fińskim eposie narodowym *Kalevala*. Należałoby również wyrazić swój zachwyt nad niedużymi i nieprzemijająco pięknymi wazonami w kształcie nerki autorstwa Alvara Aalto**** (długie „a“!).

* Aki Kaurismaki - fiński reżyser, scenarzysta i aktor filmowy, jeden z najbardziej uznanych reżyserów skandynawskich, brat Miki Kaurismakiego, który również jest reżyserem.

** PISA-cykl badań Programu Międzynarodowej Oceny Uczniów.

*** Linus Benedict Torvald - fiński programista, stworzył jądro nowego systemu operacyjnego - Linux.

**** Alvar Aalto - fiński modernistyczny architekt i projektant form przemysłowych.

Najlepiej jednak będzie uciec się w tym momencie do wczesnych symfonii Sibeliusa* oraz do arii z oper Wagnera w olśniewającym wykonaniu Karity Mattili** (słuchałem jej śpiewu ubiegłego lata w Savonlinnie - urzekająca, naprawdę!). Jeszcze trzeba wspomnieć o współczesnym genialnym kompozytorze. Zaraz, zaraz, jak on się nazywa? Arno, Arvo... Arvo Part. Ten niezwykle człowiek pochodzi z Estonii. Należy to powiedzieć. Nikt nie weźmie tego Państwu za złe. W sprawach dotyczących Finlandii każdy chętnie dowie się czegoś nowego.

Ależ oczywiście, o Finlandii można rozmawiać, niekoniecznie odwołując się do jej walorów krajoznawczych czy przedstawicieli świata kultury. Z moich doświadczeń wynika, że 90% Niemców wie, że *olut* oznacza „piwo” i podobna - ku mojemu zaskoczeniu - liczba rodaków potrafi spontanicznie odliczyć *yksi, kaksi, kolme* (czy znacie Państwo trzy pierwsze liczebniki w języku tureckim?). Nawet z pozostałymi 10% tworzącymi frakcję RTL 2 znajdują Państwo natychmiast wspólny temat, ponieważ obie strony bardzo zainteresują urlopowe, wyolbrzymione, doznane o świcie przeżycia z wyspy, której mieszkańcy mówią dialektem *mallorquí*. Do diaska, jak nazywa się ta wyspa?

Trzeba przyznać, że nazwy własne niejednemu sprawiają problem. Ale niewątpliwie jedno jest pewne: Finlandia czyni dobrze! Ciału i duszy. I żadne pochopne działania tego nie zmieniają.

* Jean Sibelius - muzyczny patron Finów, uznawany za twórcę narodowego stylu w muzyce fińskiej.

** Karita Mattila - fińska śpiewaczka operowa.

Także Vera, po raz pierwszy od bardzo dawna, czuje się wyjątkowo dobrze; dla uczczenia dzisiejszego dnia pozwala sobie nawet na kieliszek truskawkowego kruszonu. Kiedy jednak pytam ją o sprawy zawodowe, dostrzegam znów smutek w jej oczach: „Tak to już jest”. Po kolejnym łyku kruszonu opowiada nam o swoich uczennicach szkoły zawodowej, które przychodzą do klasy spóźnione i przemęczone, ponieważ spędziły noc, świadcząc usługi jako nieletnie prostytutki. Nie, energicznie potrząsa głową moja fińska żona, ten problem nie występuje w Finlandii. Tak też sądziła nasza dobrotliwa Vera. A moja żona - nieoczekiwanie - zaczyna ubolewać nad tym, że Bob i Zaida nie przyszli.

Naprawdę szkoda. Z całego serca pragnęlibyśmy mieć ich przy sobie, także z przyczyn biograficznych. Bob i Zaida byli moim pierwszym punktem zaczepienia w Kalifornii. Bob, daleki krewny Elmara, znany nam wyłącznie z opowieści, nalegał, aby pozwolono mu odebrać mnie z lotniska. Obiecał przyjechać kabrioletem, zapewniając jednocześnie moich rodziców, że natychmiast go rozpoznam. Nawet w samej Kalifornii nie ma przecież tak wielu osób mierzących dwa metry i pięć centymetrów.

Miał rację. Zobaczyłem mężczyznę w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat w czarnych okularach przeciwsłonecznych firmy Ray-Ban. Stał obok czerwonej corvet-ty. Już po kilku minutach stwierdziłem, że jest najbardziej odjazdową istotą, jaką do tej pory spotkałem. To przeświadczenie wynikało z pewnością też z faktu, że Bob zajmował się zawodowo projektowaniem napędów rakie-

towych dla przemysłu zbrojeniowego, o czym nie mógł zbyt wiele mówić. I tego się trzymał.

Spróbowaliśmy ponownie odtworzyć każdą godzinę mojego pobytu w Kalifornii. Właśnie wtedy, na Fisherman's Wharf w San Francisco zobaczyłem po raz pierwszy wąskie oczy mojej fińskiej żony. Pracowała jako sprzedawczyni w sklepie z artykułami sportowymi. A jednak coś się nie zgadzało.

Z jednej strony jestem pewien, że wszedłem do tego sklepu, ponieważ nie omijałem żadnego amerykańskiego sklepu z artykułami sportowymi, z drugiej zaś jestem absolutnie przekonany, że gdyby jednak doszło do owego spotkania, to pozostawiłoby ono trwale wspomnienie. W końcu na naszej planecie może żyć zaledwie garstka ludzi, którzy są tak wysocy jak Bob i jednocześnie wykazują uderzające podobieństwo do mojej młodej cioci Very.

Wątpić w pierwsze kalifornijskie spotkanie każe ponadto całkiem konkretne wspomnienie tamtego popołudnia na Fisherman's Wharf. Pamiętam, że Bob zabrał na wycieczkę również swojego psa, owczarka staroangielskiego bobtaila i kiedy już chyba po raz piętnasty zostaliśmy na ulicy tak po prostu zagadnięci przez kolejną młodą damę, stwierdził jakby mimochodem, że niepozorny bobtail jest Wunderwaffe* - w najczystszej formie.

W Finlandii, nawiasem mówiąc, nigdy dotąd nie spotkałem bobtaila. Podobnie jak owczarka niemieckiego. Prefe-

* Współcześnie jako *Wunderwaffe* (niem. *cudowna broń*) określa się ukryty atut, który może zapewnić zwycięstwo.

rowana przez miejscowych, bardzo wytrzymała rasa psów nazywa się *suomenpystykorva* (szpic fiński), a jej przedstawiciele są powszechnie uważani za zwierzęta niezbyt inteligentne.

Moja fińska żona była w młodości właścicielką szczególnie rzadkiego śnieżnobiałego egzemplarza, który reagował na piękne imię Lumikki (Królowna Śnieżka). Pewnego mroźnego zimowego dnia Lumikki wymknął się przez drzwi kuchenne z domu, aby zakosztować wolności. Po sprawdzeniu warunków pogodowych postanowił jednak spędzić dalszą część popołudnia, które zalala już ciemność, pod rodzinnym samochodem zaparkowanym przy wyjeździe z garażu. Królowna Śnieżka zapadła więc w błogi sen, by półtorej godziny później zostać przejechana przez spieszącą na zakupy panią domu, która ruszyła na wstecznym biegu.

Ta tragiczna i jednocześnie bardzo fińska historia utwierdziła moją wówczas siedemnastoletnią żonę w przekonaniu, że przyszedł czas, aby opuścić na kilka lat dom rodzinny, kraj oraz drużynę narodową i przyjąć hojne stypendium dla graczy koszykówki od jednego z uznanych uniwersytetów kalifornijskich.

Ach, jak jedno wynika z drugiego.

- *Fugung** - szepcze Vera i zamyślona spogląda na jezioro. Moja żona nie słyszała dotąd tego słowa, więc chce dowiedzieć się ode mnie, jak brzmi ono w języku angielskim. Nie mam pojęcia.

Naprawdę nie wiem.

Zrządzenie (niem.).

ZIEMNIACZANI OJCOWIE

Mamy już za sobą rozwidlenie w kierunku Petajajarventie, przed nami kręte szutrowe ścieżki prowadzące coraz głębiej w las. W gęstwinie drzew dostrzegamy domki letniskowe, a każda z leśnych dróg to tajemnica rodzinna. Milczymy, Aulis i ja - tak jest zawsze, gdy siedzimy w samochodzie. To cudowna sprawa nie móc zrozumieć własnego teścia. W każdym razie jestem głęboko przekonany, że powyższa okoliczność wpływa pozytywnie na naszą wzajemną relację, którą uważam - nawiasem mówiąc - za doskonałą.

Tego, co wiem o moim teściu, którego wszyscy nazywają Ukki, dowiedziałem się od mojej żony. Jest szóstym z jedenaściorga rodzeństwa. Jego ojciec brał udział w działaniach wojennych zimą 1939/1940 roku. Ciężko ranny powrócił w rodzinne strony i po trzech latach zmagania się z ułomnością zmarł w swoim domu z powodu odniesionych obrażeń. Jak można było żyć z chorym mężem i jedenaściorgiem małych dzieci w domku letniskowym nad jeziorem bez prądu i bieżącej wody, w przerażającym zimnie utrzymującym się przez osiem miesięcy w roku?

Aulis, mając 13 lat, zrezygnował ze szkoły i zaczął pracować, a ponieważ jego starsze rodzeństwo wyemigrowało właśnie do Kanady, to przede wszystkim na nim spoczął obowiązek utrzymania rodziny. Dopiero w wieku 21 lat udało mu się kupić za zaoszczędzone pieniądze lodówkę. Stoi do dziś, jak najbardziej sprawna, w kuchni w *mokki**. Aulis reperował ją wielokrotnie.

Potrafi, widziałem to na własne oczy, naprawić dosłownie wszystko: od latarek kieszonkowych, przez śrutówki, aż do parowców kołowych, rozbiera i składa telefony komórkowe, sieci dryfujące, a nawet pompy studniowe. Aulis zaprojektował i własnoręcznie wybudował każdy z trzech domów, w których mieszkała jego rodzina. Nawet samochód, którym się poruszamy, ciemnoniebieski fiat 500, jest w nowej, wymyślonej przez niego wersji zbiorem części zamiennych pochodzących z czterech dekad.

Nigdy nie słyszałem, aby klócił się z kimkolwiek czy użalał. Jeśli coś mu nie odpowiada - przecież i tak się zdarza - to opuszcza pomieszczenie, w którym przebywa, i wycofuje się na kilka godzin, czasami nawet na kilka dni do swojej *pompeli*.

I tu muszę wyjaśnić znaczenie słowa *pompeli*. Każdy Fin ma swoją *pompeli*. To może być szopa, pomieszczenie piwniczne lub gospodarcze. W każdym razie jest to miejsce odpowiadające idei *pompeli* i zasadzie funkcjonowania małżeństwa, które trzyma w tajemnicy wszystko to, co dzieje się w *pompeli* i nad czym pan domu tu

Domek letniskowy (chata) położony w lesie nad jeziorem (fin.).

majsterkuje. Dlatego też niestety niewiele wiadomo, jak jest urządzona i w co jest wyposażona *pompeli* Aulisa. Jedno jest jednak pewne: od wielu lat właśnie tu oddaje się swojej pasji radioamatora, ponieważ każdego roku z okazji świąt Bożego Narodzenia przychodzą do domku nad jeziorem kartki z życzeniami od niemieckich, duńskich, argentyńskich, australijskich, a nawet koreańskich przyjaciół.

Często zadaję sobie pytanie, jak jednojęzycznemu Finowi udaje się utrzymywać przez dziesiątki lat owe międzynarodowe przyjaźnie. Ale to tylko jedna z wielu zagadek, których rozwiązania należy raczej zaniechać, jeśli kiedykolwiek chcemy poczuć się w Finlandii jak we własnym domu.

Przed kilkoma minutami, kiedy odwoziliśmy moich rodziców do domku gościnnego znajdującego się po drugiej stronie jeziora, mój ojciec użył swojego najlepszego angielskiego, by wyjaśnić Aulisowi, jak bardzo ten fiński las przypomina mu lasy z czasów jego młodości, którą spędził w Saksonii. Opowiedział mu również o swoich czterech braciach, o potrzaskach na lisy w opancerzonych bunkrach i o pięknych okoniach w sadzawce.

- *Yes, nice forest, nice forest** - odpowiadał wciąż Aulis. Mój ojciec szybko więc zakończył tę jednostronną konwersację.

W wieku trzynastu lat ojciec nie szukał pracy, lecz uciekł z NRD. Nigdy nie opowiadał o czasach po uciecz-

* Tak, ładny las, ładny las (ang.).

ce. Tylko jeden raz, kiedy zagroziłem przerwaniem nauki, wspomniał o pierwszym roku spędzonym w Allgau, w obozie dla uchodźców, o codziennej dwugodzinnej jeździe pociągiem do szkoły i o dniu, kiedy pierwszą osobą, którą dostrzegł ze swojego piętrowego łóżka, był mężczyzna dyndający pod stropową belką baraku na powrozie uwiązanym wokół szyi.

Nigdy nie widziałem mojego ojca naprawiającego cokolwiek, hm, nawet nie widziałem go pracującego. W czasach, do których sięga moja pamięć, przeszedł właśnie na wcześniejszą emeryturę. Nie ma także *pómpeli*. Tylko stary stojący zegar dębowy, w którego wnętrzu ukrywa puste butelki.

Tak, to jest coś, znów cały las pełen Niemców, ojciec podjął ostatnią próbę rozmowy, wysiadając z samochodu.

- *Yes, nice forest, nice forest.*

- Kiedy mój ojciec miał pięć lat - mówię po fińsku, przerywając ciszę -jego ojciec zginął na wojnie.

Trudziłem się długo nad poprawną gramatycznie konstrukcją tego zdania.

- *Juuuuu* - odrzekł Aulis.

Tak mówią zawsze Finowie, zanim udzielą odpowiedzi w swoim ojczystym języku. Najczęściej jednak *owo juu* jest już odpowiedzią. Nie wydychają wtedy powietrza tak, jak należałoby się tego spodziewać, lecz wciągają dźwięk w siebie, pochłaniają go. Niewprawne ucho słyszy w tym odgłosie przygnębienie i odrobinę melancholii.

Aulis kieruje samochód na prawy skraj drogi i zatrzymuje go.

- *Siellci* - mówi i wskazuje na stromą, pokrytą gęstym mchem ścianę skalną znajdującą się po drugiej stronie jeziora. - Tam, w jednej z jaskiń ukrywał się przez dwa lata po zakończeniu wojny Rosjanin. Wytrzymał tak długo jak wilk.

Przytakuję i jestem pewien, że zrozumiałem każde słowo.

O tym, co stało się z Rosjaninem, kiedy złapali go mieszkańcy wioski, Aulis nie wspomina. Patrzy mi jednak prosto w oczy, odczekuje kilka sekund i dodaje ochryplym głosem:

- *Oli kova aika*. - To były ciężkie czasy. - *Kova aika*.

A więc to jest ten pakt, który chce zawrzeć ze mną, jego oczekiwanie wobec mnie: chciałby, abym stał się mężczyzną, który troszczy się o jego córkę i wnuki, jest gotowy oddać za nich wszystko, jest przy nich w dobrych i złych chwilach, ale przede wszystkim byłby z nimi, gdyby pewnego dnia rozpętała się nad krajem wojenna zawierucha. Aulis wie, że nie jestem właściwą osobą do wypełnienia tego zadania. Nie przeżyłbym w tym lesie nawet trzech dni bez mojej fińskiej żony - także latem. On też wie, że i ja to wiem.

- *Ymmdrrdn* - przytakuję i przypieczętuję sojusz ponad moje siły.

To jest dopiero początek. Jutro przyrzeknę jego córce miłość po wieczne czasy przed Bogiem, w którego nie wierzę, i przed ludźmi, których nie rozumiem.

Fiat zapala dopiero przy trzeciej próbie. Kiedy wjeżdżamy w ostatni zakręt, dostrzegam Mummi na werandzie

* Tam (fiń.).

** Rozumiem (fiń.).

mokki, który właściwie nie jest już prawdziwym *mokki*, lecz domem z bali o powierzchni 100 m², zbudowanym według najnowszych technologii z przyłączem bieżącej wody, ogrzewaniem podłogowym, dostępem do lokalnej sieci komputerowej oraz 120 kanałami telewizji cyfrowej.

Mummi martwi się, że zabraknie ziemniaków. Od kilku dni nie mówi o niczym innym. Ziemniaki to jest to, czego chcą Aulis i jego bracia. Przejdą obok makaronów i sałatek, nawet nie spojrzą na przystawkę z krewetek i deser tiramisu. Ziemniaki, wyłącznie ziemniaki, tylko one mogą ich nasycić. Znam to - podobnie reagują mój ojciec i jego bracia.

Jeszcze zanim udało się mającemu dwa metry wzrostu Aulisowi wygramolić z fiata 500, Mummi wykrzykuje w naszym kierunku pytanie. Brzmi to jak *peruna* i *pubelin*. Czy zadzwonił ponownie do firmy cateringowej w sprawie ziemniaków?

- *Juu* - wzdycha Aulis, znika w swojej *pompeli*, aby powrócić wkrótce z dwudziestopięciokilogramowym workiem ziemniaków przerzuconym przez ramiona.

Chętnie bym mu pomógł, ale od kilku lat nie prosi mnie już o pomoc.

SZCZĘŚCIE

- *Turun rautatieasema**.

Pierwsze słowa od wielu godzin. Jak w niemym filmie jechaliśmy nocą z lotniska w Helsinkach. Nie ma powitania, nie ma drogowskazów, a w minibarach nikt nie oferuje beзуżytecznych drobiazgów. Nawet autobus sunie bezszelstnie po zaśnieżonych autostradach.

Finlandia, właśnie tak - Finlandia! Jak chętnie opowiadałem o tym każdemu. I jak serdecznie mi gratulowano. To zrozumiałe, jest rok 1995, a aby dotrzeć do Suomi - tak Finowie nazywają swoją ojczyznę - trzeba wybrać kierunek: w górę, na północ. Nawet fakt, że od siedmiu lat żaden ze studentów miasta Heidelberg nie ubiegał się o możliwość wyjazdu do tego kraju w ramach programu Erasmus, nie zmniejszył mojego entuzjazmu. Przeciwnie. Odczytałem to jako jednoznaczne potwierdzenie - jestem w awangardzie.

Mogę sobie darować pisanie listu motywacyjnego, wyjaśniła mi pani w okienku, i jeśli tylko chcę, mogę ruszać natychmiast. Tak też uczyniłem. Dla niej. Przychodzi

* Dworzec w Turku (fiń.).

dzień, w którym dla kobiety emigrujemy do obcego kraju. Podobnie jak dla obcej kobiety opuszczamy własną żonę.

- Turku jest najpiękniejszym miastem w Finlandii - powiedziała, odprowadzając mnie, ciocia Vera.

Możliwe. Ale pierwsze spojrzenie przywodzi na myśl skojarzenie z zamrożoną wersją miasta Karl-Marx-Stadt. Nie przyjechałem jednak, by je podziwiać. Moja Finka przeskakuje z nogi na nogę. Ma na sobie jaskrawoczerwony kombinezon, a na głowie wełnianą czapkę zrobioną własnoręcznie na drutach, ręce grzeje w kieszeniach. Ostatnie spojrzenie na wskaźnik świetlny, godzina: 23.33, temperatura: -37 °C.

Muszę przyznać sam przed sobą, że się boję, ale wysiadam.

- *No moi! Tervetuloa Suomeen**!

- Witaj, moja Miła.

Z pierwszym pocałunkiem znikają obawa i zwątpienie.

Podczas gdy kierowca autobusu przerzuca w bagażniku kolejne walizki, czuję, jak zamarzają mi nozdrza. Każdy oddech to przeszywający ból, zimno przychodzi od środka, przez kości wnika w ciało i nagle jest wszędzie. To ona - natura jako wróg. Z każdą sekundą marzną coraz bardziej. Trzęsę się z zimna, muszę ukryć twarz w dłoniach. Moja Finka, próbując mnie chronić, przytula mnie mocno do siebie i szepcze:

- Masz szczęście, jutro ma być jeszcze zimniej.

To prawda. Jest styczeń, a zima dopiero się zaczęła. Oczywiście, że o tym wszystkim nic jeszcze nie wiem.

* No, cześć! Witaj w Finlandii! (fiń.).

Prawdopodobnie byłoby mi to i tak obojętne. Przecież ona musi nadejść - zima! Jeśli o mnie chodzi, spędzę najbliższe miesiące przede wszystkim w czterech ścianach. Kto potrzebuje światła zewnętrznego, gdy jego dziewczyną jest Finka?

Teraz szybko do domu, tak, tak, bierzemy taryfę, ja płacę, to żaden problem. Taksometr w formie obrazu cyfrowego jest zintegrowany z lusterkiem wstecznym. Niezłe!

Trzymamy się za ręce, szczęśliwi w tę jasną, księżycową noc.

- Czy ty to widzisz? Ten błękit! -

Tak, widzę.

SAN MIGUEL

Oprócz dwóch bezzębnych, palących papierosy rencistów w czarnych kurtkach z dzianiny jesteśmy jedynymi gośćmi. Antonio po raz n-ty wyciera swoim ręcznikiem aluminiową ladę.

- *Otraq**?

- *No, gracias.*

Od przeszło godziny sączymy san miguel** z 0,2-litrowej butelki i jak urzeczeni wpatrujemy się w telewizor zawieszony w lewym górnym rogu lokalnej knajpki Pena. Jesulin, w końcu przyszła i jego kolej, nasz Jesulin - piękny, dumny, odważny. Po raz pierwszy zobaczyliśmy go dwa tygodnie temu, kiedy walczył w sąsiedniej wiosce, a kobiety rzucały swoją bieliznę na czerwony od krwi piasek areny. Zupełnie nie mogliśmy tego pojąć.

- Tak robią tylko w Barbate***. Tamtejsze kobiety są trochę *loco**** - wyjaśnił mrukliwie Antonio i dalej czyścił ladę.

Paso dobie ostatniej tercji, Jesulin tańczy z bykiem.

* Jeszcze jedna? (hiszp.).

** San miguel - piwo hiszpańskie.

*** Barbate - miasto w Hiszpanii nad Oceanem Atlantyckim.

**** Szalone (hiszp.).

- *Toro bravo !*

Moja Finka przytakuje skoncentrowana i zaczyna przesuwac się na swoim drewnianym stolku barowym tam i z powrotem. Dwóch starszuchów siedzących w rogu kiwa do mnie przyjaźnie. Jedno, dwoje uszu wchodzi w rachubę *, ale wszystko zależy oczywiście od ostatniego pchnięcia. Jesulin musi wychylić się daleko nad spuszczone rogami byka, by móc wbić swoją szpadę ruchem z góry na dół w odpowiednie miejsce na karku zwierzęcia i trafić prosto w jego serce. Jednocześnie odsłania swoje serce...

Ho! Byk ugina się, przewraca na bok, ostatnia struga krwi tryska z jego nozdrzy. Z ust mojej żony wyrывa się ostry krzyk. Chce stąd wyjść. Natychmiast.

Upał jest jak ściana. Gdy docieramy do drewnianej bramy, ociekamy potem. Teraz szybko na dziedziniec, gdzie jest chłodno. I trzeba się modlić, aby Miguel nas nie zauważył. Tygodniami nic nie mówił, dopiero wczoraj zażądał od nas w sposób zdecydowany dopłaty. W końcu wynajął mieszkanie jednej osobie. Nic nie widzimy oprócz wysokich jak ludzie roślin konopi i drzew pomarańczowych.

Tak naprawdę wszystko zaczęło się od *droga****, mówią w wiosce, po tym jak opuściła go żona i zabrała dzieci do Szwecji. Prawdopodobnie znowu śpi. Nieważne. Dzisiaj nie wyjdziemy już nigdzie. Także jutro rano nie pójdziemy

* Odważny byk! (hiszp.).

** Kiedy matador pokona byka jednym pchnięciem, zyskuje brawa widowni i ma prawo odciąć sobie na pamiątkę ucho byka, czasem również ogon.

*** Narkotyk (hiszp.).

do szkoły językowej, może dopiero po południu opuścimy mieszkanie - dla Antonia i jego telewizora.

Już dawno przestaliśmy się wstydzić naszej zbrodniczej pasji oglądania korridy, jak również nieobecności na kursie językowym. Nie wstydzimy się również naszych donośnych krzyków, które późnym popołudniem odbijają się echem po uliczkach białej wioski.

Za oknem widać góry Afryki Północnej. Jakby były fatamorganą. *La Paloma de Andalucia*, tak miejscowi nazywają swoją wioskę. Gołębica Andaluzji. Jest położona wysoko na skale i ukryta jak gniazdo. Nocą znów rozbłyśnie, magicznie niebieska w blasku księżyca, tak niebieska - to prawda - jak śnieg w fińską zimową noc.

GLOBALNA WIOSKA

Yo-kyla . Nawet znak drogowy zdaje się drzeć z zimna. Miasteczko studenckie. Wyobrażałem sobie mały pokój w betonowym budynku, a stoimy przed nowym dwupiętrowym domkiem szeregowym, pięć pokoi, dwie łazienki wraz z sauną. Mieszka tu moja przyszła fińska żona z dwiema przyjaciółkami. Jeden z pokoi przygotowały dla mnie; jest dostatecznie dużo miejsca.

To chyba była ta chwila, kiedy przeistoczyłem się w zagorzałego zwolennika fińskiego państwa opiekuńczego. Rachunek za taksówkę wynosił połowę mojego zaplanowanego miesięcznego budżetu. Na szczęście udało się mojej Fince powstrzymać mnie w porę od dania taksówkarzowi 10% napiwku. Tego nie robi się w Finlandii, taki gest jest uważany za obraźliwy!

I jeszcze coś, co musi mi wyjaśnić, no tak, taka mała komplikacja... Jej były chłopak, Amerykanin, powinienem wiedzieć, ten, który z nią z Kalifornii... zupełnie niespodziewanie, kilka tygodni wcześniej powrócił wczoraj z Indii, jest bez dachu nad głową. Powinienem to zrozu-

* Nazwa miasteczka studenckiego w Turku (fin.).

mieć, Mikę jest właściwie jej byłym mężem, ale tylko *pro forma*, nie wolno mi wyciągać pochopnych wniosków, wtedy, w Stanach Zjednoczonych wszystko było dzięki temu prostsze, także z uwagi na wspólną przeprowadzkę do Finlandii, chodziło wyłącznie o zieloną kartę. Chciała powiedzieć mi o tym wcześniej, ale potem pomyślała, to przecież nie jest takie ważne. Mikę ugotował dla nas coś ekstra i jest naprawdę bardzo miły. Chyba nie mam z tym żadnego problemu. A może jednak?

74 °C w ciągu sześciu miesięcy. To było przed siedmioma laty. Po raz ostatni odstawiam oba wiadra na wodę i widzę biały dym unoszący się z sauny przy jeziorze. Aulis i jego woda z rozcieńczonym naparem do polewania kamieni - budzi się duch sauny, *loyly**. Dziwne, ale zupełnie nie pamiętam tamtej pierwszej kolacji. Tylko jedno zdanie brzmi nadal w moich uszach. *It grows on you***, tak Mikę podsumował swój czas spędzony w Finlandii. *It grows on you*.

Jutro będzie świadkiem na naszym ślubie.

* Para (fiń.).

** Coraz bardziej mi się tu podoba (ang.).

ZBLIŻENIE

Uwaga, to ważne:

- *An invitation to sauna is not an invitation to sex**.

Napięta cisza w audytorium, od czasu do czasu słychać nieśmiałą paplaninę, przede wszystkim z pierwszego rzędu, gdzie siedzą Amerykanki. Mój sąsiad z ławki, Gabriele, student nauk ekonomicznych pochodzący z pięknej Florencji, drapie się sceptycznie po bokobrodach. Miał zupełnie inne wyobrażenia - wydaje się to uzasadnione, biorąc pod uwagę mimikę przedstawicielek płci żeńskiej opiekujących się nami.

Od pierwszego wykładu rozgrzewa się nas informacjami o tym, co on robi, myśli, sądzi, kocha, czym pogardza, czego oczekuje z utęsknieniem, on, Fin we własnej osobie lub Finka we własnej osobie.

Zapamiętaj: język fiński nie zna zjawiska rodzaju gramatycznego, wszystko jest neutralnym *han***

* Zaproszenie do sauny nie jest zaproszeniem do uprawiania seksu (ang.).

** Nawet zaimek osobowy w 3 os. lp. nie rozróżnia rodzaju - *han* oznacza zarówno „on” jak i „ona”.

Ostatnią, podsumowującą konferencję prowadzi Anglik, nauczyciel akademicki z Pracowni Nauki Języków Obcych. Przyjechał, jak sam o sobie mówi, ponad dziesięć lat temu do Turku i pozostał tutaj - najpierw z miłości do Finki, a następnie do Finlandii.

Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż kierowanie się radami niedoszłych literatów lub literaturoznawców, najczęściej rozwiezionych, których kariera naukowa zakończyła się również niepowodzeniem, ostrzegala przy śniadaniu moja Finka. W tutejszych laboratoriach językowych jest wielu takich osobników, którzy nie mówią nawet po fińsku, a jeśli już, to bardzo słabo, więc nie powinni raczej nikogo pouczać, kontynuowała.

Mieliśmy ogromne szczęście, opowiada prelegent, ponieważ w Finlandii obcokrajowiec czuje się naprawdę obco. Nigdzie w Europie nie ma mniejszej liczby obcokrajowców, nigdzie w Europie nie spotkamy tak jednorodnego społeczeństwa i swoistej homogeniczności kultury. I choć Finlandia przekształciła się w niespełna trzydzieści lat - co także jest rekordem - z kraju o charakterze rolniczym, którego większość mieszkańców zamieszkiwała wsie, w światowego lidera w branży technologii cyfrowych, to jednak Finowie są nadal narodem leśnych ludzi, a ich ojczyzna jest krajem zamieszkanym przede wszystkim przez ludność rodzimą. Być może ostatnim takim w Europie.

Taką tezę stawia nasz angielski wykładowca. Jednocześnie stara się ją udowodnić, przywołując nadawane tutaj zwyczajowo imiona żeńskie: Tyyne (pokój), Tuulikki (wiatr), Helmi (perła) lub męskie: Otso (niedźwiedź), limo (wichura), Urho (siła).

Moja nauczycielka w szkole podstawowej miała również na imię Friede*, odzywa się we mnie Wolfram, a moja fińska miłość otrzymała na chrzcie imiona Pia-Maria, które raczej nie brzmią jak słowa ze słownika myśliwych czy kolekcjonerów. Ale z drugiej strony muszę też przyznać, że jej ojciec chrzestny nazywa się Yrjö**. No cóż, trudno byłoby znaleźć w obrębie Unii Europejskiej drugi naród, którego dorośli mężczyźni reagują na słowo „wymioty”.

W pewnym sensie teza o ostatnim takim kraju na kontynencie europejskim zamieszkanym przez ludność rodzimą jest często przywoływana, kiedy zwraca się uwagę na nietypową przestrzeń osobistą (3CM-0 cm więcej niż nakazywałby standard europejski), którą Finowie starają się zachować, rozmawiając z innymi osobami. Również osobliwy sposób wyrażania wyniku procesu myślowego - sam proces przebiega w milczeniu - ma potwierdzać powyższą tezę. Jest to widoczne szczególnie w rozmowach z tutejszymi mężczyznami, kontynuuje nasz wykładowca, kiedy to na odpowiedź na najzwyczajniejsze pytanie zadawane każdego dnia trzeba czekać dosyć długo - 40, a nawet 50 sekund nie jest niczym nadzwyczajnym. Fin kocha ponad wszystko prawdę i szczerść, unika braku klarowności i precyzji w wypowiedzi, odczuwa wstręt do bezsensownej paplaniny, mówi więc mało i krótko - ceni ciszę.

Niespotykane milczenie zaległo ponownie w sali wykładowej. Zadaję sobie pytanie, jakie wnioski należałoby

* Pokój w kontekście religijnym, np. *Friede sei mit euch!* (niem.) Pokój niech będzie z wami!

** *Yrjö* (fiń.) - słowo to oznacza: 1. imię męskie (język polski Jerzy); 2. wymioty.

wyciągnąć z uwagi na domniemaną prawdomówność moich amerykańskich i południowych kolegów z wymiany studenckiej. W tym samym czasie Gabriele, widziany przez wszystkich, wykonuje dłonią ruch okrężny na wysokości swojego czoła. Czekać na odpowiedź zadaną w języku ojczystym 40 sekund? Nie, to nie świadczy o wysokich wymaganiach co do poprawności wypowiedzi, lecz o jakimś upośledzeniu umysłowym.

Biorąc pod uwagę powyższe rozważania - wykład zbliża się ku końcowi - można odnieść wrażenie pewnego rodzaju powściągliwości i małomówności w kontaktach z Finami. Rzeczywiście, nie jest łatwo żyć się z prawdziwym Finem, nie mówiąc już o zawarciu przyjaźni. Jeśli jednak się uda, to znaleźliśmy przyjaciela na całe życie. Doświadczymy głębokiego i trwałego związku, przy czym saunie - i tutaj zamyka się koło - przypada w tym procesie główna rola. Zaproszenie do sauny przez tubylca jest bowiem pierwszym i poważnym wyrazem sympatii, sygnałem, że choć trwało to długo, zostaliśmy obdarzeni zaufaniem; jest pierwszym, decydującym krokiem do otwarcia się na obcokrajowca. Zaproszenie do sauny nie jest jednak, po raz kolejny powtórzył nasz prelegent, zaproszeniem do uprawiania seksu.

ŻYĆ, WYPOCIĆ SIĘ, UMRZEĆ

O bogowie, jak dobrze! Jeszcze tylko ten jeden raz móc wejść głęboko w gardziel czarnej bestii! Skulony podążam wzrokiem za rysunkiem słoje na drewnianych belkach, które pociemniały od potu zostawianego tu przez dziesiątki lat i od innego, jeśli wolno mi wyrazić takie przypuszczenie, płynu ustrojowego. W końcu w saunie urodziła się babka domu, także ojciec mojej fińskiej żony oraz wszyscy z jego dziesięciorga rodzeństwa - a więc i Yrjő. Wprawdzie nie bezpośrednio na tym drewnie, lecz dokładnie w tym miejscu, ogrzewani przez kamienie i buzujący piec, wykonany ręcznie w roku 1897, wykuty przez Salminena Eero, nazywanego Stradivarim wśród budowniczych saun na obszarze Finlandii Środkowej. Jeszcze i dzisiaj znane jest to nazwisko. To z jego pieców *Wyły* unosi się delikatnie w górę i w konsekwencji dłużej utrzymuje.

Gorące powietrze dochodzi do nas miękkimi falami. Termometr, zardzewiały i zmęczony, drży, wskazując jakąś absurdalną wartość: dużo ponad 100 °C. Ból sięga aż pod paznokcie. Nawet drewno zaczyna się pocić. Aby pozostać przy zmysłach, liczę żywiczne brodawki w kolorze bursztynu znajdujące się w moim rogu sauny i czuję, jak *terva-*

*shampoo**, preferowany przez rodzinę mojej żony, wrzyna się w skórę głowy i przenika aż do mózgu.

- Jeszcze raz? - pyta moja Finka, kiedy ostrożnie dotykam brzoźowych witek, aby uśmierzyć ból kolejnym bólem, a następnie rzuca na kamienie, w gardziel płonącego zwierzęcia, kolejną dawkę wody.

Chce cię sprawdzić, po raz ostatni, taka myśl kołacze w mojej głowie.

To, śmiem powiedzieć, nic niezwykłego, że pijani mężczyźni wskazują palcem na moją fińską żonę, podobnie czynią małe dzieci lub mieszkańcy prowincjonalnych miast niemieckich, takich jak Bamberg. Ale żeby grupa drzemiących, dworcowych alkoholików poderwała się ze szczególnymżywieniem z ławki na widok mojej partnerki i wśród okrzyków *Tama on Pia, Pia Paivió*** zgotowała jej długą i wcale nie ironiczną owację na stojąco, nie, tego jeszcze nie przeżyłem.

- Skąd cię znają ci panowie? - chcę usłyszeć odpowiedź od tej tak popularnej osoby, kiedy po wyjściu z dworca ogarnia nas ciemność.

- Ach, wiesz, zimą wielu z nich przychodzi do hal sportowych, aby się ogrzać. Tu, w Lappeenranta mieszkał trener reprezentacji narodowej, dlatego zawsze w czasie meczu dawałam z siebie wszystko.

- Rozumiem - szepczę pod moim kapturem i w myślach kreślę wizję przyszłości u boku kochanej przeze mnie

* Szampon zawierający oczyszczoną smołę pogazową o bardzo nieprzyjemnym zapachu, można go znaleźć niemal w każdym fińskim sklepie.

** To jest Pia, Pia Paivió (fin.).

kobiety, która cieszy się wśród bezdomnych mieszkańców Finlandii Wschodniej kultem podobnym do uwielbienia okazywanego Maryi.

A teraz dalej, trzeba zagryźć zęby, nie wolno się zatrzymywać, powinno być już niedaleko, najwyżej jeden, dwa kilometry, słyszę zapewnienie. Taką odległość powinniśmy pokonać bez większych problemów.

Ale w listopadzie nic nie jest łatwe. Jest popołudnie, a więc noc, a w twarz zacina deszcz ze śniegiem nadciągający od strony Rosji. Jedno jest pewne, ta podróż to nie był mój pomysł. Sześć godzin jazdy pociągiem z Turku w kierunku wschodnim i przed północą mamy wracać. Wagon sypialny, dwie przesiadki, totalna bzdura. Ale kobieta, która od blisko dwóch lat finansuje nasz ruch wahadłowy pomiędzy Turku a Heidelbergiem, chciałaby zobaczyć nas w końcu jako parę.

Babcia Anu jest głęboko przekonana, że rozstanie trwające dłużej niż trzy miesiące jest zabójcze dla miłości. A ta kobieta zna się na mężczyznach. Przeżyła dwóch mężów i trzech stałych partnerów. Obecnie mieszka z emerytowanym listonoszem, którego poznała przez towarzyskie ogłoszenie. Otto ma 98 lat. W czasach swojej młodości, opowiada moja Finka, kiedy przemierzamy szarą nicość miasta, poznał osobiście Lenina, który lata emigracji spędził w Helsinkach, a więc na długo przed wydarzeniami rewolucji październikowej. Na pewno jest jeszcze wiele interesujących historii do opowiedzenia.

- Czy to już Rosja? - chcę wiedzieć, kiedy po godzinnym marszu schodzimy z drogi asfaltowej i skręcamy w praktycznie nieoświetloną ulicę, przy której stoją nędzne - takie odnoszę wrażenie - domki drewniane.

- To są *rintamamiestalot* - słyszę wyjaśnienie, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza domki dla frontowych żołnierzy.

Żołnierzom, którzy byli gotowi walczyć na pierwszej linii obrony w czasie zimowych działań wojennych, obiecano w nagrodę właśnie te domy. I ten, kto przeżył, otrzymywał jeden z nich.

Drzwi nie są zamknięte na klucz. Anu-Mummi, opatulona w ciepły koc i w walkach we włosach, wita nas bardzo serdecznie. Podaje mi nawet rękę, a jej oczy uśmiechają się do mnie przez okulary w solidnej oprawie, których szkła są tak grube jak w słoikach po dżemie. Po kwadransie mruzczenia o tym i owym dociera do mnie, że ów „Herr Kuckelmann - który jest głównym tematem rozmowy, to nikt inny, tylko ja sam.

Otto również jest w domu. Trudno nazwać spotkanie z nim odwiedzinami, jest to raczej wizytacja jego pokoju. Kiedy tu wchodzimy, Otto odpoczywa na sofie z twarzą zwróconą w stronę oparcia. Telewizor jest ustawiony na pełną głośność, ale zawiesza się co chwilę, wydając przy tym dziwny, skrzypiący dźwięk. Leci *Derrick** w oryginale, z rosyjskim tłumaczeniem symultanicznym w tle. Takiej wersji jeszcze nie widziałem.

Czy Otto zna rosyjski, proszę moją Finkę, aby o to zapytała. Nie, on jest niewidomy, krzyczy po krótkiej wymianie zdań z babcią. Jesteśmy przekonani, że nawet nie zauważył naszej obecności.

Mimo wszystko zapowiada się miły wieczór. Siedzimy w małej drewnianej kuchni przy małym drewnianym

* *Derrick* - niemiecki serial kryminalny nadawany w latach 1974-1998.

stole na małych drewnianych taboretach i pijemy czarną herbatę z niedużych szklanek. Anu-Mummi przynosi karelskie* pierogi, pastę jajeczną zmieszaną z musztardą oraz jako dodatek dwa plasterki ogórka sałatkowego i dwa plasterki pomidora. W Finlandii nazywa się to *salaatti*.

Babcia opowiada, ja grzecznie przytakuję, a moja Pia tłumaczy tylko to, co uważa za stosowne. Na przykład kilka słów na temat Fuhrera, którego Anu widziała na dworcu w Kouvola w roku 1942. Przyjechał specjalnie z Berlina, aby uczcić 75. urodziny feldmarszałka Mannerheima. Ruch kolejowy został oczywiście wstrzymany. Musiała więc spędzić dwie godziny w przedziale pociągu stojącego na sąsiednim peronie, z piątką dzieci na karku.

- *Oli pikku, pikku mieś* - bardzo, bardzo niski mężczyzna, wspomina Anu-Mummi, a ja muszę się bardzo starać, aby nie odebrać tego zbyt osobiście jako aluzji do mojego wzrostu.

Jemy właśnie zupę z borówek, gdy nagle w drzwiach staje ogromny jak niedźwiedź Otto. Dopiero teraz dostrzegam na jego łysinie czarną jak smoła plamę - to czerniak.

Wskazuje na mnie.

- *Onks tama* Herr Kuckelmann?

Tak, to jest on, potwierdza Pia, a kiedy się podnoszę, by podać mu rękę, Otto przyjmuje postawę jak na paradzie i wykrzykuje po niemiecku:

* Karelia - autonomiczna republika wchodząca w skład Federacji Rosyjskiej; region, który niegdyś przez długie lata należał do Finlandii.

- *Willkommen, Kamerad!* - zupełnie nie słyszę obcego akcentu. Moje obawy, że podniesie zaraz prawą rękę, nie potwierdziły się jednak.

Otto powiedział to, co miał powiedzieć, odwrócił się i ruszył z powrotem do pokoju.

To było dawno temu. Zaraz po śmierci Ottona Anu--Mummi przeniosła się do domu opieki. Kiedy odwiedzi-
liśmy ją przed kilkoma miesiącami, moja żona pogłaskała ją
delikatnie po dłoni. Nic więcej nie mogła już zrobić. To
koniec, powiedzieli lekarze. Każda godzina może być tą
ostatnią. Żyć, wypocić się, umrzeć. Milczenie.

- Przeżyła swoje życie - po długiej przerwie słyszę głos
mojej Finki rozmyty w wysokiej temperaturze sauny. I w
tym momencie jest mi bardziej obca, niż mógłbym sobie
tego życzyć.

UPAŁ

Finowie poszli jako pierwsi rozpałić ognisko - Anssi, Frederickson, Sami i Lauri, cała banda z *yo-kylä*. Siedzimy więc tylko we czwórkę na najwyższej położonej drewnianej ławie: Markus i Sven, goście z Heidelbergu, oraz mój włoski kolega z programu Erasmus, którego poznałem na pierwszym semestrze i który nadal studiuje w Finlandii, choć jego stypendium wygasło już przeszło dwa lata temu. Jak bracia podajemy sobie z ręki do ręki niebieską jak niebo plastikową chochlę i pozwalamy, by lodowato zimna woda ze studni ściekała ostrożnie po karku w dół. Tego triku nauczył mnie Aulis.

- Gabriele, penis krwisty czy penis mięsny? - pyta Markus, trzymając w dłoni łyżkę.

- Co masz na myśli?

- Wiesz - wyjaśnia Markus - istnieją dwa rodzaje penisów. Wyjściowa wielkość tych pierwszych jest mała do średniej, mogą one jednak podwoić, a nawet potroić swoją długość. Penis mięsny natomiast już w stanie spoczynku wykazuje znaczne rozmiary, których nie może jednak później zwiększyć. Czasami zdarza się nawet, że w stanie wzwodu traci na długości.

Sven kiwa głową przy każdym zdaniu. Tak to właśnie wygląda. To chyba niemożliwe, aby Gabriele jako Włoch nie słyszał do tej pory o takim rozróżnieniu.

A jednak nie słyszał.

- Penis krwisty - wyznaje Gabriele, po tym jak kolejna, nadmierna dawka wody wylana na kamienie zmusiła nas do milczenia. - A ty, Markus?

- Hm, posłuchaj - odpowiada Markus, tyknawszy so lidny lyk lapin kulta*. - Penis mięsno-krwisty, przyjacielu, mięsno-krwisty!

Ten żart nie rozśmieszył jednak Gabriele. A nas tak. No cóż, niemiecki humor. Po raz kolejny chochła z wodą do polewania karku wraz z butelką piwa wędruje z ręki do ręki.

- Nie martw się, one jeszcze przyjdą - Sven wyciera pot z czoła. Wyjątkowo radośnie brzmią te słowa w jego ustach.

- Odpuście jednak trochę, bo w końcu tu zginiemy.

Trudno mi jest w roli *isdntd*, fińskiego gospodarza, zaprobować tego rodzaju rozmowy i plany. Fantazje seksualne nie są mile widziane w saunie. Takiego jestem zdania. W każdym razie tego nauczyła mnie moja Pia. Ale czy tak jest naprawdę, nie wiem. Większość Finów milknie, kiedy wchodzę do sauny, a nawet jeśli ze sobą nadal rozmawiają, nie ^jzumiem o czym.

Sven nie zamierza jednak poddać się tej kulturowej presji i właśnie zaczął oceniać fińskie przyjaciółki Pii, które w kuchni, w *mokki* oddalonym od nas nie więcej niż 100 m, nastrajają się do wejścia do sauny, tańcząc tutej-

* Lapin Kulta (*Złoto Laponii*) ~ marka fińskiego piwa.

sze tango i pijąc likier z fińskich malin błotnych. Najbardziej wychwalana jest Mette, nasza uroczą współlokatorka w mieszkaniu studenckim, która studiuje w jedynej w Finlandii Szkole Sztuki Cyrkowej, przy czym Markusa rozgrzewa raczej myśl o Evie i Impi, dwóch siostrach, dużych kobietach z okolic koła podbiegunowego, które dla niego są ucieleśnieniem kultowych rzeźb z wczesnej epoki brązu. Nagle zaczął szaleć na punkcie kobiecych kształtów. Eva studiuje medycynę w Helsinkach, a Impi uczy się w Rovaniemi astralnych metod leczenia.

- Oj, brzmi niezwykle interesująco - kiwa głową Markus i prycha ostatnim łykiem lapin kulta na piec.

Tylko Gabriele, mój włoski przyjaciel z programu Erasmus, milczy na początku. Przedłużył swój pobyt na fińskiej uczelni, zamieszkał wspólnie z Sanną, ale także ona rozstała się z nim nieoczekiwanie przed miesiącem. Podobno nie była jeszcze gotowa.

Gabriele zaczyna opowiadać o swoich pierwszych tygodniach w podziemnych salach imprez Turku. Było jak w niebie. To Finki zagadywały go jako pierwsze i najczęściej, jeszcze tego samego wieczoru chciały czegoś więcej. Tak po prostu. Niewiarygodne! Gabriele opowiada o kombinezonowych imprezach* bez kombinezonów, o natrętnych e-mailach od jego nauczycielek akademickich, o rodzicach Tuuli, którzy wzbraniali się podać mu choćby rękę, o Viivi, który zerwała z nim po półrocznej znajomości, wysyłając z Włoch SMS-a. Tylko on się zakochał, dzisiaj już to wie, tylko on.

* Jesienna tradycja imprez studenckich; studenci chodzą ubrani w kombinezony, każdy wydział w innym kolorze.

- *You know, they just used me. They used me for sex** -
podsumowuje swoje fińskie związki.

Markus i Sven udają szczere współczucie, mimo że to wyznanie to muzyka dla ich uszu. Od początku stawiali sprawę jasno, przecież nie przyjechali tu dla mnie.

- To jest inna kultura, szczególnie w tych sprawach, naprawdę zupełnie inna - mówi Gabriele już raczej sam do siebie. A jednak przyszyły, Finki we własnej osobie.

Z wesołym śpiewem na ustach „*lllalla! lllalla!*” (Dzisiaj w nocy! Dzisiaj w nocy!) wdarły się do sauny, podczas gdy my - cała nasza czwórka - staramy się udawać zaskoczonych i jakby trochę oburzonych. Nagle robi się ciasno i bardzo wesoło, a odległość między nami wynosi teraz na pewno 30 cm mniej, niż przewiduje to europejski standard, i jak okiem sięgnąć nie ma tu żadnego *on* i *ona*, jest tylko neutralne *han*. Impi przysuwa się do Markusa, który opowiada jej o początkowych problemach z *loyly*, co spowodowało niestety duże opóźnienie („*Yes, yes!*”), a także o tym, że od kiedy przygotowuje się do drugiego egzaminu państwowego, kłuje go coś w plecach, o, dokładnie w tym miejscu, a sauna działa cuda („*Yes, yes!*”).

Teraz saunę szturmują Anssi, Jason i Frederickson, popychając taczkę, na której znajdują się trzy pięciolitrowe kanistry z wysokogatunkowym bułgarskim czerwonym winem. Nikogo nie pytając, stwierdzają, że jest jeszcze dostatecznie dużo naparu, więc ich pobyt w saunie jest jak najbardziej usprawiedliwiony.

One mnie wykorzystały. Wykorzystały mnie dla seksu (ang.).

Ktoś (Sven?) gwałtownie wlewa szczypiący płyn na kamienie na piecu. Dwadzieścia osób na 5 m². Czuje się jak na dyskotecę dla konfirmantów*, tyle że bez ubrań. Czuje, jak moja Finka dotyka delikatnie moich płatków usznych i jednocześnie szepcze mi do ucha „*voi, voi*”*** - my wśród otaczających nas nagich ciał.

Nie jest łatwo ująć w słowa kolejne chwile, zwłaszcza że każde ze wspomnień rozpada się na pojedyncze obrazy i kilkusekundowe sekwencje. Stoimy w półcieniu zanurzeni w nierzeczywistym świetle letniej nocy. Delikatna szara mgła dosięga naszych kostek, a las, cudnie spowity rosą, jakby przeczuwał nadejście poranka.

Dostrzegam Impi, leży na kamiennej studni.

- *Puli, Markus! Puli!* - rozkazuje i widzę Markusa, który zbiera resztki sił, by sprostać jej życzeniu. Energicznym ruchem, w kilku cyklach, wylewa lodowato zimną wodę na jej pełne piersi. Widzę Mette w koszulce z siateczki, szczupłą i piękną, która żongluje trzema płonącymi pochodniami. Dostrzegam w trawie pojedyncze ciała, moi przyjaciele rozkoszują się widokiem nieba, jego błękit, głębia oraz bezmiar wydają się nierzeczywiste. Ostatnie wspomnienie to widok Gabriele. Ubrany jedynie w koszulkę AS Roma siedzi w bujanym fotelu mojej przyszłej teściowej i w ogromnym skupieniu przegląda czasopisma dziewiarskie z początku lat sześćdziesiątych. Tak jakby chciał znaleźć w nich odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

* Konfirmacja - w kościołach ewangelickich odpowiednik Pierwszej Komunii i bierzmowania, łączący te dwa sakramenty. ** Och, ach (fin.).

Okolo południa, kiedy wszyscy się budzą, znajdujemy Markusa na progu. Resztką sił doczołgał się do domku lub ktoś go tu przyniósł - nikt z nas nie jest w stanie udzielić odpowiedzi. Leży na brzuchu, na plecach widać dwie niebezpiecznie głębokie, jeszcze krwawiące pręgi, tak jakby pozostawiły je łapy niedźwiedzia. Nie ma Impi i Evy.

- Nieprawdopodobne, po prostu nieprawdopodobne - powtarza wielokrotnie, kiedy nacieram jego rany maścią ze smoły węglowej.

I to było wszystko, co wydusił z siebie przez kolejne dni, zresztą do dzisiaj odmawia wyjaśnień na temat „nocy dwóch niedźwiedzi”. Tylko czy Impi też przyjedzie na wesele, pytał przez telefon, a ponieważ nie było jasne, jaką odpowiedź chciałby usłyszeć, klamaliśmy:

-Nie.

Podsumowując, tamtej nocy lipcowej, u schyłku drugiego milenium, wydarzyły się w pobliżu sauny moich przyszłych teściów rzeczy podobne do tych, o których dorosłe osoby, nawet wiele lat później, mają w zwyczaju milczeć przy kieliszku truskawkowego kruszonu, uśmiechając się przy tym tajemniczo i gratulując sobie w skrytości ducha, że mogły wtedy tam być...

POKÓJ

Rzut oka na jezioro. Młode brzozy drżą na wietrze. Dwa popielicowate gryzonie na widok mojego parującego ciała szukają schronienia w pobliżu borówkowych krzewów. Czuję, jak się wychładzam, a oddech staje się głębszy. Sauna to pokój, kreślę w myślach kolejny obrazek.

Rozpatruję pobyt w saunie w kontekście politycznym. Co by było, gdyby możni tego świata szli do łaźni parowej przed każdą rundą negocjacji? Netanjahu i Arafat - Irlandia Północna i Bośnia, Korea Północna i Południowa, Indie i Pakistan, na świecie panowałby bez wątpienia większy pokój. Zdecydowanie szybciej podpisano by protokół w Kioto*, zakazano by stosowania min przeciwpiechotnych, a pletwał błękitny nie byłby gatunkiem zagrożonym. To byłoby po prostu nie do pomyślenia, aby dwa kraje wypowiedziały sobie wojnę, gdyby ich przywódcy spędzili wcześniej wspólnie czas w saunie.

* Protokół z Kioto - uzupełnienie Ramowej Konwencji Narodów Zjednoczonych w sprawie zmian klimatu i jednocześnie międzynarodowe porozumienie dotyczące przeciwdziałania globalnemu ociepleniu.

Urho Kekkonen* i Nikita Chruszczow** - oni o tym wiedzieli. Przez długie lata spotykali się w saunie. Tu została przypieczętowana fińska neutralność. W jednej z fińskich saun, udowodniono to, narodziła się myśl o pierwszych budujących zaufanie działaniach między Wschodem i Zachodem, wspomnę również o protokole helsińskim***, o Akcie Końcowym Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie** i o takich postaciach, jak Brandt czy Wałęsa - w końcu doszło do *pierestrojki*, a następnie do zjednoczenia Niemiec. Nie ma wątpliwości, kwestia zimnej wojny została rozstrzygnięta w saunie, a *lóyly* pomogła odnaleźć decydujące impulsy. Finlandia uratowała świat.

- Gdyby nie sauna, doszłoby do wojny jądrowej - mówię po kilku minutach milczenia do nagiej kobiety siedzącej obok mnie na krześle kempingowym.

- *Juu*, możliwe - odpowiada, jakbym powiedział coś zupełnie oczywistego.

Moja mistrzyni, lekarka i szamanka, zbiega właśnie w dół w stronę jeziora, owa istota, którą chcę kochać i której chcę pożądać. Przywołuję obraz chwili, kiedy opatuleni w koce jemy przy małym stoliku zupę z czarnych jagód.

* Urho Kekkonen - fiński polityk, premier oraz prezydent Finlandii.

** Nikita Chruszczow - radziecki polityk, działacz partyjny i państwowy, I sekretarz KC Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego (KPZR) i premier ZSRR.

*** *Protokół helsiński (1985)* - protokół w sprawie redukcji emisji siarki lub jej transgranicznych przepływów co najmniej o 30 procent.

**** Dokument podpisany przez 35 szefów państw i rządów 1 sierpnia 1975 roku. Był to pierwszy przypadek w czasie zimnej wojny, gdy na tak wysokim szczeblu państwa obu bloków zdecydowały się przyjąć wspólne zasady postępowania w stosunkach międzynarodowych.

- Chodź, Kuckelmann - wyciąga do mnie ręce, najprawdopodobniej najdłuższe w całej Finlandii. - Jezioro dobrze ci zrobi.

- Jezioro, moja Piękna. Jezioro.

Trzymając się za ręce, idziemy w stronę kładki. Opieram głowę na jej wysokim ramieniu.

UKĄSZENIA

To jest prawdopodobnie uczucie wolności. Po prostu skoczyć. Nie myśleć, nie wahać się, po prostu skoczyć. Teraz - na przykład. Lub teraz. Bez wątpienia byłoby to możliwe. Musiałbym tylko skoczyć.

- Wcale nie jest zimna! - woła moja Finka, a nad nią jasne wieczorne niebo.

Kłamię. Woda jest zimna. Potwornie zimna. Wiem to. Ona też to wie. Wie także, że nie lubię zimnej wody, zimnego deszczu, zimnego powietrza, zimnego wiatru, mrozu, śniegu, właściwie nie lubię niczego, co jest zimne, chyba że napelnia się tym 0,4-litrowe kufle, tworząc przy tym pianę.

Nie lubię także owadów. Nie, wyraziłem to zbyt łagodnie - odczuwam do nich wstręt! Napawają mnie strachem, a ich większa ilość może mnie nawet doprowadzić na skraj szaleństwa. Świat zacieśnia się wtedy wokół mnie, mój oddech staje się urywany, drętwieję spanikowany i pragnę z całej duszy być martwy.

Dlatego też nigdy nie dziwiło mnie, że każdego roku w Laponii kilka tuzinów reniferów jako jedyne parzystokopytne na naszej planecie popelnia świadomie samobójstwo,

taranując w pełnym biegu swoimi głowami i tak nieliczne drzewa arktycznej tundry. Zdumiewa mnie raczej fakt, że nie wszystkie to robią - nie mówiąc już o ludziach, którzy żyją tam od tysięcy lat i nazywają się Saamowie*, *saami*.

Ale teraz zdradzę Państwu małą tajemnicę, chcę, aby ujrzały światło dzienne pewne niecne praktyki. Komary, *hyttynen*, nie stanowią w Finlandii większego problemu. Można z nimi żyć. Ich liczba przekracza wprawdzie granice ludzkiej wyobraźni, ale pojedynczego osobnika można nawet przechytrzyć. Mały obrzęk, który powstaje po ukąszeniu przez podłą komarzącę, znika, kiedy *loyly* po raz drugi uniesie się w saunie. Nie pozostaje żaden ślad. Naprawdę.

Tego samego nie można jednak powiedzieć o *paarma*, fińskim gzie. To są mordercy, szybcy jak strzała, nienasytzeni i pozbawieni jakiegokolwiek strachu. Wlatują bezpośrednio do ucha, nosa lub do ust, nic nie można zrobić, a ich ukąszenie, często wielokrotne, prowadzi do płaskich, swędzących przez długie tygodnie obrzęków. Nie zaradzi im żadna łaźnia parowa tego świata.

Jeszcze bardziej przykre konsekwencje może wywołać *hirvikdrpdnen***, gatunek owada pasożytującego na losiach. Zalęga się on w miejscach owłosionych, a stąd trudno jest go wygnać, chyba że za pomocą nadmiernej ilości słynnego *tervashampoo*, co z kolei, wspominałem

* Saamowie (Lapończycy) - mniejszość etniczna zamieszkująca geograficznie północną część Półwyspu Skandynawskiego, a politycznie - aż cztery państwa; są potomkami pierwotnych mieszkańców Skandynawii.

** Strzyżak sarni, strzyżak jelenica (*Lipoptena cemi*) - gatunek owada; pasożytuje na sarnach, jeleniach i losiach, żywiąc się ich krwią.

już o tym, wywołuje po wejściu do sauny pewne działania uboczne.

Wymieniłem tylko trzy owady z top listy fińskich insektów kłujących, gdyż trudno jest się rozeznąć w ich wielości i różnorodności. Wieczorem zbierają się gromadnie przy kładkach i na polanach, by czatować tu nie na rodowitego mieszkańca Finlandii, lecz przede wszystkim na zażywającego kąpiele przybysza.

Pytanie: czy spotkali się już Państwo, choćby w prospekcie reklamującym Finlandię, z zabawnie ironiczną historią o fińskiej pladze komarów? No właśnie. A czy wspomniano choć jednym słowem o gzie lub strzyżaku?

Tak to właśnie jest. Finowie mówią otwarcie i bez ogródek o komarach uprzykrzających życie latem tylko po to, aby odwrócić uwagę od gzów i strzyżaków. To wszystko jest starannie zaplanowanym działaniem, które ma na celu zatuszować część prawdy. W końcu chodzi o turystykę, a więc o ekonomiczne interesy. Ale żaden Fin nie przyzna się do stosowania tego typu praktyk. Co tylko potwierdza powyższą tezę. Finowie - ważne jest, aby to zrozumieć, gdyż inaczej nie ma czego tutaj szukać - trzymają się razem. Każde słowo jest na chłodno przekalkulowane, ich milczenie jest przede wszystkim przemilczeniem.

Za mną sauna, przede mną zimne jezioro, a na mnie i wokół mnie trzycyfrowa chmara rozmaitych, bardzo agresywnych owadów. To jest sytuacja, w której muszę odnajdować się na nowo w co drugi sobotni wieczór. Nie chodzi o współczucie. Raczej zależy mi na tym, aby uwrażliwić

Państwa na pytanie, jakie argumenty, w takiej sytuacji jak moja, przemawiają za Finlandią. Bez wątpienia mamy na myśli 190 tysięcy jezior leśnych - we wszystkich zawsze zimna woda!, temperaturę poniżej zera przez osiem miesięcy w roku, powierzchnię owego kraju, której 25% leży powyżej koła podbiegunowego, zatokę morską, która potrzebuje lodolamacza, aby być żeglowną, atakującą latem owady, których biomasa wielokrotnie przewyższa ciężar całkowity pięciu milionów Finów cierpiących w większości na nadwagę.

Czy owo blade ciało, które tam w jeziorze wydmuchuje w stronę nieba zabawne strumienie wody i przesyła mi od czasu do czasu współczujące spojrzenia, jest w moim przypadku wszystkim, co ma zrównoważyć powyższe niedostatki? Żadna kobieta nie jest tak wysoka.

Zrobię to jednak. Nie myśleć, nie wahać się: po prostu skoczyć.

KLASYFIKACJA

W czasie ewolucji *Homo sapiens* rozwinął - nigdzie na świecie nie można prześledzić tego lepiej niż w okolicy kladek na fińskich jeziorach leśnych - trzy zupełnie odmienne strategie w kontakcie z ekstremalnie zimną wodą naturalną. Typ *Skoczka*, jak sama nazwa wskazuje, nie pyta ani o temperaturę, ani o głębokość, tylko rzuca się po prostu do wody. Bez komentarza i jakiegokolwiek zapowiedzi - tak robi większość kobiet, wydając przy tym jedynie krótki i ostry krzyk. Młodzi mężczyźni natomiast mają w zwyczaju robić trochę szumu wokół siebie, odliczają, niby żartują. Ale to wszystko jest dopuszczalne.

Zimno jest zimnem, niewiele ma wspólnego ze stopniową zmianą temperatury, tak myśli typ *Skoczka*, rozsądek jest po jego stronie. Z pewnością doświadcza on od czasu do czasu przykrych niespodzianek, przyjmuje je jednak spokojnie, w czym pomaga mu bagaż doświadczeń. Mam na myśli przede wszystkim kapitał społeczny, który udało mu się zdobyć, biorąc pod uwagę jego śmiałość w czasie grupowych kąpiei. Nie potrafię tego udowodnić, ale sądzę, że na całym świecie w 75% wypadków związanych z zażywaniem kąpiei w zimnej wodzie bierze udział typ *Skoczka*.

Wykazuje on ponadto znacząco podwyższone prawdopodobieństwo doświadczenia rozvodu. Należałoby poddać tę tezę badaniu empirycznemu.

Na drugim końcu skali znajdujemy typ *Zawracającego z obranej drogi*. On lub ona zmierzają nad wyraz zdecydowanie do osiągnięcia wyznaczonego celu, zwalniają jednak wyraźnie, gdy cel się przybliża, następnie rozglądają się dookoła, co trwa najczęściej bardzo długo. Nie jestem pewien, czy typ ten rozumie, że traci w tym czasie z uwagi na temperaturę swego ciała owe decydujące stopnie Celsjusza, które umożliwiłyby mu, gdyby był innym człowiekiem, podjęcie ostatniego, decydującego kroku.

W każdym razie typ *Zawracającego z obranej drogi* przykuca teraz, aby sprawdzić temperaturę wody. Prawą dłonią złożoną w kształt szufelki wodzi wielokrotnie po wodzie. Następuje teraz kolejna, tym razem krótsza już faza orientacji, a tuż za nią pojawia się akcja, która określa powyższy typ człowieka. Obraca się on mianowicie lub skręca ciało w którąś ze stron z tym samym zdecydowaniem, które charakteryzowało jego pierwsze kroki ku wodzie.

Po kilku metrach zwalnia jednak, obraca się po raz kolejny, ponownie patrzy w stronę jeziora i tu następuje trzecia, najdłuższa faza obserwacji, skierowana jednak bardziej na osoby w wodzie niż na samą wodę. Wydarzenia według takiego scenariusza rozgrywają się niezależnie od kultury i miejsca. Niemalże identyczne zachowanie dostrzeżemy zarówno na atlantyckich plażach Europy, jak i Ameryki.

Wszystko to jednak nie wyklucza sytuacji, że typ *Zawracającego z obranej drogi* znajdzie się jednak w wodzie.

Rozdrażniony lub wręcz upokorzony kpinami ze strony kąpiących się przeistacza się w ułamku sekundy w *Skoczka*. Lub wbrew swoim protestom i skargom zostaje po prostu wrzucony do jeziora przez szczególnie ekstrawertycznych *Skoczków*. Z mojego doświadczenia wynika jednak, że tylko nieliczni przedstawiciele tego typu czują się tak naprawdę urażeni z powodu zaistniałej sytuacji. Najczęściej już po kilku minutach uśmiechają się z wdzięcznością i z ożywieniem dołączają do kąpiących się.

Trzeci typ określiłbym mianem *Chodziarza*. Od *Zawracającego z obranej drogi* odróżnia go to, że nie zawraca. Ta trzecia grupa wymaga jednak kolejnego rozróżnienia pomiędzy *Zimnym* i *Chłodnym chodziarzem* (*Gorący chodziarz* byłby właściwie typem *Skoczka*), ponieważ charakteryzuje ją największa liczba przedstawicieli.

Znamienne dla *Zimnego chodziarza* są zdecydowanie oraz konsekwencja. Bez wahania i zbędnego pośpiechu zmierza on do wyznaczonego celu. W jego postawie urzeka opanowanie i kontrola nad emocjami. Nie pokazując uczuć, schodzi tyłem do wody, stopień za stopniem. Nawet nie drgnie, nie zawaha się i nie zakwili, gdy po zanurzeniu ud osiągnie punkt krytyczny w miejscu wstydliwym. Zdziwiająco duża liczba *Zimnych chodziarzy* ma w zwyczaju przed ostatecznym zanurzeniem się w jeziorze zatykać nos, czego *Chłodni chodziarze*, o dziwo, unikają.

Chłodny chodziarz zbliża się do wody raczej ostrożnie, a gdy dotrze do kładki, pozwala sobie, podobnie jak *Zawracający z obranej drogi*, na chwilę refleksji. Intensywnie i dość głośno rozmawia wtedy sam ze sobą. Nasuwa się skojarzenie z pokrzykującymi przed startem sportowcami

lub z zachowaniami autoagresywnymi. Najczęściej jest to dynamiczna mieszanka obu tych postaw. W tym samym czasie osobnik ten polewa wodą klatkę piersiową oraz kark. *Chłodny chodziarz* potrzebuje poczucia, że jest obserwowany, choć jednocześnie ważny jest dla niego w tej ostatniej fazie absolutny spokój. Musi być skoncentrowany, ponieważ czyn ten jest dla niego przede wszystkim wyzwaniem intelektualnym. Jeśli słyzy od *Skoczków* znajdujących się właśnie w wodzie okrzyki zachęty albo czuje się wyszydzany lub ktoś opryska go w tym czasie wodą, może się zdarzyć, że przemieni się w *Zawracającego z obranej drogi*. Nigdy nie zdarzyło mi się jednak, aby ów rozgniewany osobnik odwrócił się ponownie w stronę wody lub stał się nagle *Skoczkiem*.

Kiedy *Chłodny chodziarz* wchodzi do wody, trudno dostrzec w tym akcie wdzięk i doniosłość. Słychać raczej lament towarzyszący wpadnięciu do wody, czego *Chodziarz* wprawdzie się wstydzi, ale w końcu najważniejsze jest to, że znalazł się już w jeziorze. Ma skłonności do bycia dumnym ze swojego osiągnięcia i chce, aby go chwalono.

W związku z powyższymi rozważaniami napomknę tylko, choć pewnie nie jest to konieczne, że moja fińska żona jest wzorcowym ucieleśnieniem *Zimnego chodziarza*, a więc reprezentuje typ, który *Chłodni chodziarze* mają w zwyczaju podziwiać lub wręcz czcić.

ŁABĘDZIE

Fale, których powstaje coraz więcej na powierzchni jeziora mieniącego się czernią, uspokajają się nagle. Pływamy niedaleko kładki, zataczając niewielkie koła. Moja przyszła żona z przodu, jej ruchy są spokojne i regularne. Nagle odgłos poruszających się skrzydeł wprawia wieczorne powietrze w delikatne drzenie, słyszymy przytłumione wołanie i widzimy je: rzeczywiście, to są Senni i Samuli!

Przez całe lato wypatrywaliśmy ich nadaremnie i nieoczekiwanie teraz, w noc przed naszym ślubem, przelatują powoli nad naszymi głowami. Od siedmiu lat spędzają każde lato w zatoczce przy *mokki*. Kiedy podążamy za piękną parą łabędzi, trudno jest się oprzeć wrażeniu, że ich pojawienie się to dla nas jakiś szczególny znak.

Oczywiście, że to bzdura. Nic nie może być bardziej obojętne tym ptakom niż nasze plany życiowe. Prawdopodobnie to Sven kąpiący się niedaleko wystraszył je swoim piekielnym skokiem z kładki na brzuch do wody tak bardzo, że zdecydowały się odlecieć natychmiast i nigdy więcej nie wracać w to miejsce. Możliwe również, że to wujek Elmar nakarmił je okruszynami chleba namo-

czonymi w whiskey - lubi takie zabawy nad tutejszymi sztucznymi jeziorami - a one uroiły sobie, że zbliża się jesień.

Oczami wyobraźni widzę, jak trzeźwieją nad Murmańskiem i marznąc, syczą wobec siebie zarzuty. I tak pojawia się pierwsza głęboka rysa w ich związku, który w końcu się rozpada.

Jestem chory. Po prostu chory! Nie jestem w stanie przyjąć wzniosłości wydarzenia. Należę raczej do osób, które nie mogą się powstrzymać przed ironicznym stosunkiem do tego typu chwil. Przerysowuję je oraz umieszczam w absurdalnych kontekstach; mam wrażenie, że tylko w takiej postaci mogę je znieść. Towarzyszy mi jakiś permanentny psychiczny odruch ucieczki, który nie daje mi spokoju. Jedno jest pewne, nie poślubiłbym takiego człowieka jak ja, nigdy.

Ale Finka obok mnie zdaje się odczuwać i postrzegać to zupełnie inaczej. Teraz w wodzie chwyta mnie za rękę i cicho nuci pewną melodię:

- Ta tat tata, ta ta tata, *na wieki już złączył was ślub**. Pamiętasz to jeszcze, mężu mój?

- Lohengrin - tak, pamiętam.

Nie śpimy, leżymy tak przez całą noc, jakby myślał, że będziemy musieli rozstać się na długie miesiące, czyniła nas chorymi. Kto wie, jak bardzo zmienimy się w tym czasie. O wiele prościej byłoby rozstać się wraz z końcem lata. Przede wszystkim byłoby wygodniej, gdyby

* R. Wagner, *Lohengrin*, przekł. Aureli Urbański, Lwów 1904.

każde z nas powróciło do swojego świata. Żadna przysięga nie może rozwiązać naszych wątpliwości. Podążamy za dźwiękiem skrzypiec, z głośników dochodzą coraz wyższe tony. Kręci nam się w głowie od myśli, co oznacza uzależnić sens własnego życia od życia tej drugiej osoby. Teraz brzmią fanfary, przytulamy się do siebie i wsłuchujemy w słowa zapowiadające nadejście, a wraz z nim ratunek: *By walczyć za dziewicy cześć, Niewinnej dłoń pomocną nieść, Zesłano mnie i oto stoje, Aby potwarzy hydreL zgnieść!*

Lohengrin i jego biały labędź. Wtedy, siedem lat temu, w czasie jesiennej nocy w Heidelbergu nie zastanawialiśmy się nawet przez chwilę, jakie znaczenie dla nas mogłyby mieć jego słowa. A przecież ów rycerz w srebrnej zbroi już podczas pierwszego spotkania z Elzą wyjawia swoje plany. Stawia pewien warunek i prosi księżniczkę o złożenie przysięgi: *Nie śmiesz mnie pytać nigdy, Ni zdradą, ni podstępem, Skąd labejż przywiódł mnie, I jakie miano me?*

Elza zgadza się. Będzie go kochać i szanować, nigdy nie pytając, jak się nazywa i skąd pochodzi. Nie zna kraju swojego oblubieńca, nigdy nie odwiedziła jego ojczyzny, podobnie jak Lohengrin niewiele wie o jej świecie. Zanim jednak oboje staną na ślubnym kobiercu, Elza złamie przysięgę. Pragnie się dowiedzieć, skąd pochodzi jej ukochany. Nie dotrzymując danej wcześniej obietnicy, niszczy w końcu i miłość. Lohengrin powraca do swojej ojczyzny.

Istotą opery Ryszarda Wagnera są małżeństwa międzykulturowe i związane z nimi częste spory dotyczące prawa

do opieki nad dzieckiem (gdzie Elza ukryła chłopca?), choć jestem przekonany, że kompozytor nie postrzegał wtedy tego problemu tak dosłownie.

Muszę poślubić również kraj mojej wybranki, inaczej być nie może.

- Naprawdę nie jest zimna - mówię do Pii, mojej Finki. Co jest prawdą, gdy spędzi się w wodzie chwilę.

JUMALA - BOG

SUMIENIE

Drewniany kościół w Joutsa ma 500 miejsc siedzących i wznosi się na małym zielonym wzgórzu, oddalonym o kilkaset metrów w kierunku południowym od centrum. Został zbudowany na początku XIX wieku i pozostaje do dzisiaj - podobnie jak inne tego typu budowle w Finlandii Środkowej - zdecydowanie największym budynkiem gminy. Z dzwonnicy, która jest osobnym obiektem, można ogarnąć wzrokiem całą główną ulicę, przy której znajdują się: bank z bankomatem, biblioteka, przystanek autobusowy, dwa supermarkety, sklep z odzieżą sportową z przewagą artykułów wędkarskich, sklep papierniczy, apteka, kwaciarnia, salon fryzjerski oraz na jej wschodnim krańcu *kioski*, gdzie na zadaszonych drewnianych ławach już o wczesnym poranku siedzi wielu kawalerów, mieszkańców wioski. Ubrani w dresy sączą lekkie piwo i spędzają dzień, roztrzaskując kwotę zakładu na wyścigi klusaków w Tampere.

Trudno powiedzieć, co myślą, kiedy turkoczając, skręcamy na rogu niebieskim jak niebo Finlandii fiatem 500 należącym do Ukkiego. Podobnie jak zaciekawione czymś psy, wychylamy nasze głowy przez boczne okna. Inaczej

nie przetrwalibyśmy tej drogi. Spaliny, zamiast uchodzić przez układ wydechowy, są wpychane przez otwory wentylacyjne do wnętrza samochodu. A Ukki spędził cały poprzedni dzień na pracach naprawczych.

Wystawiliśmy więc na działanie mżawki nasze górne części ciała i pokonaliśmy w ten sposób 25 km dzielących *mokki* od wioski. Przed nami ostatnie wzniesienie, a na nim kościół. Taki styl jazdy może wydawać się niebezpieczny. Otóż wręcz przeciwnie, niemalże wyłącznie do własnej dyspozycji ma się perfekcyjnie wyasfaltowane drogi krajowe przebiegające przez Finlandię Środkową. Tak, to sprawa demografii. Ci, którzy zamieszkują tę okolicę, są albo za starzy, albo zbyt młodzi, by jeździć samochodem. Od czasu do czasu przemknie eleganckie volvo 760 kombi na niemieckich rejestracjach i sporadycznie samochód kempingowy z naklejką losia. Inne samochody wpisujące się w ten krajobraz rzadko uczęszczanych dróg to raczej niepozorne, małe auta, rocznik 1980 lub jeszcze starsze. Zazwyczaj są to czerwone lady, ponadto golfy i mazdy pierwszej generacji.

To nie jest kwestia braku środków finansowych. O nie! Zasiedziały od lat w tej wiosce rodziny są bowiem właścicielami lasów, których powierzchnia równa się tej kraju związkowego Saara. Ale posiadanie samochodu jako atrybutu pozycji społecznej nie leży w naturze mieszkańca Finlandii Środkowej. Miejscowi powiadają, iż jeśli ktoś uważa zakup nowego auta za konieczny, to znaczy, że nie potrafi utrzymać w dobrym stanie swojego dotychczasowego samochodu. Prowadzi zatem niespokojne życie i wykazuje duży deficyt umiejętności manualnych - jest więc złym człowiekiem.

Ta ukształtowana bez wątpienia na gruncie protestanc-kim niechęć do rozrzutności w każdej postaci oraz samochwalstwa może okazać się pomocna w wyjaśnieniu wyraźnej fascynacji Finów sportami motorowymi i tradycji zdobywania przez nich tytułów mistrzów świata w wyścigach Formuły 1 (Rosberg, Hakkinen, Raikkonen) lub w Rajdowych Mistrzostwach Świata (Vatanen, Kankkunen, Makinen, Grónholm). Owi czempioni już jako dzieci przykręcali śruby w zardzewiałych gruchotach swoich ojców i od wieku chłopięcego wolno im było bez jakichkolwiek przeszkód ćwiczyć się w samochodowych manewrach na opustoszałych leśnych duktach.

Wymagany profil kandydata-uczestnika rajdu Paryż-Dakar to wręcz żart wobec umiejętności, którymi musi się wykazać kierowca, by dostać się z Helsinek do *mokki* znajdującego się w Finlandii Środkowej. Wąskie drogi oraz zmieniająca się nawierzchnia (asfalt, żwir, piasek, trasy prowadzące przez las) i jakby tego było jeszcze mało, to osobnik kursujący dość regularnie do swojego domku letniskowego musi o każdej porze roku stawić czoło pogodowym niespodziankom (śnieg, lód, grad, roztopy, susza). Pozwoli nam to przekonująco wyjaśnić fińskie sukcesy w kolejnej dyscyplinie sportu. Spójrzmy na drzewo genealogiczne wielkich czempionow w biegach na średnim i długim dystansie - od Nurniego po Virena. Przodkowie tych godnych podziwu i odpornych na ból herosów nie mieli w tamtych czasach samochodów, pieszo musieli więc pokonywać długie trasy. Także, a może przede wszystkim tę prowadzącą w górę do kościoła parafialnego.

Trudno jest ocenić wpływ religii na życie Finów. Statystycznie rzecz ujmując, są oni tak wyraziście zdeklarowanymi członkami Kościoła Ewangelicko-Luterańskiego, jak społeczeństwo Arabii Saudyjskiej wyznawcami islamu. W Finlandii panuje wprawdzie absolutna wolność religijna, ale ponieważ nie ma praktycznie innej religii, nie ma też nikogo, kto chciałby odebrać im tę wolność. Katolicy stanowią przykładowo 0,2% całego społeczeństwa.

Zgodnie z konstytucją kraj ten jest pewnego rodzaju teokracją. Do dnia dzisiejszego nie istnieje w Finlandii wyraźny rozdział pomiędzy Kościołem a państwem, co jest standardem w większości cywilizowanych krajów. I tak każde nowo narodzone fińskie dziecko zostaje uznane przez tutejsze urzędy państwowe, bez pytania i automatycznie, za nowego luteranina. A głowa państwa stoi z urzędu także na czele fińskiego Kościoła luterańskiego. Nie wdając się w szczegóły - jest to konstytucyjny relikw z czasów rosyjskiego panowania w Finlandii, kiedy władzę sprawował car, tyle że fiński „car” jest wybierany od roku 1918 przez naród w demokratycznych wyborach i nazywa się *presidentti*.

Tarja Halonen sprawuje urząd prezydenta od roku 2000 i jest jednocześnie głową Kościoła luterańskiego. Po raz pierwszy w historii Finlandii tę najwyższą funkcję piastuje osoba, która wcześniej wystąpiła z tego Kościoła. Była wtedy studentką. Niefortunna sytuacja. Finowie

nie rozmawiają chętnie na ten temat. Bo przecież nikt nie wziąłby Tarji, praktycznie myślącej socjaldemokratce, za złe, gdyby wraz z objęciem nowego urzędu wyraziła chęć powrotu na łono Kościoła. Ona jednak, odwołując się do kwestii sumienia i wiarygodności, poleciła zamiast tego zmienić konstytucję.

Co chcę przez to powiedzieć? Finka traktuje religię bardzo poważnie, przede wszystkim wtedy, gdy jest ateistką. Absolutnie nie pozwala nikomu mieszać się w te sprawy. Moja Finka czyni podobnie.

Ponowna zmiana wyznania nigdy nie była brana pod uwagę, dlatego uważam to wręcz za zrządzenie losu, że mój ojciec, tuż po moich narodzinach, przepisał naszą rodzinę do Kościoła Ewangelicko-Luterańskiego. Zamiast obowiązku płacenia podatku na rzecz krajowego Kościoła Ewangelicko-Reformowanego dawaliśmy jako badeńscy luteranie wyłącznie dobrowolne datki. Dla każdego człowieka znającego prawo, a taki był bez wątpienia mój ojciec, z zawodu prawnik, ten fakt oznaczał możliwość ignorowania wszelkich żądań bez jakichkolwiek następstw.

Jestem więc od dziecka zdeklarowanym luteraninem i jako mieszkaniec Unii Europejskiej mam prawo, także w Finlandii, do zawarcia ślubu kościelnego zgodnie z moim wyznaniem.

Dzięki odrobinie szczęścia i kontaktom udało się nam przekonać drogą e-mailową Maiję Peltonen, pastora fińsko-luterańskiej parafii w Berlinie, aby spełniła nasze marzenie o nabożeństwie ślubnym odprawionym w dwóch językach. Koszty podróży i noclegu pokryje oczywiście fiński

podatnik odprowadzający część swojego dochodu na rzecz Kościoła. Pani Peltonen potwierdziła przybycie, gdyż i tak planowała spędzić urlop w Finlandii.

Kocham ten kraj. A wszystkich, którzy w swym świętym oburzeniu krzyczą i zarzucają mnie oraz mojej wybrance heretyckie pasożytnictwo - nasze zachowanie podkopuje istotę i strukturę Kościoła jako instytucji - proszę, aby ponownie zajrzeli w głąb siebie i zastanowili się, czy takie oskarżenie jest rzeczywiście moralnie usprawiedliwione.

W końcu rzecz przedstawia się następująco: osoba naprawdę wierząca nie potrzebuje kościoła. Może modlić się w domu, tu wielbić i sławić Pana, śpiewać, studiować święte księgi i właśnie w tym miejscu rozmawiać bezpośrednio ze swoim Bogiem. Osobę niewierzącą byłoby raczej trudno przekonać do ślubu w domu. Nikomu innemu, tylko niewierzącym, Kościół zawdzięcza od dawien dawna swoją egzystencję jako instytucja. To właśnie ci ludzie potrzebują najpilniej wszelkich usług, ofert i duchowych przekazów ze strony Kościoła.

A tak na marginesie: czy to jest moja wina, rozpatrując kwestię w duchu protestantyzmu, że nie otrzymałem do dnia dzisiejszego daru prawdziwej wiary? A zatem nikt inny tylko ja mam powód, by się uskarżać!

Oczywiście żadna z tych myśli nie pojawi się w trakcie dzisiejszej rozmowy przedślubnej. Cóż, trudno się dziwić, że błądzą po mojej głowie takie przemyślenia, skoro przez pół godziny wystawiam ją na podmuch fińskiego powietrza

i zadaję sobie pytanie, czy ta brązowa gęsta ciecz, która kapie z otworów wentylacyjnych na dźwignię zmiany biegów, jest łatwopalna czy nie.

W końcu jesteśmy, prawie punktualnie. Umówiliśmy się w kawiarni naprzeciw cmentarza.

KAŻDY CHŁOPIEC

- Czy wiesz, dlaczego ta kawiarnia nazywa się Hypoteekki? - pytam moją przyszłą żonę.

- Nie pytaj - odpowiada. Wygląda przemoczoną bluzkę i poprawia zaporowane okulary.

Dobrze. Nie zadaję więcej pytań. Jest trochę podenerwowana. To zrozumiałe. Dzisiaj po raz pierwszy spotkamy się z naszą panią pastor. Jednak błędem byłoby sądzić, że nie wiemy, czego możemy się spodziewać. Jak wygląda pani Peltonen, jest *a priori* jasne.

Nosi okulary w przykuwającej wzrok oprawie z tworzywa sztucznego - w kolorze krzykliwej zieleni, jasnego błękitu lub głębokiej czerni. Jej włosy są krótko przycięte i zafarbowane na jeden z odcieni henny. Ma około 165 cm wzrostu i masywną budowę ciała, ale w żadnym razie nie można powiedzieć, że jest gruba lub pulchna. Ma na sobie jednokolorowe spodnie w pastelowej tonacji, a w klapę zakietu wpięta jest duża mosiężna lub drewniana broszka - od razu rzuca się w oczy. Będzie się do nas uśmiechać, patrząc na nas swoimi wąskimi oczami, niemalże schowanymi za wystającymi kośćmi policzkowymi.

Każda Finka między 50. a 60. rokiem życia tak wygląda. Mistyczna tajemnica.

- Wyglądasz elegancko - mówię do mojej przyszłej żony, co jest prawdą, jeśli ominiemy wzrokiem jej mokre włosy.

To nie jest żaden problem w Finlandii. Mam na myśli umieć się dobrze ubrać. Moja Finka ma dzisiaj na sobie to, co każda porządna Finka w jej wieku włożyłaby na taką okoliczność: bluzkę marki Marimekko* z kwiatowym motywem rozwiniętego maku autorstwa Maiji Isoli w stylu lat sześćdziesiątych, w biało-czarnym wariacie kolorystycznym. Takie bluzki można kupić również w tonacji czerwono-białej, zielono-białej i niebiesko-białej.

Jeśli byli Państwo choć raz w Finlandii albo siedzieli w samolocie z fińską rodziną, to znają Państwo ten wzór. To jakby druga flaga narodowa. Znajduje się on nie tylko na bluzkach, lecz także na spódnicach, obrusach, skarpetach, kaloszach, drewniakach, rękawicach do kąpieli, zasłonach, pościeli, kurtkach, torbach, portmonetkach, ręcznikach, poduszkach, łapkach do garnków, osłonkach termicznych na dzbanki do herbaty, na talerzach, tacach, breloczkach do kluczy, walizkach podróżnych, na etui do okularów, na sakiewkach noszonych na piersi, kapelu-

* Marimekko to produkująca fińska firma włókiennicza. Istnieje od 1951 roku, kiedy to po zakończeniu II wojny światowej mieszkańcy Finlandii poszukiwali koloru i nowych, świeżych idei. Marimekko uznawana jest za klasykę skandynawskiego wzornictwa użytkowego. Nazwa pochodzi od dwóch wyrazów: Mari (imię założycielki firmy brzmi Armi i stąd pierwszy człon nazwy) oraz słowa *mekko*, które po fińsku oznacza *sukienka*.

szach przeciwsłonecznych, rękawiczkach, pokrowcach na telefony komórkowe, podstawkach, wózkach dziecięcych, szkolnych tornistrach, plecakach, podkładkach na biurko, wygaszaczach ekranu, rowerach, na notatnikach z ręcznie czerpanego papieru i magnesach na lodówkę. Wszędzie wzór marki Marimekko. To oczywiste.

Fiński dom bez tego wzoru?

Nie do pomyslenia.

A wszystko zaczęło się od bluzki projektu Maiji Isoli. Jest ona matką wszystkich wzorów marki Marimekko, a one są drogowskazem, jak być dobrze ubranym. Zdarza się więc - i to nierzadko - że na uroczystościach rodzinnych lub różnego rodzaju przyjęciach kilka pań, czasami jest to nawet spora grupa, ma na sobie tę samą bluzkę, co, zdaje się, nikomu nie przeszkadza i nie daje powodu do kpin.

To był chyba czwarty lub piąty rok naszego związku. Odważyłem się wtedy zapytać moją fińską partnerkę, wyraźnie zrelaksowaną, czy bluzki nie mogłyby mieć innych motywów i co ma w sobie ten wzór z tymi nad wyraz dużymi, rozwiniętymi makami.

- On jest po prostu ładny - to była szybka odpowiedź.

No jasne. Bo gdy coś jest ładne i do tego jeszcze po prostu ładne, to nie stanie się mniej ładne tylko dlatego, że wszyscy uważają to za ładne. Piękno dla wszystkich, tak można by podsumować tę na wskroś demokratyczną filozofię kwiatowego wzoru, *unikonkukkakuviofilosofia*, stworzonego przez Maiję Isolę. Nawet jeśli w efekcie końcowym oznacza to, że wszystkie kobiety noszą takie same bluzki.

To nie jest problem dla Finek. Wręcz przeciwnie. To jakby obrazowe przedstawienie zasad leżących u podstaw ich kultury.

Mam teraz przed oczami moją ciotkę Gertrud stojącą w wąskiej kuchni swojego domu w Bennewitz. Ma na sobie poliestrową bluzkę w fioletową kratę, a jej oczy są zakryte przez okulary w ciemnoszarych rogowych oprawkach. Przygotowując dla mnie wodę z cukrem, wskazuje na szarą torbę wykonaną z grubego papieru paczkowego.

- Wiesz, Mały - mówi - w zasadzie mamy tutaj wszystko, tylko mogłoby to wyglądać trochę ładniej.

Wydrukowanie makowego wzoru autorstwa Maiji Isoli na wszystkich produktach marki NRD niewiele by prawdopodobnie kosztowało. Mogę sobie nawet wyobrazić, że Kekkonen pozwoliłby się przekonać w saunie do odstąpienia Ulbrichtowi* licencji na użytkowanie tego motywu.

W każdym razie Finlandia nadal istnieje. I to jak.

- Ty też dobrze wyglądasz - szepcze Pia i ma na myśli przede wszystkim moją koszulę.

- Wiem - odpowiadam.

Naprawdę to wiem. Mam na sobie koszulę z długimi rękawami, w podłużne pasy, w tonacji niebieskiej. Mam takie koszule także w innych wariantach kolorystycznych, ponieważ od siedmiu lat z okazji urodzin otrzymuję od mojej Finki koszulę w podłużne pasy marki Marimekko oraz koszulę w poprzeczne pasy marki Marimekko z okazji

* Walter Ulbricht - komunistyczny polityk, przewodniczący Rady Państwa Niemieckiej Republiki Demokratycznej, I sekretarz Socjalistycznej Partii Jedności.

świąt Bożego Narodzenia. One są po prostu ładne. Lubię je. Ale przede wszystkim dają mi one poczucie, że jestem naprawdę dobrze i odpowiednio ubrany na każdą fińską okazję. Tę w grube poprzeczne pasy wkładam na co dzień, tę w drobne podłużne pasy, bardziej subtelną - w celach reprezentacyjnych. Ponieważ obie koszule zostały wykonane, jak czytam na metce, w Finlandii, oznacza to, że są praktycznie niezniszczalne. Patrząc na garderobę Aulisa, wnioskuję, że ich przeciętny czas noszenia wynosi przynajmniej 30 lat. Do końca życia nie muszę więc zaprzętać sobie głowy męską odzieżą wierzchnią. Jestem w nią zapatrzony.

To jest chyba jakiś genialny żart ze strony koszuli. Ta wytrzymałość materiału! Ponadto nie sprawia ona wrażenia ciężkiej, sztywnej czy niedopasowanej. Wręcz przeciwnie, jest tak uszyta, że idealnie okrywa ciało noszącego ją. Tak, jakby wiedziała, że musi je chronić przed atakami fińskich komarów i gzów. A jednocześnie jest przewiewna, oddycha i nie wchłania potu, szybko też schnie. Nawet o jej okrągłych aluminiowych guzikach, prześlizgujących się idealnie przez dziurki, można by pisać ody.

Ale najpiękniejszą rzeczą w tym kawałku materiału jest bez wątpienia jego nazwa: Jokapoika, czyli każdy. A dosłownie tłumacząc: każdy chłopiec. Nikt nigdy nie nazwał lepiej części garderoby. To jest więcej niż tylko koszula, to jest manifest polityczny.

Gdybym w dniu dzisiejszym nie miał na sobie Jokapoiki, sprowokowałbym zamieszanie nie mniejsze od tego, które wywołałbym, podjeżdżając pod dom najnowszym modelem cabrio firmy Daimler. Postrzegano by mnie

jako mężczyznę, który ma lekceważący stosunek do urodzinowych prezentów od swojej przyszłej żony. Pozwala, by marnowały się gdzieś tam w szafie. Możliwe, że nazwano by mnie nawet upartym nonkonformistą, który nie ma w sobie nawet odrobiny chęci, by odnaleźć się w społeczeństwie i kulturze swojej przyszłej małżonki. Zapewniam, takie zachowanie nie jest dobrze widziane w tym kraju.

- Rozepnij górny guzik - prosi moja Finka. - Koszula zapięta aż pod sam kołnierzyk to zupełnie nie po fińsku.

Wszystko, co tylko chcesz, moje Serce. Wszystko. Dzisiaj nie podaję niczego w wątpliwość. Ponieważ mając na sobie przemoczoną i pachnącą intensywnie spalinami z rury wydechowej koszulę marki Marimekko w jasnoniebieskie oraz ciemnoniebieskie pasy, jestem postrzegany przez całą wieś jako mężczyzna, który ma styl i potrafi się odpowiednio ubrać.

I kiedy dostrzegam siedzącą przy narożnym stoliku sympatyczną damę ubraną w spodnium w kolorze mięty, w okularach w jasnozielonych rogowych oprawkach, która zamyślona skubie ciasto drożdżowe, *pulla*, i w miły sposób podejmuje kontakt wzrokowy, nawet cieszę się troszeczkę na myśl o rozmowie. Ale szybko okazuje się, że najpierw chciałaby porozmawiać z moją przyszłą żoną.

- Potem poproszę pana - mówi pani Peltonen.

CYRKIEL

Rozmowa ze mną będzie krótka.

- Bardzo miły jest pana przyszła żona - mówi pani Peltonen, gdy powraca z kolejnym kawalkiem *pulla*.

- Dziękuję, też tak uważam.

Wyjaśnia mi, że fińska parafia w Berlinie nie może pobierać podatku kościelnego, więc uprosiła swoich członków o płacenie dobrowolnej składki w takiej samej wysokości. Ona oswoiła się już z tego typu praktykami i w pełni je zaakceptowała. Pozostała nam do omówienia jeszcze jedna drobna sprawa, kontynuuje, ta piosenka, która ma rozbrzmieć, zgodnie z naszym życzeniem, na początku ceremonii kościelnej.

- Tak, *Into My Arms* Nicka Cave'a, cudowny utwór - mówię. - To był mój pomysł, Pia przesłała pani tekst e-mailem. Prosiła pani o to.

- Tak - potwierdza, a następnie wyjmuje z aktówki marki Marimekko zieloną celofanową osłonkę, poprawia okulary w oprawkach w tym samym kolorze i wskazuje palcem na pierwszą linijkę tekstu. Chciałaby przede wszystkim omówić początek: *I don 't believe in an intementionist God*. Pyta mnie, co autor miał na myśli, pisząc o Bogu interwencjonistycznym.

- Sądzę, że myślał o Bogu, który ingeruje i interweniuje.

- W co ingeruje? - dopytuje pani Peltonen.

- W nasze życie, w nasz świat, tak to rozumiem.

- Hm - zamyśla się pani Peltonen i odrywa kolejny kawałek ciasta.

- Tak - wyjaśniam - to miłosna piosenka, która mówi o tym, czego życzy sobie wzajemnie kochająca się para. Każda strofa, jak pani zauważyła, kończy się zawołaniem *O Lord, o Lord**, to znaczy, idea Boga nie zostaje zupełnie odrzucona, lecz przypisuje się mu inne znaczenie. Przywołany tu Bóg nie jest już tym, który, że tak powiem, osobiście troszczy się o to, żeby moja żona powróciła teraz bez szwanku z salonu fryzjerskiego.

- Po co więc zanoszą się modły do tego Boga - pyta pani Peltonen - skoro on już nie może i nie umie ingerować?

- Jako wyraz nadziei człowieka - odpowiadam i dostrzegam konieczność sięgnięcia w przeszłość.

William Blake, poeta i malarz żyjący w XVIII wieku, pozostawił cudowny rysunek. Nawiasem mówiąc, Cave zajmował się intensywnie dziełami Blake'a, rozważał nawet napisanie sztuki teatralnej opowiadającej o jego obrazach. Rysunek Blake'a, właściwie szkic o stworzeniu świata, ukazuje rękę Boga, który przykładą do kuli ziemskiej cyrkiel. Biorę dwa widelczyki do ciasta i układam je nad drożdżowym kawałkiem pani pastor.

- Do czego potrzebny jest Bogu cyrkiel? - pytam. - To narzędzie zrobił człowiek dla człowieka...

- Ale przecież Bóg ingeruje za pomocą cyrkla właśnie - zauważa pani Peltonen.

- Tak - mówię - za pomocą cyrkla. Ale jeśli jest to scena stworzenia świata, to skąd pochodzi cyrkiel? I po co Bóg go potrzebuje? To jest poniekąd paradoks.

- Rozumiem - pani Peltonen kiwa głową i odrywa kolejny kawałek *pulla*.

- Można to również wyjaśnić w o wiele prostszy sposób. Na pewno widziała pani w telewizji brazylijskich mistrzów w piłce nożnej, którzy po wygranym finale ściągają swoje koszulki, a pod nimi mają kolejny T-shirt z napisem: DZIĘKUJE, JEZUSIE lub BÓG JEST NAJWIĘKSZY.

- Tak, widziałam.

- Myślę wtedy o Bogu, który wspiera tych graczy i pomaga im wygrać finał. Tak, czasami w sytuacji wyjątkowej ingeruje we własnej osobie i spycha piłkę poza linię lub wpływa na korzystny przebieg meczu. I ten, kto wierzy w takiego Boga, wierzy w Boga interwencjonistycznego.

- Ale gracz mają na sobie koszulka już przed i w czasie meczu - mówi pani Peltonen.

- To prawda, ale jeśli mecz przegrają, nie pokazują T-shirtów - mówię. - Bóg, o którym śpiewa Cave, jest Bogiem, który żyje dla nas wśród nas. Można by to odczytać jako najważniejsze przesłanie Nowego Testamentu, zgodnie z interwencjonistycznym punktem widzenia. Bóg zostaje zesłany do naszego świata pod postacią Jezusa; ten Bóg nie jest już wszechmocny, musi sam odnaleźć się w miłości, którą my, ludzie, obdarzamy siebie wzajemnie. To już nie jest Bóg, który wygrywa za nas finał w piłce nożnej lub decyduje za nas w jakiegokolwiek innej sprawie.

- Ponieważ już nie potrafi, czy już nie chce?
- Ponieważ już nie potrafi tego dokonać - odpowiadam.
- W Boga, który potrafi, nie wierzę. Takiego Boga postrzegalbym jako prymitywnego, brutalnego i - w dosłownym tego słowa znaczeniu - nieludzkiego.
- Panie Eilenberrrrger - mówi pani Peltonen po dłuższej chwili milczenia. Nie ułamała w tym czasie ani jednego kawałka ciasta.
- Och, proszę mi mówić Wolfram - proponuję, ponieważ w Finlandii wszyscy są ze sobą na ty.
- Wolfrrrrrram - zaczyna od początku - może powinniśmy pomyśleć jednak o innej piosence.
- Hm, dobrze, rozumiem, oboje, ja i moja przyszła żona, kochamy szczególnie uverturę do *Lohengrina*. Tak, musielibyśmy ją trochę skrócić.
- Nie - mówi pani Peltonen i spogląda przez okno w stronę *kioski*. Pozostawia mi dostatecznie dużo czasu, bym zrozumiał, że dotarłem właśnie na rozdroże mojej fińskiej egzystencji. Jeszcze jedna błędna propozycja i mogę zapomnieć o naszym dwujęzycznym nabożeństwie ślubnym, w ogóle o zaślubinach w kościele.

- No, co tam u was słyhać? - pyta Pia i od tyłu obejmuje mnie mokrymi ramionami. - Potwierdziłam już termin u fryzjera.
- Jak to dobrze, że już jesteś - zbyt rzadko dociera do mnie głęboki sens tego zdania.
- Tak, dzięki Bogu - dołącza do mnie pani pastor i w krótkiej rozmowie w języku ojczystym, w której ja już nie uczestniczę, obie panie zdecydowały się na *Fin-*

landią, hymn napisany przez Sibeliusa. Utwór ten rozpocznie naszą ceremonię.

- Mimo to kocham cię - mówi moja Finka, kiedy po raz kolejny opowiadam jej w szczegółach, że dwa tygodnie temu, w Hypoteekki niewiele brakowało, a nie doszłoby do ceremonii w kościele.

Gdyby nie Maija Peltonen, nie pozostałoby nam nic innego, jak udać się z naszymi gośćmi weselnymi na kładkę przy *mokki* z nadzieją, że Senni i Samuli przelecą nad nami w odpowiedniej chwili, by pobłogosławić nasz związek z wysokości.

- Wyjaśniłem pani Peltonen wszystko tak, jak omówiliśmy to oboje - mówię nadal trochę wstrząśnięty tamtą rozmową.

- No tak, ale *Finlandia* to także piękny utwór - Pia drapie mnie po karku.

Bóg jeden wie. I dopiero teraz, w tym momencie rozumiałem, co naprawdę wydarzyło się wtedy w kawiarni. Zostawiłem je tylko na 20 minut. Siedziałem na zewnątrz, na drewnianej ławce i patrzyłem na cmentarz. Niczego nie przeczuwając, jadłem chleb żytni z lososiem, podczas gdy tam w kawiarni...

Oblęd, ach, te Finki.

**IHME JA KUMMA -
DZIW NAD DZIWY**

MISS UNIYERSUM

Noc latem to wieczny świt. Na niebie pojedyncze chmury, niemalże na wyciągnięcie ręki. Późnym popołudniem nadal mienia się bielą, by pod wieczór przyjąć złocisty, a następnie purpurowy odcień. W końcu tracą swoje kontury w zielonej poświacie nocy.

Wszystko będzie dobrze, jutro jest nasz dzień.

Liisa, wykonując radosny podskok, obwieszcza w prognozie pogody na kanale YLE TV1*, że nad całą Suomi będzie przez weekend świecić słońce. Nawet w Kittilä, na końcu świata, termometr powinien pokazać temperaturę powyżej 25 °C. Tylko przez pięć, sześć dni w roku niebo nad tym krajem jest tak niebieskie. Rzadko jest tych dni więcej. Czasami jest ich nawet mniej.

To są letnie dni. Lato, jak postrzegają je Finowie, zaczyna się w Finlandii 1 maja, gdy mieszkańcy Turku, najcieplejszego miasta w kraju, stawiają się na piknik nad brzegiem rzeki Aurajoki. Kilka godzin później studenci,

* Yleisradio (YLE) - fiński publiczny nadawca radiowo-telewizyjny, istnieje od 1926 roku. YLE TV1 - pierwszy i najstarszy kanał telewizyjny w Finlandii (wiadomości, publicystyka, kultura i rozrywka, filmy).

rozgrzani *koskenkova**, ściągają swoje wierzchnie ubrania, by w spodenkach kąpielowych lub bikini zjechać na sankach ze wzgórza uniwersyteckiego.

Następna ważna data przypada na trzeci weekend czerwca. W piątkowe popołudnie w ciągu kilku godzin pięć milionów Finów rozdziela się w małych, rodzinnych grupach na więcej niż 700 tys. *mokki*, by następnie z okazji Juhannus, święta związanego z letnim przesileniem, ogrzać się wspólnie z innymi przy potężnych ogniskach rozpalonych nad jeziorami, niedaleko domów parafialnych. Ubrani w swetry z kapturami i kalosze piją kawę, *kahvi*, i jedzą grillowane kielbaski, *makkara*. Od teraz, każdy czuje to w swym sercu, choć nie chce tego wiedzieć, dni znowu będą krótsze. Za pięć tygodni spadnie w Kittila pierwszy śnieg i karawana z domków letniskowych, *mokki*, powróci na rozpoczęcie roku szkolnego do miast (Helsinki) i miasteczek, do wąskich własnościowych mieszkań.

Najpierw dojrzewa poziomka, *metsdmansikka*, dwa tygodnie później na polach przypominających bezkresne morze mieni się czarna jagoda, *mustikka*. W końcu pojawia się malina moroszka, *lakka*, żółta jak kurka *kanttarelli*, i ukryta głęboko w lesie jak borowik *herkkutatti*. Wszystkie te skarby trzeba najpierw znaleźć, potem zerwać, następnie oczyścić, by w końcu zamrozić je w małych plastikowych miseczkach. Przez długą zimę będą dodawane rano do owsianki lub wieczorem do lososia, a towarzyszyć temu będzie myśl o kolejnym lecie. Wtedy, najczęściej pod

* *Koskenkorva* znana również pod krótszą nazwą *kossu* to najbarziej popularna wódka (38% alkoholu) w Finlandii.

koniec lipca, przez kilka baśniowo pięknych dni - można je policzyć na palcach jednej ręki - jeziora mienia się miliardem iskerek rozpalonych przez południowe słońce, a najszcześniejsi wśród Finów wyprawiają na wsi wesele, *kesahaat**

- Moja Piękna, jak opisałabyś swój kraj w trzech zdaniach? Robert zadał mi dzisiaj to pytanie przy grillu.

Robert to mój szwagier. Jest dziennikarzem radiowym, głęboko przekonany, że wszystko, co umysł ludzki jest w stanie pojąć, można wyjaśnić przy odrobinie dobrej woli i wystarczającym wyszkoleniu w ciągu 30 sekund. W rozmowach z Robertem czuję się trochę stłamszony.

- Dobre pytanie. Powiedziałabym tak: Finlandia jest w stosunku do Ziemi tym, czym Ziemia wobec wszechświata. Wiesz, my jesteśmy trochę daleko od centrum, i kiedy przelatujesz nad nami, myślisz, ach, tu są tylko woda i chmury. Dlatego też niewielu decyduje się, by tu wylądować. Nic nie szkodzi, jak na razie dajemy sobie całkiem dobrze radę sami.

Brzmi to może zwyczajnie, a jednak przekonująco. Poza tym powyższy opis tylko potwierdza wyobrażenie o Finii, sympatycznym autsajderze. Do głosu doszła również romantyczna natura i skrywana duma: niczemu i nikomu nie jesteśmy nic dłużni.

Ale wypowiedź mojej przyszłej żony można zinterpretować także inaczej, bo i pychę słychać w jej słowach. Czy dokonując powyższej charakterystyki, nie chce dać do zro-

* *Kesahaat* (fin.) - ślub latem. Lato to najbardziej pożądana pora weselna w Finlandii, najbardziej oblegany termin to *juhannushaat*, czyli wesele 24 czerwca; terminy rezerwuje się kilka lat wcześniej.

zumienia, że jej ojczyzna jest jedynym miejscem na Ziemi, gdzie kwitnie prawdziwie inteligentne życie, że te niepozorne, biało-niebieskie plamy na mapie świata należy traktować jako duchowo-kulturalne centrum naszego uniwersum?

Oczywiście, że chce, ponieważ głęboko w swym sercu w to wierzy. Każdy znany mi Fin myśli tak samo.

- Rozumiem, więc ty jesteś moją Miss Universum?

- Przecież wiesz, że Finka była kiedyś naprawdę Miss Universum - odpowiada moja Finka. W tej sprawie, podobnie jak i w innych kwestiach dotyczących Finlandii, brakuje jej poczucia humoru. - Armi Kuusela w roku 1952, a w 1975 roku wygrała Annę Pohtamo.

Jasne, wiem to. Matti Klingę w *Krótkiej historii Finlandii*, legendarnym już dziele, podkreśla w sposób szczególnie zwycięstwo Armi Kuuseli. Na jednej ze stron umieszcza zdjęcie rozpromienionej zwyciężczyni, a tuż pod nim napis: *Jak ważny był ten gest uznania dla Finlandii jeszcze niepewnie stojącej na nogach w okresie powojennym, niech świadczy ogromne zainteresowanie na obszarze całego kraju sukcesem córki rolnika, Armi Kuuseli, która w roku 1952 otrzymała tytuł Miss Universum.*

Już w czasie pierwszych minut podczas mojej pierwszej wizyty w domu przyszłych teściów zrozumiałem, jak wybitną postacią jest dla Fina Kuusela. W kuchni na ścianie nadal wisiał plakat ze zwyciężczynią, choć już pożółkł przez lata i pofalowany przyjął formę papierowej harmonijki. Na moje pytanie, wyrażające grzecznościowe zainteresowanie, pani domu, Pirkko Paivió odpowiedziała:

- *Armi Kuusela, Miss Universe, married a man from the Phillipines, hotel guy, smali andfat was he, five children...*

No good - po czym wyciągnęła z lodówki półlitrową puszkę lapin kulta i z hukiem podsunęła mi ją pod nos. To była niedziela, w pół do jedenastej rano.

- To gest sympatii - szepnęła mi do ucha moja Finka i zasugerowała, że lepiej będzie, jeśli wypiję to piwo, co też uczyniłem. Małe gesty są szczególnie ważne podczas pierwszego spotkania. I do dzisiaj czuję się usprawiedliwiony z powodu tych frywolnych chwil spędzonych z moją przyszłą żoną kilka godzin później w saunie jej rodziców, do której odważyliśmy się wejść na chwiejnych nogach. No cóż, nie jestem raczej przyzwyczajony do picia piwa o tak wczesnej porze.

W roku 1952 odbyły się w Helsinkach Letnie Igrzyska Olimpijskie. Fiński mistrz, biegacz Paavo Nurmi zapalił ogień, a Pirkko radowała się głośno na stadionie i po raz pierwszy w życiu w wieku szesnastu lat zobaczyła w czasie przemarszu drużyn narodowych czarnoskórego człowieka, *musta mieś*. Starszy szeregowy w cywilu Aulis Paivió trzymał jako ochotnik taśmę graniczną na punkcie kontrolnym, na 22,5 km biegu maratońskiego.

- *Zatopek won. No rain. Sun was shining* - jeszcze dzisiaj wspomina chętnie tamte chwile, ale nawet mój profesjonalnie wyszkolony szwagier Robert nie był w stanie skłonić tego dobrodusznego mężczyzny do dłuższych wspomnień. Kończyło się zawsze na trzydziestu sekundach, w których wypowiadał tych kilka słów.

Oprócz drewna i biegaczy na długich dystansach to kobiety były zdecydowanie najlepszym produktem eks-

portowym Finlandii w okresie powojennym. W samej tylko aglomeracji hamburskiej przeszło pięć tysięcy Finek, idąc śladem Kuuseli, szukało i znalazło męża wśród Niemców. Te odważne pionierki są do dnia dzisiejszego prawdziwym fundamentem stosunków niemiecko-fińskich. Na początku na pewno nie wszystko było dla nich łatwe.

Również dla ich mężczyzn.

PIECZĘCIE

- Pani Paivió, potrzebna jest nam uwierzytelnienie, bez uwierzytelnienia nie możemy nic zrobić, pani Paivió - Pia przedrzeźnia nieznaną mi pracownicę urzędu Friedrichshain-Kreuzberg i przysięga, że „nigdy więcej” nie pójdzie „do tego głównianego urzędu”.

- Potraktowano mnie jak jakaś Rosjanka! - krzyczy, jakby odchodziła od zmysłów, i niewiele brakuje, by cisnęła o ścianę jedynym w naszym gospodarstwie domowym wazonem projektu Alvara Aalto. - I wiesz, potem dzwoni ono do swojego szefa i pyta, czy Finlandia rzeczywiście jest w UE. Czy FINLANDIA jest w UNIA EUROPEJSKA, czy ty możesz to sobie wyobrazić?!

- Mogę to sobie wyobrazić, ale teraz odstaw, proszę, wazon. To jest właśnie wschód. Oni traktują wszystkich jak Rosjan, nie możesz odbierać tego tak osobiście.

- W takim razie nie pobierzemy się! - krzyczy moja Finka. Oraz: - Oni nawet nie mają e-maila!

- Przecież wiem, to nie Finlandia.

- Ale miałam przy sobie dyrektywę, pokazałam jej paragraf, tam wszystko jest napisane.

- Ale tylko po fińsku - wtrącam z wyrzutem.

- Jeśli tylko chce, to znajdzie po niemiecku. Powiedziałam do niej: „Paragraf 47, możesz to znaleźć, jeśli tylko chcesz!”.

- Mówiłaś do urzędniczki na ty? - pytam i obiecuję, że następnym razem pójdę z nią do urzędu.

-Ale ja już nie pójdziesz. Czy nie możesz pójść sam do tego głównianego-dupek-niemiecki-urzędu?

Czasami bywa bardzo niesprawiedliwa. Moja Finka.

Minęło półtorej godziny. Jesteśmy w urzędzie. Miga numer 281. Dla nas. Drugie piętro, w prawo, trzeci pokój. Pan Wensauer, kierownik. Pan Wensauer jest, jak się szybko okazało, żonaty z Finką. Szczęśliwie, dodaje. Jego żona pochodzi z Kouvoli, ale poznali się w Hamburgu.

W Kuovoli mieszka kuzynka Pii. Natychmiast przywołane zostają nazwiska wspólnych znajomych. Bo w Finlandii każdy mieszkaniec ma w każdej miejscowości tego kraju co najmniej jednego krewnego lub przynajmniej byłego partnera bądź byłą partnerkę krewnego. To jest subtelnie utkana sieć, w którą każdy wpada.

Roztrząsamy plusy i minusy promów kursujących z Rostocku lub Travemunde. Rozmowy między mężczyznami Finek.

- Od 23 lat - wyjaśnia pan Wensauer - jeżdżę każdego roku, na miesiąc, z moją żoną do *mokki*, i od 23 lat przewożę z Niemiec dla mojego fińskiego szwagra samochody. Stare golfy, ople lub mazdy, są na nie napaleni - kontynuuje pan Wensauer i potrząsa przy tym zabawnie głową.

-Ale cały ten kram komplikuje się z każdym rokiem coraz bardziej. Polacy, rozumie pan, oni wszystko wykupują.

- Tak, i Rusjanie - dodaje Pia.
- No to proszę pokazać dokumenty.

Na tę chwilę moja Finka pracowała intensywnie przez dwa minione tygodnie. Spędziła je na licznych i długich rozmowach telefonicznych prowadzonych z fińskimi urzędami, w czasie których dość często używała słów *ita-Berliini* i *vanha fasistinen***.

Odniosłem wrażenie, że bawią się przy tym, moja przyszła żona i jej rozmówczynie po drugiej stronie zatoki morskiej, doskonale.

Wyciągnęliśmy więc dokumenty. Są wszystkie, tylko nadal nierozstrzygnięta pozostaje kwestia aktu urodzenia.

Rzecz ma się następująco: w Finlandii nie ma metryk urodzenia. Właściwie ta sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana. Od kilku lat nie ma w Finlandii także dokumentów oryginalnych, lecz wyłącznie osobiste pliki, które samemu można wydrukować z komputera w dowolnym miejscu świata tak często, jak się tylko chce. A skoro nie ma oryginałów, nie ma też uwierzytelnionych kopii tych oryginałów. Jakby wszystko ulotniło się w powietrzu. W zasadzie nie jest trudno to zrozumieć, najwidoczniej jednak, w kwestii formalnej, ta sprawa przerosła pracownice administracji Berlina Wschodniego.

Poza tym od roku 1999 obowiązuje na obszarze Unii Europejskiej nowa ustawa, zgodnie z którą dokumenty każdego mieszkańca UE są ważne w oryginalnej wersji w każdym innym kraju Unii; ewentualne tłumaczenia są sprawą urzędów, a nie samych obywateli. Pii udzielono jednak rady (tak, ta wspomniana już wcześniej urzędniczka), aby

* Berlin Wschodni (fiń.).

** Starzy faszyci (fiń.).

sama pokryła koszty tłumaczenia w wysokości ok. 500 euro, gdyż biorąc pod uwagę obecną sytuację finansową kraju związkowego Berlin, musi się liczyć z co najmniej rocznym okresem oczekiwania na tłumaczenie uwierzytelnione, zlecone przez urząd.

To była tylko dobra rada. Skłoniła ona jednak moją Finkę do podjęcia kontaktu z mało jej znaną fińską posłanką Parlamentu Europejskiego, by zapewnić sobie u niej bezwarunkowe wsparcie. Poza tym każdego wieczoru ćwiczyła przed lustrem wymowę niemieckiego słowa *Praxe-denzfalt*, na wypadek gdyby i dzisiaj złożono jej podobną propozycję. Wtedy byłaby gotowa zaciągnąć kraj związkowy Berlin w przyspieszonym trybie postępowania przed Europejski Trybunał Sprawiedliwości. Od początku byłem przeciwnikiem takiej taktyki. Ale taki postawiła warunek, inaczej nie poszłaby ze mną do urzędu.

Pan Wensauer, jak się okazało, znał bardzo dobrze paragraf 47 i zapewnił Pię, że sprawnie to wszystko załatwi. Zaskoczył go jednak jeden z fińskich dokumentów, na którym napisano dużą czcionką „Birth Certificate” i który ostemplowano niebiesko-białymi pieczęciami. Najwidoczniej udało się mojej Fince przekonać urzędniczkę z jej kraju ojczystego, aby stworzyła na komputerze wymyślony fiński akt urodzenia, przetłumaczyła go własnoręcznie, a następnie przybiła tyle urzędowych pieczęci, ilu nie miał chyba żaden inny dokument. Niemieccy urzędnicy, tak myśli Pia, szaleją na punkcie pieczętek.

Moja Finka robi czasami takie rzeczy, nie pytając mnie.

* Precedens, przypadek precedensowy (niem.).

- Aha, Oopperakaupunki Savonlinna - pan Wensauer czyta napis na dużej pieczęci, następnie podnosi kartkę papieru pod światło i surowo pyta, czy Pia może przedłożyć również fiński akt chrztu, bo -jak wiadomo - z urzędowego punktu widzenia jest on odpowiednikiem niemieckiej metryki urodzenia.

- Jaki dokument? - pyta moja Finka i patrzy na mnie, jakby obawiała się natychmiastowej deportacji.

- *Kastetodistus*** - mówi pan Wensauer.

- Tak, tak, oczywiście - odpowiada Pia z czystym, ku mojemu zaskoczeniu, niemieckim akcentem i po krótkim poszukiwaniu wyciąga ze swojej torby marki Marimekko mały żółty dokument w formacie A5 i wymienia go na dokument z licznymi pieczętkami.

- *Oikein hyvd**** - kiwa głową pan Wensauer. - A czy zna Pan ten żart o Niemcu w celi śmierci?

- Nie, niestety nie.

- Więc przychodzi ksiądz do celi śmierci i pyta skazanego o jego ostatnie życzenie, na co ten odpowiada: „Waża przewielebność, chciałbym nauczyć się fińskiego”.

Śmieję się. Nie pozostaje mi nic innego.

- Za dwa tygodnie może pani złożyć podanie o termin spotkania - pan Wensauer wstaje z krzesła, sugerując, że czas dla nas przeznaczony właśnie się skończył.

- Tak, *hyvaa paivanjatkoa***** - mówi Pia. - Dziękuję, było bardzo miło u ciebie.

* Zamek Olavinlinna, Savolinnna. **

Metryka chrztu (fiń.). *** Bardzo dobrze (fiń.). **** Mitego dnia (fiń.).

- *Samoin, samoin** - uspokaja pan Wensauer. - Ach, jeśli wolno mi zapytać, gdzie się państwo poznali?

- W Hiszpanii, w Andaluzji - odpowiadam.

- Ach, Marbella, bytem tam. W czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia mój szwagier zaprosił mnie tam na golfa. Ładnie tam. Przede wszystkim słońce.

- Tak, naprawdę bardzo ładnie.

ZJAWY

Na horyzoncie migoczą światła Tangeru, a szorstki głos Beby dociera z przepelnionej Pena aż na białą promenadę. Od kilku godzin uzala się z powodu utraconej miłości i zagubionego szczęścia: *Aayyayaay, ahahahahaah... que no quiero sufrir, gitanaaaaayaaah!* .

Później pojawia się jeszcze Elli de Barbate wraz z własnie przybyłą holenderską grupą tańczącą flamenco, którą wszyscy nazywają *Las vacas locas***, choć naprawdę nazywa się chyba inaczej.

Nagle przysiada się do mnie, w niebieskiej sukience w kwiaty, blada i piękna, wyciągnęła przed siebie nogi. Dokładnie tak jak teraz.

Opowiada, że studiowała przez cztery lata w USA, w Berkeley, w San Francisco, stąd ten akcent. Studiowała sztuki plastyczne, dodaje. Teraz znów mieszka w Finlandii, *behind God's back****, tak to ujęła, w nieczynnym budynku dworcowym, w środku lasu, sama, tam przede wszystkim maluje.

* Nie chcę cierpieć (hiszp.).

** Szalone krowy (hiszp.).

*** Za plecami Boga (ang.).

Na dworcu?

Tak, to jest drewniany dom, podobny do willi Pippi Langstrumpf, ale jednopiętrowy i pomalowany na czerwono. Kupiła go, mając 18 lat; to była okazja. Nikt nie chciał kupić tego domu z powodu ducha, który tam przebywa.

Aha.

Jeśli chodzi o tego ducha, opowiada dalej, to wydaje jej się, że to musi być ostatni dworcowy zwierzchnik, który 20 lat temu, w święto Juhannus utonął w pobliskim jeziorze z powodu wypadku na łódce. Widocznie jego dusza nie może zaznać spokoju. Podkreśla, że Eki jest dobrym duchem, a na jej cudownie wysokich i lekko od słońca zaczerwienionych policzkach pojawia się uśmiech. Chroni ją i strzeże, i przygląda jej się z kuchennego okna, gdy pracuje w ogrodzie. Może przyniesie nam dwie lampki czerwonego wina, proponuje.

Czułem się tak, jakby jakiś elf poruszył jednocześnie wszystkie struny na mojej duchowej harfie. Cały świat, nawet andaluzyjska noc majowa, stracił na znaczeniu. Od tamtej chwili nie pragnąłem niczego bardziej, niż zaszyć się z tą istotą na bliżej nieokreślony czas w starym dworcowym budynku za plecami Boga, *jumalan selan takana*.

- On nic ci nie zrobi, uwierz mi - mówi, wsiadając do taksówki, która mają zawieźć na dworzec autobusowy.
- I spróbuj spać, to jest bardzo ważne: śpij. Za trzy dni będę z powrotem.

- Jedź, Piękna, wszystko będzie dobrze.

Wbiegam na brzoźowe wzgórze, *koivumaki*, od którego pochodzi nazwa dworca, i wpatruję się w tumany kurzu,

które wzbila odjeżdżająca taksówka. Aż trudno uwierzyć, że przed 20 laty zatrzymywały się tutaj pociągi. Dziś nie stoi tu żaden dom, widać tylko stare szyny i na horyzoncie małe, zagubione wśród leśnych drzew jezioro.

Od miesiąca nikt nie pukał do naszych drzwi. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak bardzo samotnie. Jak ostatni człowiek, lub pierwszy. A przecież nie jestem w tym momencie „...bardziej samotny niż kwiat dziewanny lub dmuchawiec na łące, niż ziarno fasoli lub liść szczawiu, niż giez lub trzmiel. Nie jestem bardziej samotny niż strumień, kurek na dachu wieży, gwiazda polarna, wiatr nadciągający z południa, deszcz kwietniowy i pierwsza pajęczyna w nowym domu...” - czytam w sypialni książkę, którą podarowała mi ciocia Vera. Tekst na obwołucie informuje, że opowiada ona o radykalnym eksperymencie młodego mężczyzny, który zaszył się samotnie w lesie, by nauczyć się żyć z dala od wszelkiej cywilizacji.

Otwarta książka leżała koło łóżka, kiedy trzy dni później Pia powróciła do domu. Skulony i okrutnie pokluty przez owady siedziałem ubrany w dres przy palenisku oddalonym 20 m od domu. Ogień wygasł jakiś czas temu. W dłoniach trzymałem siekiere.

Gdy nadeszła druga noc, postanowiłem pobiec nad jezioro. Nie mogłem już dłużej wytrzymać bezsenności, a odgłosy na strychu były coraz bardziej wyraźne, przypominały ciężkie kroki człowieka. To, co pamiętam z minionych 72 godzin, to dwa czarne buty przed włazem na strych i dwie czarne nogawki od spodni, które, wydawało się, że parują. Radio w kuchni było włączone na maksy-

malną głośność. W całym domu wszystkie drewniane szuflady były otwarte i przekopane. Musiałem czegoś szukać. Albo on.

Pia wyszła po kilku minutach z domu, trzymając pod pachą małą drewnianą skrzynkę. Wyjęła z niej poźółkle papiery i dokumenty, podawała mi je po kolei, wyjaśniała znaczenie, a potem wrzucała kartkę za kartką w płomienie rozpalonego właśnie ognia w palenisku. Nigdy więcej nie usłyszeliśmy kroków Ekiego ani nie widzieliśmy go stojącego w kuchennym oknie.

Pia sprzedała dworzec przed dwoma laty młodemu rosyjskiemu przedsiębiorcy z Viipuri. Dostała osiem razy więcej, niż zapłaciła. Niewiele brakowało, a sprzedaż nie doszłaby do skutku. Urząd Miasta w Heinavesi piętrzył problemy, żądał coraz to innych dokumentów i uwierzytelnionych kopii z Rosji, zachowując się tak, jakby już sama narodowość kupującego była podejrzana.

To, co pozostało nam do dzisiaj po budynku dworcowym Koivumaki, to - pomijając milczeniem forszę - stara drewniana skrzynka, w której moja żona i ja przechowujemy teraz nasze dokumenty. Od czterech tygodni leży w niej także akt ślubu z Berlina, zdobycie uwierzytelnienia w języku fińskim byłoby nieskończenie skomplikowane. Ale oprócz Borisa i Anity, tu w centrum wszechświata nikt jeszcze o tym nie wie. Nawiasem mówiąc, moja fińska żona jest również zdania, że nie jest to takie ważne.

- To tylko niemiecki Urząd Stanu Cywilnego - mawia.

Aha, zapomniałbym, Lola Odusoga to Miss Finlandii, która w ostatnich latach odniosła największy sukces (trze-

cie miejsce podczas wyborów Miss Universum w roku 1996). Lola jest córką Nigeryjczyka i Finki. Mummi przy-
czepiła niedawno jej zdjęcie na lodówce w *mokki*.

Tak, magnesem marki Mari mekko z motywem rozwi-
niętego maku.

ZMARTWIENIE

Z popiołu unoszą się nadal, choć już mniejsze, kłęby dymu. Czterdzieścioro dwoje gości z Niemiec wie od dzisiejszego popołudnia, jak należy wędzić sielawę. Ukki im to pokazał. Tak, jak powinno to wyglądać! Pelen dumy, ubrany w oryginalny letni strój charakterystyczny dla Finlandii Środkowej - moja matka spontanicznie i zbyt głośno wyraziła opinię, że przypomina jej to ubranie Dziadka Piaskowego - wyłożył starą beczkę na benzynę świerkowymi gałązkami i liśćmi bukowymi, dodał tam - ważne! - dwie kostki cukru, następnie przesunął na środek rusztu 2,5 kg sielawy, szczelnie zamknął beczkę wykutą własnoręcznie pokrywą i wepchnął ją pomiędzy cegły bezpośrednio nad żarem paleniska.

Uwędzone na kolor zlotobrazowy malutkie rybki wywarły duże wrażenie na gościach. Również oryginalne fińskie kielbasy z dzika z gospodarstwa ekologicznego w Paippinen okazały się sukcesem. Chyba nikt nie zauważył sprzeciwu. *Maukasta*, wyśmienite!

Jeszcze przed trzema dniami skwierczała w tym owalnym kręgu z palonej cegły zmija zygzakowata, fcyy, przeszło metrowej długości, którą Ukki, jeszcze żywą, wrzucił

w płomienie. Ostre syczenie tego stworzenia oraz trwające długo skwierczenie palącego się ciała sprawiły, że inne osobniki tego samego gatunku będą omijać *mokki* przez następne dziesięciolecia. Stara fińska mądrość lasu.

Ukki znalazł zmięę tuż pod *aittä*. Ta mała drewniana szopa nad jeziorem, nie wyższa niż dwa metry, służyła dawniej całej rodzinie jako miejsce do spania. Wewnątrz stoi zbite z drewna przywiezionego z lasu piętrowe łóżko, które zajmuje praktycznie połowę pomieszczenia. Przy odrobinie dobrej woli zmieści się tam nawet osiem osób. Po lewej stronie znajduje się mały, okrągły drewniany stolik, na nim lampka do czytania, a pod nim trzy stosy starych kobiecych i dziewiarskich magazynów babci. Po prawej stronie drewnianych drzwi wejściowych dostrzeżemy wysoki, sięgający sufitu regał z płyty wiórowej.

Z wejścia do *aitty* o poranku roztacza się piękny widok. Dwie brzozy na brzegu, za nimi jezioro oraz potężna, skąpo omszała skała na drugim końcu brodu.

Ziemia w drugim dniu stworzenia.

- Najlepszy miejsce na świecie - promienieje każdego roku moja Finka, a ja wmawiam sobie, że ma na myśli nie tylko niezwykle głęboki sen, w który zapada każdej nocy pośród tych ciemnych drewnianych belek.

Wypatrzyła coś teraz. Zawsze coś wypatrzy. Nie umie inaczej. Lekkim, sprężystym krokiem biegnie w dół od strony sauny do *aitty* przez drogę uslaną korzeniami krzewów czarnej jagody.

Aitta (fiń.) - szopa.

- Co się stało? Jeszcze jedna zmija?
- Nie, Franz zapomniał swój okulary - mówi i bierze z balustrady okulary w srebrnej oprawce.

-Ale przecież bez okularów nie nie widzi! - wołam za nią.

- I tak niewiele już widział.

To prawda. Jakby czapka zsunęła mu się za bardzo na oczy, *pipo silmilld*, powiadają tutaj. Z pewnością zbyt dużo kruszonu. Przede wszystkim jednak zbyt dużo łyków kossu ze srebrnej piersiówki należącej do standardowego wyposażenia na fińskim letnim weselu. Ale to nie jest jego wina. W ogóle nie należy rozpatrywać tego w kategorii winy.

- Gdzie jest właściwie Franz? - pyta Pia. - Nagle zniknęło.

- Nie wiem. Zanim wszedł do wody, prowadził ożywioną rozmowę z moim ojcem, a potem nie wiem.

Jak Państwo prawdopodobnie przypuszczają, najniebezpieczniejszą cechą Fina po wypiciu nadmiernej ilości alkoholu jest neodparta potrzeba wykąpania się w pobliskim leśnym jeziorze. A przy charakterach typu naszego przyjaciela Franza nie wiadomo właściwie do ostatniej sekundy, czy osoba ta chce się tylko odświeżyć, czy może utopić. W każdym razie stanął nagle nagi na kładce i rzucił się do jeziora, wywołując zachwyty przede wszystkim wśród moich niemieckich krewnych. Krzyczał przy tym:

- Światło, słońce, niedzielna swoboda!

- Może zasnął w *aitciel* - wołam do mojej błyszczącej nagością fińskiej kobiety.

Nie ma go tam jednak, stwierdzono po przeszukaniu szopy.

- *Voi himputti!* - donosi Pia. - Wydaje mi się, że wziął twoje spodnie od garnituru.

Przykre, ale w końcu nie jest to jeszcze katastrofa. Jeśli Franz nie zjawi się do jutra, do południa, możemy powiedzieć wszystkim moim krewnym, że stary fiński obyczaj nakazuje wziąć ślub w spodniach dobrego przyjaciela. Ta wymówka zawsze się sprawdza. Nawet najbardziej niezręczna sytuacja, przeżyłem to już wiele razy, zostaje puszczona w niepamięć, a przypalona kielbasa z grilla zjedzona ze smakiem, jeśli owo zdarzenie zostanie w poważnym tonie skomentowane słowami: „To takie fińskie”.

Ale gdzie jest Franz? Mógł pobiec, bez żadnego celu, do lasu i zostać tam zaatakowany przez fińskiego niedźwiedzia brunatnego, *karhu*. To nie żart, tu w lesie są niedźwiedzie. „Joutsan Seulu” donosił w głównym artykule, że przed dwoma tygodniami zauważono w sąsiednim lesie niedźwiedzie z dwoma młodymi. Moja matka zamówiła więc w sklepie Intersport w Karlsruhe, do właśnie zakupionych kurtek zimowych marki Fjallraven, dwa dzwonki na niedźwiedzie. Ciągłe dzwonienie odstrasza je mianowicie, niedźwiedzie. Jeśli mimo to stanie nagle przed Państwem w lesie taki osobnik, to nie należy uciekać. W zasadzie nie mają Państwa żadnych szans i prawdopodobnie będzie to Państwa koniec. Należy więc położyć się na brzuchu, udawać martwego i mieć nadzieję - jest to jedyna rozsądna rada, jakiej można udzielić.

- On jeszcze pił potem z Corinną - mówi Pia i odkłada okulary Franza na półkę w przedsiönku sauny.

* O, kurczę blade! (fiń.).

- Poznali się już w pociągu do Mantyharju.
- Wiedziałam, że coś z tego będzie.

Żadne odkrycie. Czego można się spodziewać, gdy 28-letnia asystentka w dziale filmowym z Fryburga, poszukująca, dzieli przez dwie godziny przedział w pociągu z 32-letnim filozofem z Finlandii, który doskonale posługuje się językiem niemieckim?

Kobiety mają, jak powszechnie wiadomo, słabość do Juhy, nazywanego przez wszystkich Franzem. Trudno się dziwić. Jego nieśmiałe spojrzenie, sarnie oczy przysłonięte okularami w metalowych oprawkach, czarne włosy zaczesane do tyłu w stylu lat dwudziestych ubiegłego wieku i wieczna kombinacja czarnego garnituru z czarnym golfem czynią z niego szarmanckiego zdobywcę. Przede wszystkim wtedy, gdy coś zaiskrzy.

Zaczynam poważnie martwić się o swoje spodnie od garnituru ślubnego.

COSMIC COMIC

Cicho prószy śnieg. Zdaje się, że nawet miejscowi nie wiedzą, jak powinni się poruszać w takich warunkach. Tony soli do posypywania ulic leżą pod piętnastocentymetrową warstwą lodu, na którą w ciągu minionej godziny spadło znów dziesięć centymetrów drobnego, lodowatego śniegu.

W Heidelbergu ogłoszono by już dawno alarm ostrzegawczy przed zbliżającą się katastrofą.

Stoimy jak pingwiny na przystanku autobusowym, na rynku, *kauppatori*, i patrzymy, jak kolejny autobus w kolorze pomarańczowym, na potężnych oponach zimowych firmy Nokia, utknął w jakiś magiczny sposób na drodze. A z plakatu reklamowego uśmiechają się do nas dwie pluskające się w wodzie modelki w stroju bikini: *Lentomalka Kanarialle, vain 3199 markkaa/henkilö**.

Następny autobus linii 23 w kierunku Halinen, do studenckiego domku szeregowego na obrzeżach miasta, przyjedzie dopiero za pół godziny. Raj nie istnieje, są tylko różne formy przypadku.

* Lot na Wyspy Kanaryjskie, tylko 3199 marek/osoba (fiń.). Marka fińska [markka (fiń.)] - waluta używana w Finlandii od 1861 do 2002 roku.

Najrozsądniej byłoby teraz pęlsać na czworakach, ale ja znów zostawiłem gdzieś moje rękawiczki. To już trzecia tej zimy para zrobiona na drutach. Będzie krzyczeć, Pia. Spoglądam ponownie na tablicę świetlną na dachu hotelu Sokos. Potrzebowałem dużo czasu, by zrozumieć, że te wskaźniki temperatury mają przede wszystkim motywować: -15 °C, tak, jest zimno! Ale spójrzcie, mimo to jesteśmy! Mimo to czekamy na nasz autobus! Mimo to każdego dnia idziemy robić zakupy!

Nie chodzi o aktywny opór, to byłaby śmieszna myśl, lecz o siłę przetrwania i dumę w obliczu obojętnej, lodowej potęgi, która z każdym krokiem daje ci ponownie do zrozumienia: „Ty nie jesteś tu mile widziany!”.

Potrzebuję dziesięciu minut, by pokonać dwieście metrów. Marzę o kubku gorącej czekolady. Dla umysłu. Dla rąk. Szklę okularów zaparowały natychmiast i przemieniają Cosmic Comic Cafe w potężną, zabarwioną na pomarańczowo saunę tuż po uniesieniu się *lõyly*. Pierwszą osobą, którą znowu wyraźnie rozpoznaję, jest Franz. Siedzi przy stoliku pod oknem i macha do mnie przyjaźnie.

Przed pięcioma miesiącami, w czasie naszego pierwszego spotkania, poinformował mnie z wielką radością, że otrzymał od fińskiej akademii stypendium dla tłumaczy. Oraz zlecenie przełożenia na język fiński *Teorii estetycznej Adorna**. Od tamtego czasu siedzi tutaj. Patrząc na jego mętny wzrok, można wnioskować, że znów „stracił kontrolę nad swoim motorowerem” - *mopo lahti kdsistd*. Tak Finowie opisują cug alkoholowy trwający dłużej niż czterdzieści osiem godzin.

* Adorno, jak Państwo wiedzą, to niemiecki filozof, który twierdził, że nie ma prawdziwego życia w fałszywym (przyj. autora).

Ale niezależnie od tego, co wypił, nie wpłynęło to bynajmniej ujemnie na jego niemiecki, wyszukany, a nawet trochę anachroniczny. Nie zaszkodziło również jego umysłowi.

Nie chce przeszkadzać, ale z drugiej strony bardzo się cieszy, że mógł „mnie tu spotkać o tak wczesnej porze”. Swoje piwo, które żartobliwie nazwał „mlekiem poranka”, stawia na moim stoliku.

Luty, ponure popołudnie, zadymiony bar piwny i kompletnie pijani miejscowi samotnicy, z którymi przychodzi mi roztrząsać trudne tematy... Tak, to jedna z tych chwil, jakby wyjęta z filmów Kaurismakiego, o której marzy dziesięć tysięcy niemieckich bywalców kin studyjnych, kiedy czekają przy taśmie bagażowej, terminal 2, lotnisko Helsinki-Vantaa, na swój 75-litrowy plecak na aluminiowym stelażu. To prawda, nie chcę zaprzeczać, ta chwila ma coś w sobie. Raz, dwa razy, chętnie cały tydzień, może nawet cały miesiąc. Ale potem pozostaje jeszcze dwieście dni z ciemnoniebieskim niebem. Obcokrajowiec, który tu zamieszkał, musi sobie z tym poradzić. Jedno jest pewne, nie da rady, zatracając się w świecie filmów Kaurismakiego.

Wtedy dzień stanie się nocą, ciemną jak fiński chleb i słoną jak fińskie masło.

SUOMI BLUES

Jak każdego poranka sięgam po gazetę. Jeżdżące na nartach trolle wciskają ją o wpół do piątej rano w metalowy otwór w drzwiach wejściowych z taką stanowczością i zawziętością, że budzę się od razu. Z każdą kolejną sekundą robi się wprawdzie ciszej, ale ja nie mogę już zasnąć. A wszystko przez gazetę „Helsingin Samomat”. Moja żona zapewnia mnie z wręcz już sadystyczną dumą co do swojego języka ojczystego, że nawet gdybym miał za sobą trzyletni intensywny kurs nauki języka fińskiego, nie rozumiałbym, co czytam. I nie ma w całym kraju innej, tak poważnej gazety.

Zaczynam więc, to stało się już moim rytuałem, od końca, gdzie każdego dnia czytam o *sad*, czyli o tak zwanej pogodzie. Wszystko jest lepsze od widoku rozciągającego się za podwójnie oszklonym, panoramicznym oknem domku szeregowego na skraju miasta. Dostrzegam pierwsze grupy studentów, którzy z trudem brną przez śnieżne zasy do przystanku.

A więc informacje pogodowe na całą stronę. I trzy duże grafiki: „Finlandia przed południem - *Suomi tändan aamulla* - Finlandia po południu - *iltapäivällä*, jak również prognoza na najbliższe trzy dni. Podążam wzrokiem za pogrubioną,

granatową strzałką prowadzącą od bieguna północnego do południowo-wschodniej części kraju, gdzie mieszkamy. Tu-tejsi mieszkańcy dostrzegają w konturach na mapie postać tańczącej kobiety. Mnie Suomi przypomina raczej mroźny sznycel z indyka w panierce z ciemnych chmur, z których spadają płatki śniegu, z różną intensywnością i o różnej gęstości. Mały indeks w prawym górnym rogu gazety informuje czytelnika o siedmiu rodzajach śniegu, które Fin ma w zwyczajcu odróżniać. Także w ciągu nadchodzących dni.

Prawdziwy smutek ogarnia mnie jednak dopiero wtedy, gdy spoglądam w dół na mapę Europy, w Londynie 15 °C, w Paryżu 20 °C i w Maladze 35 °C. Sądzę, że tam też działają programy wymiany studenckiej i można spotkać uroczę studentki. Tymczasem jakiś artykuł w dziale kultura, *kulttuuri*, rozbawił moją żonę, zbywa mnie jednak stwierdzeniem: „Tego żartu i tak byś nie zrozumiał”.

Na kilka minut zatrzymuję wzrok na słoiczku nutelli, wyskrobanym do końca, który stoi pośrodku stołu. Nutella, mruczę pod nosem, nutella, w języku fińskim musi to coś oznaczać. Ale nie oznacza, mówi Pia i podaje mi kolejny arkusz „Samomat” z programem telewizyjnym, *televisio ohjelma*, na ostatniej stronie. Powracam myślami do dzieciństwa bez telewizji kablowej.

Od godziny jedenastej, na pierwszym programie, jednym z czterech, ambitne audycje - *Lassie* i *Bonanza*, jak wszystko tutaj w oryginale z fińskimi napisami na dole ekranu. Po południu filmy z życia zwierząt i dokumentalne filmy przyrodnicze, jak *Pihan luonnonvaraiset kasvit**.

**Dzikie rośliny w ogrodzie* (fin.).

Mam wrażenie, że nic nie stracę, jeśli ich nie zobaczę. Jedyny film fabularny, *elokuva*, który można obejrzeć dziś wieczorem, to fińska produkcja z roku 1939. Przed i po magazyny informacyjne, które wypełniają państwową misję przekazywania informacji. Przez osiem i pół minuty raport o tłącym się ogniu w fabryce łożysk tocznych niedaleko Kopio lub o uroczystym otwarciu nowych pomieszczeń dla pracowników zmianowych w Oulu. Tak zwane wiadomości z zagranicy, *ulkomaat*, tylko w postaci czytanych tekstów, zajmują trzecią pozycję.

Wczoraj wieczorem, w akcie kompletnej desperacji, obejrzałem polityczny talk-show, w którym przedstawiciele pięciu partii, tworzących scenę polityczną w Finlandii, uśmiechali się do siebie w trakcie krótkich wypowiedzi. Nic dziwnego, w końcu tworzą wspólnie koalicję rządową. Alternatywą byłby pokazywany na Yle 2, zarejestrowany latem, Międzynarodowy Konkurs Akordeonowy, który, o ile się nie mylę, moja teściowa *in spe* oglądała wtedy w *mokki* i nawet oddała swój głos w formie SMS-a na młody fiński talent.

Patrząc sponad gazety, zauważam, że moje jagody odtajały w końcu w owsiance, tworząc czarnoniebieskie smugi. Rozważam znaczenie określenia „krwawienia z jelita”, a moja żona szepcze ponad stołem.

- Jedz, na zewnątrz jest zimno!

Przypominam sobie, że zawsze lubilem dobrze zjeść rano. Biorę do ręki kolejny arkusz gazety, ukoronowanie mojej lektury: *urheil* (sport). Interesuje mnie jednak nie tekst, lecz zadrukowana drobną czcionką podwójna strona z wynikami i tabelami. Przeskakuję lokalne zawody w biegach narciarskich na długim dystansie oraz skokach i sku-

piam się na tenisie. Kirsi Lampinen osiągnęła drugą rundę debła w turnieju tenisowym w Manaus (40 000 dolarów amerykańskich). Najwidoczniej wynik ten skłonił redaktora do przedstawienia pozostałych wyników tego zupełnie mało znaczącego wydarzenia.

To jest zabawne: jeśli Fin gdziekolwiek na świecie bierze udział w jakichkolwiek zawodach, to donosi się o tym w najdrobniejszych szczegółach - najczęściej wymienia się najpierw całą pierwszą dziesiątkę, potem następują ulubione wielokropki i - powiedzmy na miejscu 34. - pojawia się nazwisko uczestnika z Finlandii. Dzisiaj jest to Ville Vahtola w *uimahyppy*; wypowiadam to słowo jak pierwszoklasista, sylaba po sylabie, a oznacza ono skoki do wody z wieży.

Finowie są bezsprzecznie mistrzami świata w *sah-ly*\jddpallo***, co wynika chyba z faktu, że tylko w Finlandii dyscypliny te uprawiane są z należną im powagą. Zadają sobie pytanie, co należałoby zrobić, by wygrać w *painonnosto****, nic mi nie mówi również *ratsastus \ampaurheilu****, wstydzę się jednak zapytać o to moją żonę. W końcu to moja strona, którą studiuje uważnie każdego ranka od dwóch lat. Nie chcę, aby wyrobiła sobie o mnie nie najlepsze zdanie.

Zdjęcie na pół strony ukazuje Hanoo Móttóla w akcji. W chwili obecnej jest on jedynym fińskim koszykarzem

* Unihokej (fiń.).

** Bandy (gra zespołowa łącząca hokej na lodzie i piłkę nożną) (fiń.).

*** Podnoszenie ciężarów (fiń.).

**** Jazda konna (fiń.).

***** Strzelectwo (fiń.).

w amerykańskiej lidze uczelnianej, stąd też pod zdjęciem związane z nim statystyki i czas wejść na parkiet. Pojawia się jednak pewnego rodzaju wątpliwość, jak dalece poprawne są te liczby, ponieważ kiedy w niedzielny poranek sprawdzam tabelę niemieckiej Bundesligi, znajduję za każdym razem przynajmniej jeden poważny błąd rzeczowy. Znam wyniki od godziny 18.25 czasu miejscowego, w wieczór poprzedzający wydanie gazety. Mój ojciec odczytał mi je przez telefon, informując mnie jednocześnie, jak niewiele brakowało, aby wygrał w końcu w tym tygodniu zakłady w rzutach karnych. Mówię mu, że powinien był mnie posłuchać. Odpowiada, że jako Fin nie potrafię już właściwie ocenić wydarzeń. Oczywiście, że ma rację. W tutejszych barach w bezpośrednich relacjach pokazuje się tylko angielską, właściwie szkocką ligę piłki nożnej, ponieważ w drużynach szkockich zajmujących dolne pola trzecich tabel Fin organizuje linię obrony lub błyszczy dobrą grą w defensywie.

W Cosmic Comic wisi także telewizor, całkiem z tyłu, w kierunku toalet, ale Franz nigdy tam nie patrzy. Jak mawia, jest „bardziej Kafką niż Beckenbauerem” i nie interesuje go ten „faszyzm w spodenkach sportowych”. Tak, gdy coś wyraźnie mu się nie podoba, staje się bardzo bezpośredni, a chwilami wręcz wulgarny, tak jak teraz, gdy skarży się głośno u barmana na *vittumaista mustikka*.

- *Rauha*, Franz, *rauha** - grzmi Erkki z za baru.

Mnie podoba się ta piosenka, mroczny song z niskim basem, którego tekst opiera się na jednej, monotonicznie po-

* Spokój, Franz, spokój (fiń.).

wtarzanej frazie: *Mika se on? Ihminen. Mika se on? Ihminen.* Co to znaczy?

Franz wykrzywia twarz, jakby wyrwano mu ząb. Solista z tego bandu jest byłym chłopakiem jego młodszej siostry, dlatego niezbyt chętnie chce o tym mówić, ale w dosłownym tłumaczeniu brzmi to następująco: „Co to jest? Człowiek. Co to jest? Człowiek”. Fińskie słowo *ihminen*, kontynuuje, pochodzi od czasownika *ihmetellä*, który oznacza „dziwić się” lub lepiej „być zdumionym”. Człowiek jest więc w języku fińskim istotą, która umie się dziwić.

- To ładna myśl - mówię do Franza, który, aby pogodzić się z Erkkim, zamawia ponownie dwa piwa, *kaks pitkad!*, i pyta mnie, czy byłbym tak miły i pożyczył mu 20 marek fińskich.

- W chwili obecnej środki finansowe, którymi dysponuję, nie należą do największych.

Na rewersie zielonego banknotu dostrzegam łabędzią parę. Franz, nie opuszczając swojego krzesła, rozkłada szeroko ramiona i naśladuje ruch skrzydeł. Łabędzie, wyjaśnia, są wydrukowane na dwudziestce, ponieważ te banknoty szczególnie szybko odlatują.

CIERPIENIE

Po trzech godzinach i kilku labędzich odlotach postanawiam dowiedzieć się od Franza, co się czuje, będąc Finem - synem, statystycznie rzecz ujmując, najlepszego kraju na kuli ziemskiej, i dlaczego właśnie tutaj, na zadupiu, odnotowuje się obecnie, obok wielu innych sukcesów, najwyższy potencjał wzrostu, najniższą korupcję, najbardziej innowacyjne środowisko, najmniej upadłości, najmądrzejsze dzieci, najczystsze miasta. Dlaczego akurat tutaj kobiety odnoszą największe sukcesy? Po prostu nie umiem tego zrozumieć.

- Ma to związek z dwoma znaczącymi cierpieniami egzystencjalnymi - mówi Franz. Ma na myśli ból, który odczuwa każda istota ludzka, gdy uzmysłowi sobie, że nie jest centrum wszechświata, jak również ból wynikający ze zrozumienia, że nasze życzenia i potrzeby przewyższają na zawsze i na wieki środki służące ich zaspokojeniu.

Czy któryś z tych bólów jest mi dobrze znany, chce wiedzieć Franz.

- Tak, ból... - mówię, patrząc przez okno.

- Dobrze - kiwa głową Franz - bardzo dobrze. To początek, w końcu nasza współczesna cywilizacja, przede wszystkim cała technika zachodnia, ma na celu uśmierzyć

ów ból oraz uspić w nas umiejętność właściwej oceny. Nie oznacza to nic innego jak świadome utrzymywanie społeczeństwa zachodniego na duchowym poziomie pięciolatka - należy je infantylizować i dbać o jego dobry nastrój za pomocą produktów zapewniających rozrywkę.

- Telewizja, wideo, komputer, gry komputerowe - Franz dopinguje siebie samego.

- Tak, tak - przytakuje z zapalem.

- To wszystko ma swoją cenę - kontynuuje Franz - ponieważ konsumpcja tych mediów prowadzi siłą rzeczy do osamotnienia człowieka, prowadzi do izolacji - telewizor w domku szeregowym na obrzeżach miasta - wyjaśnia Franz. - Ta samotność społeczna wywołuje z kolei podejrzenie co do sensowności istnienia. Aby je zagłuszyć, każdy z osobna wybiera kolejną, coraz bardziej krzykliwą i zdziecinniałą ofertę rozrywkową.

Franz sięga po swoje poranne mleko, wypija spory łyk i mówi o spirali oszłomienia, które wywołuje postmodernistyczny konsumeryzm techno, a ja, choć nie jestem pewien, czy nadal za nim podążam, mówię:

- Tak, Franz, tak.

Teraz prostuje plecy i mam wrażenie, jakby nagle wytrzeźwiał, bo rzecz będzie o Finach. Kto rodzi się bowiem w tym kraju, zyskuje wraz z mlekiem matki pewność, że nie jest centrum wszechświata; kto rodzi się w tym kraju, pojmuje jako pierwszy, że tylko nieliczne z życzeń, które człowiek kieruje pod adresem swojej tak zwanej rzeczywistości, kiedyś się spełnią.

- Jasne - mówię -jasne, i dlatego fińskie dzieci są właściwie od razu dorosłe.

- To prawda - przytakuje Franz - nasz poeta Eino Leino pisał o tym w najpiękniejszym ze wszystkich fińskich wierszy: *O synowie północy, jako starcy witacie światło tego świata*. To pozwala również wyjaśnić pychę, którą Fin musi odczuwać wobec Szwedów, ich języka i przede wszystkim wobec ich poczucia humoru. Dla nas to są dzieci, których nie możemy traktować poważnie. Nie wspominając już o Amerykanach.

- Ale ta dojrzałość przynosi z sobą także melancholię i depresję - mówię.

- Nie, nie, nie, nie mamy depresyjnej natury - Franz jest wyraźnie poruszony, wstaje i rozkłada ramiona. - My nie poddajemy się ciemności, szukamy w niej tylko naszego miejsca! -I zaraz po tym wyznaniu krzyczy chrypiącym głosem: - Jesteśmy tragicznymi realistami!

- *Rauha*, Franz, *rauhal* - grzmi głos zza baru.

- A obszar techniki? - przychodzi mi nagle pewna myśl do głowy. - Finowie są obecnie na tym polu szczególnie mocni, to jest przecież ewidentna sprzeczność.

- Ależ nie! - Franz uśmiecha się, jakby usłyszał subtelny dowcip. - Samotność i poczucie bezsensu istnienia nie są dla nas niczym nowym. Przez tysiąclecia nie mieliśmy miast, a nawet i wiosek.

Sugeruje mi, abym wyobraził sobie Finlandię jako autsajdera w jednej ze szkolnych klas.

- Takie istoty szukają - wyjaśnia mi jak człowiek, który wie, o czym mówi - różnych strategii, które mają im pomóc poradzić sobie z ich rolą.

- Tak - mówię - jasne.

- Jest możliwe - kontynuuje Franz - że wycofują się i postępują tak, jakby akceptacja ze strony innych nie miała dla

nich żadnego znaczenia. To z kolei prowadzi do kultu przegranego, kiedy to pokonany ogłasza sam siebie pokonanym, a w grupie jemu podobnych rodzi się oczywiście szczególne poczucie zażyłości i wspólnoty. Inną ze strategii autsajdera jest poszukiwanie dla siebie nisz, które leżą z dala od tego, czym interesuje się większość, i w których chce być szczególnie dobry. To nie przypadek - zwraca uwagę Franz - że Finowie dominują od lat w grze na gitarze powietrznej i wygrywają każdego roku Ornitologiczne Mistrzostwa Świata.

- Rzut kaloszem na odległość - mówię - Mistrzostwa Świata w Siedzeniu w Saunie, Mistrzostwa Świata w Pilce Błotnej.

Franz kiwa głową. Ale istnieje jeszcze jedna strategia autsajdera. Może wycofać się we własny, stworzony przez siebie świat fantazji, do którego inni nie mają dostępu lub nie chcą go mieć.

- Jest to świat liczb - mówi Franz - literatury lub czynności wymagających szczególnej cierpliwości. Świat, w którym autsajder nie czuje żadnego nacisku, ponieważ nikt od niego niczego nie oczekuje. I tylko dla siebie samego może majsterkować, próbować i tworzyć.

Oczami wyobraźni widzę Ukkiego, który w kaloszach na nogach kręci pokrętłami przy swojej stacji krótkofalowca, i dostrzegam na regale w jego *pómpeli* kursy do nauki języka niemieckiego, koreańskiego i hiszpańskiego. Tak właśnie został wynaleziony Linux*.

* Historia Linuksa rozpoczęła się w 1991 roku, kiedy to fiński programista Linus Torvalds poinformował o hobbystycznym tworzeniu przez siebie niedużego, wolnego systemu operacyjnego, przeznaczonego dla procesorów z rodzin i386 oraz i486.

Czy wiem, pyta Franz, że Finowie są światowymi liderami w branży zamków zatraskowych? Mówi, że można się z tego wiele nauczyć. Ale przede wszystkim nie wolno popełnić błędu mylenia fińskiej powściągliwości z „antyspołeczną postawą”.

- Chodzi raczej o indywidualia z dużym defektem społecznym, które z całej duszy nie pragną niczego innego bardziej, niż komunikować się wzajemnie na swój własny sposób. Powracając więc do fińskiej techniki, nie chodzi o to, aby uśmierzyć ból, lecz... - Franz zastanawia się przez chwilę - dzielić go razem. Przychodzimy poniekąd z innej strony.

- Zza pleców Boga - uzupełniam.

- *Juu, juu* - potwierdza Franz i przy każdym *juu* robi głęboki wdech, jakby było mu bardzo zimno.

To jest jego numer popisowy. Przeżyłem go już trzy razy w różnych barach. Tak zdobył Corinnę. Bez wątplenia.

Moja Finka rozmawia przez telefon komórkowy i hušta się przy tym w zmurszałym fotelu typu Hollywood, który Ukki uratował trzydzieści lat temu przed wywiezieniem na wysypisko.

- *Niin, niin, niin, Aion kanssa, niin, niin, niin, no moi sitten** - słyszę jej szept.

- Franz jest u Aino - wyjaśnia w końcu i zamyka klapkę telefonu. - Zabrała go do swojego *mokki*. Emppu to widziała.

- Powiedz, ile lat ma Aino?

- Pięćdziesiąt dwa, tak myślę - odpowiada Pia, wzrusza wymownie szerokimi ramionami i ożywiona hušta się dalej.

* Tak, tak, tak, z Aino, tak, tak, tak, no to cześć (fiń.).

Prócz tego ma za męża niemieckiego inżyniera budowlanego z Bambergu. Który tym razem nie chciał iść z nimi.

One są również bardzo pragmatyczne, Finki. Wspominałem już o tym? Szczególnie latem.

SORMUS - OBRĄCZKA

GŁOWA DO GÓRY

- No, chodź już - ponagla moja przyszła żona - przecież nie jest tak źle.

- Proszę, nie.

- Kuckelmann, chodź! Nie mam zamiaru zrobić z siebie jutro idiotki.

- Ja też nie.

- Więc musisz się dostosować!

- Najslodsza, przecież to zrobiłem, w końcu tutaj się jutro pobieramy!

- Nie musisz od razu krzyżeć.

Nie krzyżę przecież, tylko trochę głośniejsz mówię. Mężczy mnie bowiem temat tańca weselnego. A zarzucać mi brak umiejętności przystosowania się, to jest już szczyt wszystkiego.

Jasne, ja też nie chcę zrobić z siebie jutro idioty. Ale chodzi o to, że moja Finka jest o dwadzieścia centymetrów wyższa ode mnie. Jako para taneczna nie będziemy zbyt dobrze wyglądać i jeszcze musimy się sprężyć wyginać. Mówię jej o tym, choć przecież ona to wie.

- Ach, to bez znaczenia, to tylko fińskie tango.

- Wiec jeśli nie jest to takie ważne, to dlaczego musimy właśnie teraz ćwiczyć, nadzy, tuż po wyjściu z sauny, w środku nocy?

- Chodź, tylko raz. Zamienimy się po prostu rolami, wtedy będzie już dobrze!

Zamiana ról, może tak powinna wyglądać nasza przyszłość. No dobrze. Zrobię to dla dobra tego kraju.

Bez owego tanga Finowie już dawno temu by wyginęli. Dokładniejsza obserwacja pozwala bowiem stwierdzić, że taniec ten nie służy niczemu innemu jak utorowaniu fińskiemu mężczyźnie drogi do aktywnego życia erotycznego. Niedopuszczalne jest, aby istota płci męskiej, która potrafi jeszcze utrzymać się na nogach, została odprawiona przez swoją wybrankę, kiedy poprosi ją do tanga w jednym z obszernych pałaców z drewna stojących przy nieskończonej prostych lokalnych drogach na prowincji. Fin nie musi umieć tańczyć, ponieważ tango fińskie, w przeciwieństwie do wersji argentyńskiej, rezygnuje ze złożonej teatralności, synchronizacji kroków oraz zamasztych ruchów. Tak istotna w niemieckich szkołach tańca radosna ekspresja płciowości jest mu również obca. Zatańczone wieczorem tango fińskie sprawia wrażenie bezpretensjonalnego i niemalże powszedniego rytuału.

A jednak jest to szczególne wydarzenie. Na podwyższonym gra kapela zawsze w tym samym składzie instrumentów: perkusja, gitara i akordeon - odpowiedni instrument, by wyrazić cierpienie. Krótkim i energicznym skinieniem głowy, jakby złamał sobie właśnie kark, dżentelmen zaprasza damę w sukni z motywem rozwiniętego maku do tańca.

I już krążą po podłodze z desek, dłoń na biodrze, ograniczona gestykulacja, nieskomplikowana kolejność kroków - dwa długie i trzy krótkie. Dzikie wariacje kroków są tak samo zakazane jak wszelkie odstępstwa w trzymaniu partnera, które mogłyby sugerować pewnego rodzaju zbliżenie. *Yksi, kaksi, ykskaskol ykskaskol ykskaskol*, i tak przez całą, długą letnią noc.

Gdy wszystko szczególnie dobrze się układa, zdarza się usłyszeć między kolejnymi krokami, opowiada Pia, wyszeptany do ucha komplement: *Meiddn askleet sopii niin hyvin yhteen*. („Nasze kroki pasują jednak do siebie”). A kto w trakcie wieczoru rozbudzi w sobie szczególne zainteresowanie drugą osobą, musi cierpliwie poczekać do ostatniego tańca, bo tylko zgoda na niego coś oznacza - być może.

W roku 1962, w Jarvenpaa, podczas wieczoru tanecznego z wielkim i niezapomnianym Reijo Taipale poznali się Aulis i Pirkko. Zawdzięczam więc tangu, klasyczny przypadek dla tej generacji, istnienie mojej fińskiej kobiety.

Pod względem muzycznym tango fińskie jest mieszanką rosyjskiego romansu i niemieckiej wojskowej muzyki marszowej. W tekstach łączy zaś poezję skandynawską opiewającą naturę (*Róża orla*) z egzotycznymi, zmysłowymi fantazjami (*Fatamorgana*), idylliczną miłość (*Noc za oknem*) z frustracją wobec nowoczesnej techniki (*Dlaczego milczy telefon?*). Ale w najsłynniejszym ze wszystkich tang podmiot liryczny marzy o dalekim, baśniowym kraju, *satumaa*, który leży za wzburzonym oceanem i gdzie „najpiękniejsze kwiaty nigdy nie przestają kwitnąć”. Na zawsze jednak niedostępna jest ta wyspa dla człowieka,

wyłącznie o niej".

Zauważyli Państwo, że owa rzecz, prawdziwie głęboka, rości sobie prawo do bycia poezją, bo jakże jest daleka od patetycznych fantazji pederastów typu Rex Gildo, Bata Ulic lub Peter Kraus. *Sugar Sugar Baby* była, nawiasem mówiąc, pierwszą płytą winylową, którą moja matka kupiła sobie jako młoda dziewczyna. Bezustannie puszczała ten singiel w swoim pokoju, aż adapter siadł. Jeśli chodzi o mojego ojca, to jako pięcioletek, siedząc na przodzie wózka na zakupy, byłem świadkiem, jak w dziale muzycznym domu towarowego Wertkauf w Karlsruhe nabył pierwszą i jedyną w swoim życiu kasetę muzyczną. Z muzyką Ennia Morricone do filmu *Zagraj mi pieśń o śmierci*.

Moi rodzice nie poznali się zatem w tańcu, lecz na przystanku tramwajowym przed Sądem Rejonowym we Fryburgu.

Ach, Finlandio, ty to masz dobrze!

- *Nonniiii!* - wykrzykuje Pia pełna uznania: - *Oikein hyvin tanssitaan!**

Oczywiście, że umiem tańczyć tango, nie musi tak krzy-
czeć. W końcu nie pierwszy raz tańczę je dzisiaj - o czym
ona przecież dobrze wie.

* Wiesz, bardzo dobrze tańczysz! (fiń.).

JĘZYKI

- *Now, Rami, we dance!*

Głos, który to mówi, należy do Virpi, a Rami - to ja. Rami jest moim fińskim imieniem, a przyczyn jego zmiany należy szukać w fonetyce. Fin ma ogromne problemy z wypowiedzeniem niemieckiego, tylnojęzykowego „r”, które nie występuje w jego języku ojczystym. W języku fińskim, podobnie jak w hiszpańskim „r” powstaje na przedniej części języka i towarzyszy temu lekka wibracja: Rovaniemi, Raikkönen, Raiil, Ronda (inicjalne, przedniojęzykowo--działłowe „r”). Nie jest łatwo, mogą Państwo spróbować sami, wypowiedzieć tylnojęzykowe „r” po kombinacji „lf”. Niewprawy język wpada regularnie w tarapaty przy słowie „Wolfram”. Można się nawet przy tym zakrzusić.

Po kilku tygodniach pobytu na Północy postanowiłem więc zastąpić „Wolframa” podobnie brzmiącym imieniem „Rami”. Początkowo myślałem o bezpośrednim tłumaczeniu słowa „Wolf”, ale wilk w języku fińskim to *susi*. Nie chciałem, aby nazywano mnie *Susi*.

- *Mina olen Rami* - tak przedstawiam się więc od kilku lat. Najczęściej nie muszę już wyjaśniać, że pochodzę z Niemiec, albowiem fińskie ucho usłyszało tę informację

w tylnojęzykowym „r”, kiedy wypowiedziałem „Rami”. Prawie zawsze rozmowa kontynuowana jest w języku angielskim. Fonetycznie rzecz ujmując, jest to uczciwy kompromis, ponieważ angielskie „r” (Rochester, /tooney) powstaje pomiędzy przednią częścią języka a podniebieniem, z czym radzą sobie bardzo dobrze zarówno Niemcy, jak i Finowie.

To tyle na temat elastyczności języka fińskiego.

- *Now we dance, Rami!* - rozkazuje Virpi i wyciąga mnie na drewnianą podłogę w budynku parafialnym w Pertunmaa. Wkrótce wybije północ, a Veikko Lahtinen i jego *tango-orkesteri* powrócili właśnie po ostatniej przerwie na galerię.

Moja partnerka do tańca nie jest już w stanie iść prosto, ale Virpi jest małżonką mojego przyszedłego szwagra i w chwili obecnej, gdy przygotowania do uroczystości są znacząco zaawansowane, chyba najlepsze wsparcie mogą jej zaoferować moje ramiona. Ma na sobie czarną minispódnicę i zamiast bluzki z motywem rozwiniętego maku poliestrowy top w kolorze jaskrawego różu. Jak każdego roku z okazji Święta Myśliwego Polującego na Łosie dopasowała kolor grzywki do górnej części swojego ubioru. Jest więc jaskraworóżowa.

- *Oooh, you are such a good dancer, Rami* - Virpi wdmuchuje mi do ucha dym ze swoich ekstradługich papierosów mentolowych.

Nie chodzi jej przecież o mnie, wiem to. Jestem po prostu kawalkiem mięsa rodzaju męskiego, który chce trzymać w ramionach. Nawiasem mówiąc, grzywka po fińsku to

otsatukka. Bawi mnie to słowo, podobnie jak *pikkarit*, czyli majtki. Ale nie wybiegajmy do przodu...

Z pewnością nie muszę Państwu specjalnie wyjaśniać, że nasze zupełnie niekontrolowane spotkanie pomiędzy parami seniorów omijającymi nas dyskretnie jest bliskie mojemu wyobrażeniu „zrobienia z siebie idioty”. To nie zależy tylko od Virpi, ponieważ w chwili, w której zwraca się ona do mnie ze swoim corocznym zaproszeniem do tańca, ruchy moich kończyn są najczęściej niezwykle energiczne i zamaszyste. Winne jest *sahti*. Wylącznie *sahti*.

Może jeszcze nigdy nie słyszeli Państwo o tym napoju, nie wspomnę już o spróbowaniu. Proszę więc posłuchać: *sahti* nie jest napojem, lecz raczej trunkiem, który jest warzony w sercu Finlandii Środkowej, w ukrytych szopach. Stare jak świat wieśniaczki przyrządzają go według przepisu trzymanego w wielkiej tajemnicy na specjalne okazje - zresztą nielegalnie, ale pozostawmy to między nami.

Sahti, którego głównymi składnikami są pszenica i chmiel, poddawane jest procesowi fermentacji w stalowych cylindrach wysokości człowieka. Jego złotobrazowe zabarwienie sprawia, że na pierwszy rzut oka można pomylić *sahti* z niemieckim pszeniczno-drożdżowym piwem. Fiński trunek o słodkawym smaku jest jednak wyraźnie gęściejszy, a 15% zawartości alkoholu - Fin przywołuje chętnie w tym kontekście konie mechaniczne, *hevosia* - nie pozwala nawet przeczuć jego mocy i efektów działania. Ponieważ *sahti* jest inne. I jak wielu w tym kraju nie spieszy się.

Przez pierwsze dwie, trzy godziny milczy cierpliwie, pozwala nawet o sobie zapomnieć, ale wykorzystuje ten czas, by zbliżać się powoli do ośrodkowego układu nerwowego. Początkowo nawet nie osłabia ani nie zaburza koordynacji ruchowej, jak czyni to normalny alkohol. Wprost przeciwnie, *sahiti* skłania do radosnej ekspresywności i indywidualnych form ruchu, które dana jednostka - i to jest największe niebezpieczeństwo - uważa za niezwykle wymowne i przede wszystkim eleganckie. W drugiej fazie działania *sahiti* człowiek doświadcza osobliwej intensywności doznań, którym towarzyszą, nierzadko, halucynacje. Wszystko to sprawia, że otwiera się przed nim zupełnie nieznaną świat.

Każdego roku w Pertunmaa po kilku godzinach trwania Świąta Myśliwego Polującego na Łosie można dostrzec zaawansowane wiekowo seniorki, które wykonując dzikie piruety, kręcą się wokół własnej osi. Śmieją się przy tym histerycznie i wyraźnie ożywione klaszczą w dłonie. Seniorzy zaś prowadzą intensywne rozmowy z drążkami namiotu lub zatracają się, w pozycji na czworakach, w skomplikowanych wzorach na łapkach do garnków zrobionych na szydelku. W sześć godzin z Waldorf do Woodstock? Z *sahiti* jest to możliwe.

Za pierwszym razem nie wiedziałem o tym wszystkim. Moja Finka zataiła przede mną prawdę. W weekend, kiedy obchodzono owo święto, zostawiła mnie samego z Ukkim i Mummi w *mokki*, sama zaś udała się do Lahti, aby na spotkaniu rocznicowym wspominać ze swoimi koleżankami mistrzyniami rok 1987.

KONSEKWENCJE

Na dwie godziny przed rozpoczęciem imprezy w związku ze Świętem Myśliwego Polującego na Łosie podjeżdżamy fiatem 500 na miejsce uroczystości. Ponieważ Pirkko jest w zarządzie gminy, karze Aulisowi pomóc w rozkładaniu stoisk i ławek, sama zaś wyklada swój bogaty asortyment upieczonych przez siebie chlebów i bab piaskowych, jak również pikowanych kolder, które zostały wykonane podczas długich zimowych miesięcy. Wszystko na sprzedaż.

Siedzę sam, trochę zagubiony na jednej z drewnianych ław. Nagle Pirkko daje mi znaki:

- Rami, Rami, *tuleppa tannet* - chwyta mnie za rękę i prowadzi do drewnianego stołu, na którym stoją stalowe cylindry wysokości człowieka.

- *Ja tama on meidan Rami*** - Mummi przedstawia mnie stojącym obok wiejskim kobietom. Czuję się jak odebrany ze schroniska dla zwierząt cocker-spaniel, który koniecznie właśnie teraz musi coś wychleptać. - *Maista, Rami, maista, sahti on himean hyvadl**** - Pirkko podaje mi mały plastikowy kubek.

* Chodźże tutaj! (fiń.).

** To jest nasz Rami (fiń.).

*** Spróbuj, Rami, spróbuj, *sahti* jest bardzo dobre! (fiń.).

Piję, czuję w ustach słodki smak i chłód trunku, z aprobatą kiwam głową, a Pirkko szepcze coś do ucha swojej widocznie bardzo dobrej znajomej. Jednocześnie daje mi do zrozumienia, że mogę sobie ponownie nalać do kubka.

Jestem więc od dwóch godzin pod wpływem *sahiti*, gdy wszyscy uczestnicy święta w Pertunmaa stawili się, około 300 osób każdego roku, na łące przed domem parafialnym. Nawet młodzież wiejska, przeżywająca okres dojrzewania, przybyła licznie, wielu z nich to prawdziwi mugole śmierci z grzywką zafarbowaną na czarno, z blachą w nosie i demonicznymi T-shirtami, na których widać napisy reklamujące Lorda, Golluma lub zespół Antrax. Ci sataniści pozostaną dla mnie wieczną zagadką. Jeśli jest to manifestacja ich wyznania, to dlaczego sięgają po bohaterów drugoplanowych?

Ale niech już tak zostanie! W radosnym nastroju sączę piwo i obserwuję wesole ożywienie przy stoiskach z grillowaną kielbasą i loterią fantową z tekstyliami. Obok mnie siedzi Raimo i zachęca mnie gorąco do wzięcia udziału w konkursie rzutu kaloszem na odległość. Raimo, brat mojej przyszłej żony, starszy od niej o pięć lat i wyższy także o pięć centymetrów, jest od lat niekwestionowanym mistrzem.

- *You know, it's about reputation* - wyjaśnia i w kilku słowach wprowadza mnie w fińską sztukę ciskania gumiakiem. - *You have to hold the boot like this, at the top* - pokazuje mi i w zacisk, który tworzą kciuk oraz pozostałe palce jego dłoni, wciska cholewkę kalosza. - *Understand, hold it strong, very strong!*

Poza tym powinienem zastosować technikę rzutu dyskiem. Dwa, maksymalnie trzy szybkie obroty, a potem rzut kaloszem, z całej siły, w możliwie odległy punkt na boisku.

- *Like Lars Riedel**!, you know. *Strong!*

Jasne, *strong*, tak właśnie robię i widzę siebie, mimo nieznaczonej odległości, którą udało mi się osiągnąć, jako triumfującego zwycięzcę. Moja techniczna zręczność pomogła mi zaskoczyć pozostałych.

Raimo kupuje kolejny kubek *sahti*, a ja z cygaretką w kąciuku ust, z wyraźnym koniakowym aromatem, przyglądam się konkursowi dla dzieci, który właśnie się rozpoczyna. Nie słuchając wskazówek swojego ojca, moi przyszli bratankowie, Osku i Vote, biorą rozbieg w linii prostej i po wykonaniu krótkiego zamachu przypominającego ruch w krykcie ciskają kalosz na odległość powyżej dwudziestu metrów. To dziecinna technika. Jasne.

W końcu doszło do tego. Jako gość mogę otworzyć międzynarodową konferencję dla mężczyzn. Jeszcze ostatni łyceczek i chwiejnym krokiem przechodzę do czynu. W sposób uroczysty przekazuje się mi przedmiot, który mam rzucić. Jest to czarno-biały kalosz z napięciem wykonany z grubej gumy, długi na przynajmniej jeden metr, z dziesięciocentymetrową podeszwą z gumy, niczym z opon zimowych, rozmiar 47. To produkt firmy Nokia, dowiaduję się później, rolls-royce wśród fińskich gumiaków.

Ciężki, coraz cięższy wydaje mi się ów przedmiot wcisnięty między kciuk i palec. Na boisku zapanowała zupełna cisza. Najpierw wśród zaciekawionych spojrzeń mieszkańców wsi oraz przybyłych gości wykonują kilka oryginal-

* Lars Peter Riedel - niemiecki lekkoatleta dyskobol, mistrz olimpijski i pięciokrotny mistrz świata.

nych ruchów Larsa Riedla w celu rozgrzania się, potem odkładam kalosz i z całych sił uderzam się w oba policzki - znam ten gest z telewizji - zaczynam od nowa i już na początku pierwszego obrotu czuję, jak but próbuje się wyślizgnąć z moich palców. Kręcę się więc mocniej, osiągam zawrotną prędkość i po trzeciej, diabelskiej rotacji ciskam gumiak bezpośrednio w twarz sędziego, Ollega Sundberga, który stoi kilka metrów za mną.

Z pewnością można by było opowiedzieć tę historię na wiele innych sposobów, nie zmieniłoby to jednak stanu rzeczy.

Gdy po dziesięciu minutach Olle odzyskał przytomność, zapewnił w swoim języku ojczystym, szwedzkim, że czuje się dobrze (*Jag mar bra, jag mar bral*) i że chce dalej sędziować. Jest to odważna decyzja, ponieważ mimo dużego obrzęku widać na grzbiecie jego nosa spore nacięcie. Krew płynie strumieniem.

Ja również nie czuję się najlepiej, z powodu szoku oraz uczucia, że znajduję się nadal w ruchu rotacyjnym. Ale przede wszystkim, jakby kierowała mną jakaś obca siła, chichoczę i paplam przez cały czas, a gdy Raimo ciągnie mnie w kierunku drewnianych ław, nawet głośno się śmieję.

— *Tama on meiddn Rami, on saksalainen* — wyjaśnia mieszkańcom wsi. Pełni zrozumienia, a nawet życzliwości - takie odnoszę wrażenie - robią mi miejsce pośrodku, po klepując mnie co rusz po ramieniu.

* To nasz Rami, jest Niemcem (fin.).

To, czego nie wiedziałem i wiedzieć nie mogłem: Sundbergowie i Paivióowie są od czterech generacji wrogami. Dziadek Ollego, Edvard Sundberg, sprzedał (według innych źródeł dał w prezencie) na początku wieku babci Aulisa, Tiku Niklander, gdy była jeszcze młodą kobietą, najpiękniejszą działkę nad jeziorem należącą do jego folwarku za niewymownie niską cenę. Kierujące nim motywy nigdy nie ujrzały światła dziennego. I właśnie na tej działce stoi komfortowo wyposażony *mokki* Aulisa. Sąsiednie, mniej korzystnie położone parcele, znajdują się do dzisiaj w posiadaniu Sundbergów. Jest to stary szwedzki ród z rozległymi posiadłościami ziemskimi należącymi do majątku rodzinnego - jeszcze z dawnych lat, z czasów szwedzkiej okupacji.

Ollemu Sundbergowi sprawia szczególną radość niedbale ociosywanie lasu wokół domku należącego do rodziny Paivióów. Graniczące z ich działką brzozy, sosny i świerki osiągnęły z upływem czasu taką gęstość i wysokość, że światło słoneczne nie dociera na taras *mokki*. Aulis ponawia więc od wielu lat swoją ofertę. Jest gotów ściąć własnoręcznie drzewa, pozbawić je gałęzi i porąbać w nieduże prostopadłościany, *motti*, a następnie dostarczyć je rodzinie Sundbergów. Jednak Olle za każdym razem odrzuca jego propozycję. To jego mała, spóźniona zemsta za utratę tej tak atrakcyjnej działki.

Sundbergowie są w Pertunmaa niezbyt lubiani, uważa się ich za zarozumiałych, podstępnych i aroganckich. Wszyscy wiemy, jak ważne jest mieć w sąsiedztwie przynajmniej jedną rodzinę, której z całego serca nienawidzimy. U nas w domu są to Dórnerowie. Tutaj - Sundbergowie.

Wszyscy byli dość zakłopotani z powodu nieszczęścia, które dosięgło Ollego. W końcu wykonywał bezinteresownie powierzone mu zadanie. Opiekowano się więc nim, przykładając papierowy ręcznik do jego nosa oraz chłodząc jego kark lodowatą wodą. Ja natomiast zanosilem się coraz częściej i głośniejszyderczym śmiechem oraz wyrzucałem z siebie niespójne frazy typu: „*Ei ole Absicht*” lub „*Mina olen really sorry*”. A myśliwi z Pertunmaa zapraszali mnie na kolejne *sahti*. To był także wypadek podczas polowania, że tak powiem.

Teraz Raimo rzuca kalosz, stosując technikę mieszaną, frontalny rozbieg i prosta rotacja. Wynikiem 38,5 m ustanawia nowy rekord, a przygląda się temu surowym okiem nowo mianowana sędzina Pirkko Paivió. Natomiast Joel, syn Ollego, musi zawieźć ojca saabem cabrio, najprawdopodobniej jedynym w Finlandii Środkowej, do Jyvaskyla, do najbliższego szpitala, ponieważ nie udaje się zatamować krwawienia, a poza tym pojawiły się wymioty.

O ŚRÓDZIEMIU...

Dom parafialny w Pertunmaa jako miejsce opisanych wydarzeń leży w sercu prowincji Keski-Suomi. Keski-Suomi oznacza w bezpośrednim tłumaczeniu Finlandie Środkową. Miejscowi nazywają niekiedy swój rejon *kęski-maa*, czyli środek Ziemi z powodu jedynych w swoim rodzaju skał, liczących miliony lat, które wystają z jezior tego najbardziej fińskiego ze wszystkich fińskich obszarów. Wspominałem już o skłonności Finów do stawiania swojego kraju na równi z planetą Ziemią.

Wyobraźmy sobie etnologa lub folklorystę, który siedząc na jednej z drewnianych ław, obserwuje i gorliwie notuje podczas Świąta Myśliwego Polującego na Łosie. Jego tekst, stanowiący podsumowanie wrażeń, mógłby brzmieć następująco:

Finowie to lud skromny, lecz bardzo starożytny, kochają pokój i ciszę, i żyzną, uprawną ziemię najchętniej osiedlali się w dobrze rządzonych i dobrze zagospodarowanych rolniczych krainach. Odznaczają się doskonałym słuchem oraz bystrym wzrokiem, a chociaż cechuje ich skłonność do tycia i nie lubią się spieszyć bez potrzeby, ruchy mają

zwinne i zgrabne. Zawsze posiadali dar szybkiego i bezszelestnego znikania. Swoją nieuchwytność zawdzięczają jedynie zawodowej wprawie, a wskutek dziedzicznych uzdolnień, wytrwałych ćwiczeń i serdecznego życia się z ziemią doprowadzili ją do doskonałości, której wiejsze i mniej zręczne rasy nie mogą naśladować. Twarze mieli na ogół bardziej poczciwe niżpiejne, szerokie, jasnookie, rumiane, o ustach skorych do śmiechu, jedzenia i picia. Początki Finów się_gają w głąb Dawnych Dni, dziś już zamierzchłych i zapomnianych. Mimo to jest rzeczą jasną, że Finowie żyli cicho w Śródziemiu przez długie lata, zanim inne ludy dowiedziały się_o ich istnieniu. A że świat bądź co bądź roil się_ od rozmaitych niezliczonych dziwnych stworzeń, ten mały lud bardzo niewiele znaczył wśród innych. Za życia wszakże Bilba i jego spadkobiercy, Froda, Finowie nagłe, wbrew swoim życzeniom, stali się_ważni i sławni i zamęcili spokój narad Me_ldrców oraz Dużych Ludzi* ■

Specjaliści na pewno rozpoznali, że fragment ten pochodzi z Przedmowy do eposu J.R.R. Tolkiena *Władca Pierścieni*. Tytuł przedmowy brzmi *W sprawie hobbitów*. Pozwoliłem sobie jedynie zastąpić „hobbitów” w cytowanym tekście „Finami” i jeszcze proszę, aby Państwo oczami wyobraźni wymienili „Bilba” na Nokię i „Froda” na PISA**, ponieważ dopiero wtedy opis ten będzie w pełni odpowiadać prawdziwej naturze narodu fińskiego i sytuacji tego kraju na początku trzeciego tysiąclecia naszej ery.

* J.R.R. Tolkien, *Władca Pierścieni, Wyprawa*, przekł. M. Skibniewska, Warszawa 1981.

** Finlandia przoduje od lat w badaniach PISA.

Coraz trudniej jest się zorientować w liczbie uczonych oraz możnych i mądrych tego świata, którzy w ostatnim czasie skierowali swój wzrok na północ, na kraj Finów. Wysyłano delegację za delegacją, aby oddelegowani uszczknęli coś z tajemnicy niesamowitych sukcesów tego małego, jeszcze do niedawna często pomijanego narodu mieszkającego wśród łąk i lasów. I niezależnie od tego, jak serdecznie i otwarcie byli przyjmowani, opuszczali ten kraj, zawsze w skrytości ducha podejrzewając, że prawdziwa tajemnica tego wręcz magicznego wejścia na szczyty uszła ich uwagi lub została - z lekkim uśmiechem - przemilczana.

Co takiego ma Finlandia, czego my nie mamy?

Historia pełna przygód, którą Finowie opowiadają sobie od tysięcy lat przy wieczornym ogniu, nazywa się *Kalevala*. To epos narodowy o dawnych czasach fińskiego ludu. Wszystko krąży wokół Sampo - młynka szczęścia - magicznego przedmiotu, który został wykuty jeszcze przed stworzeniem świata i który przynosi posiadaczowi władzę i niezmiernie bogactwo. Wiekowy mędrzec, czarodziej ze śnieżnobiałym włosom i długą brodą o imieniu Vainamöinen, miał przynieść Sampo z mrocznego jak śmierć Królestwa Północy z powrotem do Śródziemia. Pod koniec eposu opisującego walki między dwoma wrogimi plemionami oraz życie i czyny bohaterów Sampo wpada w przepastne wody. Stracony dla obu stron.

Czy nie mają Państwo wrażenia, że znają tę historię? Mędrzec-czarodziej, mroczne Królestwo Północy, czarodziejski pierścień, który zaginął...

Muszę się do czegoś przyznać. Tamtego dnia, gdy siedziałem na drewnianej ławie w Pertunmaa, powracała do mnie pewna myśl. A może Finowie odnaleźli przed kilkoma laty legendarny Sampo w jednym z tysiąca swoich jezior, a następnie ukryli go przed wielkimi mocarstwami tego świata w jednej z tysiąca *pómpeli* Finlandii Środkowej? I dziś korzystają z jego magicznej mocy?

Z upływem czasu jestem już prawie pewny, że tak właśnie się stało.

...I O ELFACH

Szukając bezsprzecznych podobieństw między Hobbitami Tolkiena ze Śródziemia a naprawdę istniejącymi Finami z Keski-Suomi, należałoby wspomnieć, że eteryczna bladeść i wdzięk długonogich Tolkienowskich elfów są bliskie narodowi mojej żony, szczególnie gdy płynie w jego żyłach choć trochę szwedzkiej krwi. I dlatego, czerpiąc w dużej mierze z własnego doświadczenia, chciałbym powiedzieć rzecz następującą: Gdyby można było skrzyżować hobbita z elfem rodzaju żeńskiego, to wyszłaby z tego Finka.

Z tego punktu widzenia dzisiejsza Finlandia jest bliska królestwu elfów z eposu Tolkiena. Jej mieszkańcy dokształcają się każdego dnia w tym już także legendarnym państwie opiekuńczym, sprawiedliwie dzielą między siebie z artyzmem wykonane produkty sztuki użytkowej oraz dbają, aby nawiązywane na całym świecie przyjaźnie były długotrwałe.

Ponadto prawdą jest, muszę to powiedzieć, a potem zamknę dziób na kłódkę, by nie zagrażać więcej tajemnicy Śródziemia, że Tolkien zajmował się w młodości intensywnie-

nie językiem fińskim, a wymyślony przez niego język elfów w eposie *Władca Pierścieni* jest zadziwiająco podobny w strukturze i brzmieniu do starofińskiego, chwilami wręcz z nim identyczny.

Jeszcze jeden fragment z *Władcy Pierścieni* zaczerpnięty z pierwszego tomu. Jesteśmy w Lothlorien, krainie elfów. Znowu dokonałem drobnej zamiany: zastąpiłem imiona Frodo i Sam imionami dwóch innych bohaterów:

Pewnego dnia Rami i Gabriele przechadzali się o podwieczornym chłodzie. Obu znowu nejcał niepokój.

*- No, Gabriele, co sądzisz teraz o elfach? - spytał Rami.
- Postawiłem już raz to pytanie... jakże to się_L wydaje dawno temu! Ale od tamtego dnia napatrzyłeś ich się_L więcej.*

- Że się_L napatrzyłem, to się_L napatrzyłem! - odparł Gabriele. - I widzę_L, że są elfy i elfy. Wszystkie najprawdziwsze, a przecież takie różne. Czy to ten kraj ich przerobił, czy oni go na swój sposób przerobili - trudno zgadnąć. Tak tu spokojnie! Jakby się nic nie działo i jakby nikt żadnych zdarzeń nie przagnął. Jeśli tkwi w tym jakieś czarodziejstwo, to chyba bardzo głęboko, nic wymacać nie sposób, że się_c tak wyrażę[^].

- Widzi się_L i wyczuwa czar we wszystkim dookoła - powiedział Rami.*

O tak, czujesz i widzisz ją rzeczywiście wszędzie, ową obcą siłę, która w tajemniczy sposób emanuje z wnętrza tych ludzi. I do dzisiaj, tak mi się wydaje, nie udało się

* J.R.R. Tolkien, *Władca Pierścieni, Wyprawa*, przekł. M. Skibniewska, Warszawa 1981.

jeszcze żadnemu śmiertelnikowi zrozumieć tego kraju. A jutro rano - za plecami Boga - Pia założy mi na palec obrączkę, która posiada tę magiczną moc, że połączy nas na wieki.

Ubrani jedynie w fińskie filcowe pantofle krążymy wokół paleniska przed sauną. Moja Finka mruczy mi do ucha wersy o dalekim, baśniowym kraju gdzieś za oceanem: *Oi, jospa kerran sinne satumaahan kaydd vois...* (Och, gdybym choć raz mogła powędrować do baśniowej krainy...).

Nigdy nie pozwoliłbym odejść mojej ukochanej. Nigdy. Trzymałbym ją mocno w ramionach.

RAKKAUS - MIŁOSC

Mennaankó, mój mężu?

Mennaan.

Język fiński nie jest w rzeczywistości tak trudny, jak się powszechnie uważa. Jeśli zostanie postawione Państwu pytanie - rozpoznacie je po kończącym zdanie „ko" lub „ko" - to w trzech czwartych przypadków wystarczy powtórzyć usłyszaną kolejność słów, pomijając na końcu „ko". *Ymmarrammekól Ymmarramme**.

Na dłuższą metę, przyznaję, niezwykle korzystną rzeczą jest wiedzieć, na co się właśnie zgodziliśmy. Ale jakkolwiek by było, był to dobry początek rozmowy. Poza tym tutaj na Północy ludzie są bardzo uczciwi. Żaden z Finów nie zamierza na pewno wcisnąć Państwu w czasie pierwszego spotkania umowy z operatorem sieci komórkowej.

Mennaan. Idziemy więc. Moja Finka, naga po wyjściu z sauny, prowadzi mnie pewnym krokiem przez ciemną noc w dół, do chaty nad jeziorem. Tradycja wymaga, aby na-

Rozumieją Państwo? Rozumiemy (fiń.).

GDZIE JESTEŚ?

rzeczony spędził noc przed ceremonią zaślubin w miejscu dość odległym. Ale rodzina Raima śpi w piwnicy w *mokki*, Mikę z przyjaciółką Mią pod namiotem w ogrodzie, we wszystkich dostępnych na obszarze gminy leśnych domkach przewracają się z boku na bok o tej późnej godzinie - liniom lotniczym Ryanair dziękuję - niemieccy krewni i znajomi, a z ich termicznych śpiworów unosi się ostry zapach autanu. Nikt nie przypuszczał, że zjawią się wszyscy. Zdecydowanie za mało debatuje się na temat kulturowych następstw korzystania z tanich linii lotniczych.

Moja Finka wiesza ciężki żelazny klucz na porożu renifera zawieszonym nad niedużym wejściem. Wczolgujemy się do *aitty* jak do jakiejś ziemianki. Wszystkie inne narody świata zdejmują nocą swoje ubranie, tylko Finowie ponownie się ubierają. Tak myślę, patrząc, jak Pia wsuwa swoją głowę, a następnie ciało w koszulę nocną. Po lewej stronie, na wysokości serca dostrzegam małą, wyszytą białymi niemi literkę P: „P” jak Pia, a właściwie Piukku, bo tak nazywają ją członkowie rodziny. Piukku pochodzi od *pikku*, a *pikku* oznacza mała. A więc mała Pia, i nie chodzi o zabawę w zamianę literek, raczej o przewrotne potraktowanie rzeczywistości. Matka Piukku - Pirkko - podarowała jej tę koszulę nocną w szkarłatnym kolorze z okazji czternastych urodzin. Dopiero dzisiaj zauważam, że nadal dobrze leży, a to oznacza, że moja Pia już u progu piętnastego roku życia mierzyła około 1,95 m.

Gdy Piukku świętowała swoje czternaste urodziny, ja miałem dziesięć lat i chodziłem do trzeciej klasy Szkoły

Podstawowej im. Ernsta Reutera w Karlsruhe. Pamiętam z tamtego czasu długą przerwę, kiedy to najlepszej przyjaciółce Miriam Dórner dałem jasno do zrozumienia, że w chwili obecnej nie chcę już chodzić z Miriam. Aby nabrać dystansu do tej zarówno emocjonalnej, jak i wstrząsającej oraz wyczerpującej rozmowy, ruszyłem biegiem wokół szkolnego parku zasypanego jesiennymi liśćmi. I wtedy marzyłem już o innej, jeszcze mi nieznaney istocie rodzaju żeńskiego, którą chciałbym kiedyś pokochać miłością nieśmiertelną. I poślubić.

Wydawało mi się bardzo prawdopodobne, że moja przyszła żona je w chwili obecnej drugie śniadanie na jednym ze szkolnych dziedzińców znajdujących się w tym mieście lub w tym kraju albo z gracją - to było ładniejsze wyobrażenie - oddaje się skomplikowanym wariantom skoków przez skakankę. Gdzieś żyła, śmiała się i oddychała, coś robiła i o czymś myślała, ale ani ona, ani ja nie wiedzieliśmy jeszcze nic o naszej wspólnej przyszłości. Oszłomiła mnie ta myśl, gdyż ukazała w niezwykle plastyczny sposób fundamentalną szczerść i otwartość mojej jeszcze młodej egzystencji.

W każdym razie postanowiłem wtedy, że w dniu ślubu powrócę myślami do rundy w szkolnym parku, by uśmiechnąć się na wspomnienie myśli i pragnień mojego dziesięcioletniego Ja.

Czy pomyślałbym o uśmiechu, gdyby w moich ówczesnych, poplątanych marzeniach ukazała się Finka wzrostu 1,95 m z fryzurą jak od garnka, która w zimnej hali sportowej na przedmieściach Helsinek porusza się niezgrabnie, ćwicząc rzuty do kosza? Wątpię. Uznałbym to raczej za kiepski żart jakiegoś złego demona.

- Gdzie jesteś, mój mężu? - Pia wychyla się z górnej części drewnianego łóżka i patrzy mi prosto w oczy.

Kocham ją szczególnie za to pytanie, ponieważ zawsze mogę odpowiedzieć „w zamyśleniu”. Istoty rodzaju żeńskiego z innych krajów, szczególnie z mojego kraju, ulegają w podobnych sytuacjach nieodpartej potrzebie zadania kolejnego pytania „A o czym myślisz?”, choć raczej nie są zainteresowane poważną wieczorną rozmową. Nic takiego nie przyszłoby Fince do głowy. W kulturze kraju mojej przyszej żony pytanie „O czym myślisz?” jest od dawien dawna uzasadnionym powodem rozwodu.

Muszę przyznać, że moja Finka wykazuje wiele zrozumienia dla tego osobliwego *saksalainen**, który leży teraz na materacu z tworzywa piankowego w dolnej części piętrowego łóżka i w zamyśleniu dłużej w jednej z licznych dziur swojej biało-niebieskiej koszuli w paski. To jest ta sama biało-niebieska koszula, którą miał na sobie przed siedmioma laty, kiedy po raz pierwszy wyszli razem. To dało jej do myślenia, że Niemiec, który nosi dobrowolnie koszule w paski, nie może być złym człowiekiem. Dlatego też kilka godzin później pokonywała, idąc za nim, strome schody prowadzące w górę do jego andaluzyjskiego, wynajętego przejściowo, małego mieszkania, a na niepewnie wypowiedziane zastrzeżenie Niemca, że tam na górze jest tylko jedno i do tego jeszcze bardzo wąskie łóżko, odpowiedziała:

- Nic nie szkodzi.

**Saksalainen* (fiń.) - Niemiec, Niemka.

O tym właśnie myśli w tej chwili jej Niemiec i przypomina sobie jeszcze, jak jego Finka okleiła następnego ranka wszystkie przedmioty stojące w tym hiszpańskim apartamencie żółtymi samoprzylepnymi karteczkami. Szybko więc zapamiętał, że lodówka to *jaakaappi*, krzesło - *tuoli*, prysznic - *suihku*, szczoteczka do zębów - *hammasharja*, chleb - *leipd*, kielbasa - *makkara*, a *mansikat* to truskawki, tu zawsze słodkie.

Jak Adam i Ewa w raju nadawali przedmiotom nowe nazwy, a w języku tej drugiej osoby odkrywali nowy świat, ponieważ miłość, nieprawdaż?, potrzebuje najwięcej słów w porównaniu ze wszystkimi innymi uczuciami. W ciągu tamtych magicznych dni wydawało mu się, jakby uczył się mówić zupełnie od początku, jakby po raz pierwszy zrozumiał prawdziwe znaczenie przedmiotów, które go otaczają, ponieważ jego oczy widziały tylko to, co widziały jej oczy. Tak więc wszystko stało się w jakiś cudowny sposób jednością zrozumiałą dla obojga.

Niedługo potem wyjaśnił swojej fińskiej miłości - patrzył wtedy na brzoskwinie, zwaną *persikka* - że jest przekonany, iż słowa znaczą dopiero wtedy cokolwiek, gdy zostaną skierowane do drugiego człowieka, do człowieka, który chce je zrozumieć. Dlatego też, pojął to dopiero teraz, miłość jest podstawą wszystkich zmysłów i wszelkich ludzkich języków. Wtedy jego Finka nauczyła go nowego słowa ze swojego języka, słowa, które od tamtego dnia towarzyszy mu nieustannie i kształtuje jego egzystencję. Na te piękne rozważania o miłości odpowiedziała bezbarwnym fińskim *hopóhópó*.

HÓPÓHÓPÓ

Do *hópohópo* nie można przykleić żadnej karteczki, tego słowa nie można również przetłumaczyć. *Hópohópo* nie jest pojęciem, jest raczej formą wyrażenia opinii. Jeśli przyszły zięć chwali zupę ze szczupaka przygotowaną przez matkę chrzestną swojej przyszłej żony jako najlepszą zupę rybną ze wszystkich, które do tej pory jadł (nawiasem mówiąc, nie kłamie, ponieważ jest to pierwsza zupa ze szczupaka w jego życiu), to teściowa *in spe* przyjmuje to wyznanie z surowym *hópohópo*. Jeśli niemiecki student określa trzyletnią latorośl sąsiada zajmującego się hodowlą świń jako niezwykle uzdolnione dziecko, gdyż nauczyło się samo czytać, to należałoby powiedzieć teraz *hópohópo*. Kiedy przemoczony i przemarznięty wchodzisz do *mokki* swoich teściów i opowiadasz z wyraźnym ożywieniem o pstrągu tęczowym, ważącym z pewnością cztery kilogramy, na pół metra długim i tak silnym, że przy próbie przeniesienia go na łód przegryzł stalową stągiewkę, a następnie umknął, słyszysz *hópohópo*. Wyrażaną głośno radość z wejścia na szczyty na szlaku Niedźwiedziej Pętli przerwie chłodne

hópohópó, jak również informacja, że pozostało jeszcze trzydzieści kilometrów. I kiedy o poranku, pod koniec kwietnia, gdy świat za oknem zasypany śniegiem, informujesz swoją Finkę, głęboko w to wierząc, że już nigdy nie będzie ciepło, że chłód nie odpuści, że nie przyjdzie wiosna ani lato, i kiedy pytasz ją, dlaczego nie może zrozumieć, że to wszystko już się skończyło, po prostu skończyło, wtedy ona gładzi cię delikatnie po czole, szepecząc pocieszające *hópohópó*.

Hópohópó jest wezwaniem, zawsze obecnym w kulturze fińskiej, do zachowania umiaru; *hópohópó* to przekonanie, że istotą tak zwanej rzeczywistości jest trzymanie naszych największych marzeń w ryzach; *hópohópó* to życie bez stopnia najwyższego; *hópohópó* jest niczym innym jak uczciwym uznaniem naszego człowieczeństwa w jego skończoności.

Żyjąc z moją Finką, zrozumiałem szybko głęboki sens tkwiący w słowie *hópohópó* i nagle poczułem się wolny, tak wolny, że pewnego czerwcowego dnia, w Andaluzji, o wczesnych godzinach porannych zasygnalizowałem moje całkowite wyczerpanie łagodnym *hópohópó*. I wtedy też poczułem ogromne pragnienie, aby zapytać ją, jak brzmi owo zdanie w jej języku, owo magiczne zdanie, które kryje w sobie tę subtelną treść i które w każdym języku świata jest najważniejsze i najpiękniejsze.

Poważna i zamyślona odpowiedziała, że w języku fińskim nie ma takiego zdania.

- Co masz na myśli, mówiąc, że tego zdania nie ma w języku fińskim?

- Hm, ono jest, ale tego się nie mówi.
- Jak to? Finowie nie mówią sobie wzajemnie, że się kochają?
- Oni to pokazują.
- Ale czasami, czasami trzeba to po prostu powiedzieć.
- Po co?
- Żeby ukochana to wiedziała, a kochający nie pękl z nadmiaru uczuć.

A jednak nie udało mi się jej przekonać. Spędziła pięć ostatnich lat w Ameryce i tam słyszała to zdanie wiele razy (nie zapytałem ile). Powiedziała:

- *You know what: In English it doesn't mean shit.*

Ona sama jeszcze nigdy nie wypowiedziała tego zdania, a po fińsku słyszała je tylko jeden raz, gdy odwiedziła swojego ojca w szpitalu. Podłączony do licznych kabli, z maską tlenową na twarzy, leżał na oddziale intensywnej terapii po przebytym zawale serca. Nie wiedział, czy doczeka następnego dnia i wtedy, w tamtej chwili wziął ją za rękę i powiedział to po raz pierwszy i jedyny w swoim życiu.

Leżeliśmy, milcząc. Była to z pewnością niezwykle czuła godzina, żadne słowo nie przerywało ciszy, gdy nagle poderwała się ze śnieżnobiałego łóżka mieniącego się teraz czerwienią wschodzącego słońca i szybko podeszła do stołu. Sięgnęła po jedną z ostatnich karteczek, napisała na niej trzy słowa i powróciła do łóżka.

- Proszę, dla ciebie!
- *Mi-nd-ra-kas-tan si-mua*, dobrze wymawiam?
- Nie: *Mina rdkastan simua*. Akcent w języku fińskim pada zawsze na pierwszą sylabę!
- A więc: *Minii rakastan simua. Mina rakastan simua.*

- *Hyva! Minii rakastan sinua.*
- *Oikein hyvät, moja Piękna, oikein hyvä*.*

Tamtego poranka moja żona nauczyła mnie - tę lekcję zapamiętam do końca życia - że w fińskiej miłości nie ma żadnej różnicy pomiędzy mówić i pokazywać.

* Bardzo dobrze (fiń.).

BEZ SŁÓW

Język fiński potrzebuje zatem ośmiu sylab, aby wyrazić miłość. Śmiem twierdzić, że to europejski rekord. Językom romańskim (*Je fahme, Te quiero*) wystarczą dwie lub trzy sylaby, językom germańskim trzy lub cztery (*I love you, Ich Hebe dich, Jag alskar dig*), językom słowiańskim pięć (*Ja Ijublju tiebja*), a węgierski, językowo spokrewniony z fińskim, potrzebuje maksymalnie sześciu sylab (*En teged szeretlek*).

Fiński natomiast: osiem! *Mina rakastan sinua*.

To musi coś oznaczać, zwłaszcza że każdą sylabę należy wymówić wyraźnie i głośno. W języku fińskim nie można mamrotać. Każda litera jest ważna, kryje głębokie znaczenie. Żaden inny język, stwierdzili to lingwiści, tylko fiński niesie niemalże w każdej literze ukryty sens. Finowie nie są więc aż tak milczący, jak się powszechnie uważa. Mówią po prostu więcej, potrzebując mniej*.

Proszę mnie dobrze zrozumieć: sędzę, że język fiński nie jest niczym innym jak kulturowanym starannie przez

* Według jednej z tez Finowie nigdy nie mówią *Mina rakastan sinua*, ponieważ obawiają się, że korzystając z ośmiu sylab dla tak prostego przekazu, mogliby w rzeczywistości powiedzieć o wiele więcej, niż zamierzali (przyj. autora).

tysiąclecia zastrzeżeniem co do wartości samego mówienia, a tym samym jednym z największych i jednocześnie najbardziej paradoksalnych osiągnięć ludzkiego umysłu.

Ymmarrammekól

Któregoś dnia zapytałem moją Finkę, jak mógłbym przetłumaczyć niemiecki czasownik „przedyskutować problem”, ponieważ jest to nad wyraz ważne słowo dla mojego pokolenia. Każdego dnia, już od trzeciej klasy szkoły podstawowej nakazywano nam surowo „dyskutować wspólnie” o ważnych życiowych sprawach.

To była dziwna rozmowa. Nawet nie jestem pewny, czy udało mi się wyjaśnić mojej żonie, czego chce niemiecki mężczyzna, kiedy ma ochotę coś przedyskutować. Zdaje się, że odpowiednik nie istnieje. Dla takich nonsensów nie ma w języku fińskim miejsca. Proszę zadać sobie samemu pytanie: Czy udało się Panom choć raz w swoim życiu, przede wszystkim ze swoją życiową partnerką, przedyskutować z powodzeniem cokolwiek?

Sami Panowie widzą.

Fin to przeczuwa i w ogóle nie podejmuje rozmowy. Przeważająca część ludzkości uroiła sobie, że komunikacja językowa sprzyja wzajemnemu zrozumieniu. Fin sądzi inaczej. Według niego sprawa przedstawia się raczej odwrotnie. Już sama potrzeba powiedzenia czegoś jest bezsprzecznym dowodem na to, że przestaliśmy się rozumieć, że najwidoczniej coś zakłóciło istniejącą jeszcze do niedawna harmonię. A poza tym, co dobrego może wyniknąć z faktu, że dwoje ludzi, którzy już i tak się nie rozumieją, będzie ze sobą rozmawiać?

Ta mądra skłonność do werbalnej oszczędności dotyczy nawet zwrotów grzecznościowych. Finowie nie życzą so-

bie „smacznego”. Złośliwi twierdzą, że wynika to z braku fińskiej kuchni. Wprawdzie nie można temu zaprzeczyć, ale jeśli chcemy rozważyć sprawę uczciwie, musimy i to powiedzieć: Jeśli ktoś rzeczywiście ma ochotę coś zjeść, to wyrażone życzenie uniemożliwi mu tylko niezakłócone zaspokojenie tej potrzeby. I jeszcze ma to być wyraz grzecznego zachowania? Finowie potrafili wyciągnąć z powyższych rozważań właściwe wnioski i zazwyczaj rozpoczynają swój posiłek w milczeniu.

Po tych wszystkich analizach muszę się przyznać do tego, że w aspekcie czysto językowym pozostałem na pierwszym etapie samoprzylepnych karteczek. Nadal nie znam języka fińskiego i nie rozumiem mojej żony, kiedy posługuje się tym językiem. Tylko dlatego, czasami przychodzi taka myśl, jesteśmy wciąż razem. W trakcie minionych lat zaobserwowałem, że interkulturowe związki partnerskie zaczynają się wtedy rozpadać, gdy jeden z partnerów opanował w końcu biegle język ojczysty drugiego.

Jest to więc może kwestia czasu. Po kilku latach - tak, tyle czasu potrzeba, aby nauczyć się mówić dobrze w języku obcym - większość par się rozstaje. Myślę, że istnieje jeszcze inny powód tych decyzji. Nabyta umiejętność rozumienia ukochanej osoby w jej ojczystym języku przyćmiła tę niegdyś pociągającą obcość, a miejsce tej na zawsze utraconej fascynacji zajęła pewnego rodzaju bezczelność podpatrywania partnera w jego najzwyczajniejszej codzienności.

Naprawdę nie jestem pewny, czy chcę wiedzieć, o czym moja Finka rozmawia ze swoją przyjaciółką z lat szkol-

nych, Minną, i do czego próbuje ją przekonać, nie chcę wiedzieć, jakiej melodyki głosu lub jakiego dialektu używa, kiedy podejmuje rozmowę ze sprzedawczynią na stoisku rybnym w supermarkecie w Joutsa, pytając ją, czy losos w ofercie nie pochodzi przypadkiem z Norwegii. Także niemiecki mojej żony nie jest aż tak dobry, aby zrozumieć i dostrzec językowe, często niemile, niuanse.

Chciałbym powiedzieć rzecz następującą: Tam, gdzie inne pary odczuwają nieustanną potrzebę dyskusji oraz diagnozowania i demaskowania siebie nawzajem w najdrobniejszych szczegółach, my wypełniliśmy pustkę, która powstała wskutek częściowego braku słów, idealnym obrazem tej drugiej osoby. Zamiast więc klócić się, niosąc z sobą bagaż różnych wzorców kulturowych, milezimy w razie wątpliwości niesieni starofińską mądrością, że prawdziwych życiowych problemów, zwłaszcza tych w małżeństwie, nie rozwiąże żaden język tego świata.

Prawdopodobnie teza ta jest niczym innym jak próbą idealizowania rzeczywistości, na którą moja Finka zareagowałaby delikatnym *hopóhópo*, jak również surowym upomnieniem, że powinienem w końcu zacząć się uczyć języka fińskiego, gdyż wtedy nie musiałbym wymyślać tych wszystkich bzdur.

TAJEMNICA

Wydaje mi się, że Aulis i Pirkko, rodzice mojej fińskiej żony, osiągnęli właściwie fiński ideał miłości oparty na milczącej harmonii, gdyż z moich obserwacji wynika, że nie rozmawiają już ze sobą w ogóle. Ich dzień powszedni mija tak łagodnie i cicho, jak odgłos sanek sunących po śniegu. Taki stan absolutnej zgodności, który obejmuje również doskonałą wiedzę na temat życzeń i poczynań drugiej osoby, jest oczywiście tylko wtedy możliwy, gdy życie codzienne jest proste i przebiega według utartego schematu - co Fin na ogół bardzo ceni.

Przeżyć nago w lesie na północy jest już samo w sobie nie lada wyzwaniem. Nie trzeba więc kręcić piruetów, niepotrzebna skomplikowana osobowość lub inne tego typu ozdury. W fińskiej miłości przenikają się wzorce życia mężczyzny i kobiety w swej regularności tak niezmiennie jak motyw Marimekko na koszuli w paski.

Monotonia oznacza triumf.

Niewprawne oko obserwatora może więc początkowo odebrać idealny fiński związek jako najsmutniejszą formę życia razem, jako związek, w którym partnerzy nie mają sobie już nic do powiedzenia - wspólne życie w stanie zu-

pełnej obojętności. I tak każdego poranka pocziwa Mummi podaje pocziwemu Ukkiemu, nie wypowiadając przy tym ani słowa, owsiankę gotowaną przez trzy i pół minuty, Ukki je ją bez słów, Mummi zagłębia się w swoją kobiecą gazetę „Kotiliesi”, Ukki wkłada w milczeniu pusty talerz do zmywarki, następnie odchodzi bez słów do *pómpeli*, wtedy Mummi siada przed komputerem, aby ułożyć pierwszego w tym dniu pasjansa, później rozwałkowuje ciasto na popołudniową drożdżówkę, *pullą*, którą poda Ukkiemu, gdy ten przyniesie z piwnicy położonej obok *pómpeli* porcję ziemniaków przewidzianą na dany dzień. Wtedy rzeczywiście i dla mnie zaciera się granica pomiędzy absolutną harmonią a całkowitą obojętnością. Patrząc na poranny spokojny uśmiech Aulisa i jak na ruchomym obrazku z piasku widzę najpierw całkowite odprężenie, by za chwilę odnieść wrażenie, że skamieniał w beznadziei. Od czasu do czasu ogarnia mnie w takich chwilach zwątpienie, czy kiedykolwiek zrozumie tych ludzi i ich kulturę. Jakbym poczuł powiew lodowatego wiatru.

Czy mam porozmawiać o tym z moją przyszłą żoną? W nocy przed naszym ślubem?

- Moja Piękna, śpisz już? -

Nie.

- Viktor zauważył to jako pierwszy. -

Tak.

- Może też jako pierwszy to powiedział.

- *Juu*.

Viktor, właściwie Viktor Minderer, doktor psychiatrii i doktor psychologii, były długoletni partner mojej siostry, a więc mój i mojej Finki przyjaciel od wielu lat.

Oprócz mojej matki nikt nie zgłaszał sprzeciwu, aby go zaprosić. Moja matka nigdy go nie lubiła. Ta niechęć wynikała przede wszystkim z jego zachowania podczas rozmowy. Viktor odczuwa potrzebę, aby w czasie każdej pogawędki przedstawić swoją tezę w sposób dość agresywny, niezawoalowany i w konsekwencji często bolesny. Innymi słowy: podwójny dr Minderer nie umie konwersować, ale tylko dlatego, że, jak sam podkreśla, nie chce się tego nauczyć.

W Heidelbergu w pierwszym roku pracy jako lekarz asystent miał w zwyczaju wjeżdżać na rowerze na oddział psychiatrii. Zawsze miał na sobie biały T-shirt, na którym kazał wydrukować czarnymi grubymi literami napis: TERAPIA BEZ EMPATII. To był jeden z tych poranków w Heidelbergu, kiedy drzwi otworzyła moja siostra i powiedziała, że tęskni za związkiem, w którym mogłaby rozmawiać ze swoim partnerem o szczoteczce do zębów.

Ale to było dawno temu. W obecności Roberta, małżonka mojej siostry, skłonność Viktora do nietaktownych zachowań staje się szczególnie widoczna, zwłaszcza teraz, tuż przed ślubem. Każdy z zaproszonych gości zachowuje się tak, jakby był zupełnie zrelaksowany. A jednak tak nie jest.

Podczas grillowania w obecności mojej najbliższej rodziny Viktor, jak zawsze trochę zbyt głośny, opowiadał w zabawny sposób, że od sześćdziesiątego roku życia stolec zajmuje miejsce seksu w dynamice stosunków partnerskich. Obserwacja nie tylko jego własnych rodziców, lecz przede wszystkim jego pacjentów pozwala mu wysnuć takie wnioski. Permanentnie myśli się i dyskutuje o nie-

strawności, biegunkach, niekontrolowanych wytryskach i ich konsystencji; to są naprawdę nieliczne tematy, które mogą jeszcze pobudzić i ożywić starsze pary małżeńskie. Mój ojciec przytakiwał życzliwie, przyznając Viktorowi rację, podobnie uważał mój wujek Elmar, choć na twarzy jego małżonki widać było wyraźne oburzenie. Viktor, mając wszystkich razem, kontynuował więc swój wywód, stwierdzając, że przynajmniej - był gotów przyjąć zakłady - 70% z obecnych tu par wzięło ślub z uwagi na przedmałżeńską ciążę. Jest zdumiony, jak wiele ich mimo to wytrzymało ze sobą do dnia dzisiejszego, sprawiając niekiedy wrażenie zadowolonych.

Popatrzmy: moi rodzice, rodzice Pii oraz Gertrud i Thomas -jej rodzice chrzestni, pozostali przybyli wujkowie i ciocie, Elmar i Vera, moja siostra i Robert. Hm, 70% - zdaje się, że Viktor był zbyt ostrożny. Cicha kalkulacja mojej przyszej żony musiała doprowadzić ją do podobnego wniosku, ponieważ wyjaśniła teraz zebranym, że przed stawiony przed chwilą stan rzeczy można by szczególnie trafnie spointować, odwołując się do podwójnego znaczenia fińskiego czasownika *naida*.

- Ach tak, więc? - dopytywał Viktor.

- *Nai minua* - powiedziała moja Finka i spojrzała na mnie niepewnie - oznacza w języku fińskim: „Pieprz mnie!”. A *nai minut*: „Wyjdź za mnie!”. Więc tylko jedna litera odróżnia w fińskim „pieprzyć” od „poślubić”. Jeśli nie będziesz uważać, to może ci się przydarzyć coś niespodziewanego.

Zapanowała niezręczna cisza. Viktor wykorzystał tę chwilę, by zapytać Pic, dlaczego nie wypila do tej pory

ani jednego kieliszka truskawkowego kruszonu, jest wręcz wyśmienity. Wtedy nastąpiła dłuższa cisza, która wydała się, takie odniosłem wrażenie, nawet mojej przyszłej żonie trochę kłopotliwa.

- Jutro dowie się chyba każdy.
- Tak, dowiedzą się o tym.

Leżymy więc w *aitcie* na kilka godzin przed naszym ślubem, moja ręka na jej brzuchu zakrytym piżamą frotte, i szepczemy sobie czule jak każdego wieczoru przed zaśnięciem tych kilka sylab, których każdy człowiek chętnie słucha, zanim zrobi się ciemno.

Po niemiecku, oczywiście.

**YOLLISIA KUVIA
OBRAZY NOCY**

CZAS PRÓBY

Ostre i szybkie stukanie jakby odgłos dzioba dzięcioła. Ukki przy wejściu i jego forma pobudki.

Za każdym razem, gdy mój samolot odlatuje zdecydowanie za wcześnie, Ukki wiezie mnie w milczeniu przez gęstą poranną mgłę do przystanku znajdującego się na drodze dojazdowej do autostrady, zawsze czujny na wypadek spotkania z krążącymi losiami. Budzę się tak naprawdę dopiero na berlińskiej alei Karola Marksa, pomiędzy budynkami z okresu realizmu socjalistycznego, i nie mogę uwierzyć, że jeszcze przed kilkoma godzinami oddawałem się marzeniom w leśnej chacie gdzieś za plecami Boga. Ale dziś samolot nie odlatuje. Ukki to wie.

- *Tulę, Rami, tulę hiljaa** - szepcze i daje mi znak, abym pozwolił jego córce spać dalej.

Kiedy wychodzimy z *aitty* w jasność poranka, wsuwa ciężki żelazny klucz do jednej z wielu kieszeni swego roboczego kombinezonu wysmarowanego olejem. Jeszcze nie śpiewa żaden ptak. Tylko rozbudzone ropuchy uciekają w podskokach przed naszymi stopami, by zniknąć w krzakach.

* Chodź, Rami, chodź cicho (fiń.).

Dochodzimy do miejsca, gdzie ścieżka się rozgałęzia; zostawiamy tę prowadzącą do wiaty garażowej i wybieramy tę po prawej stronie, która wije się w górę, tuż obok studni wprost do *mokki*.

Ukki wyprowadził *kone* przed dom. *Kone* oznacza po fińsku „maszynę”. Początkowo była to kosiarka do trawy z siedziskiem, wyrób szwedzki, która w chwili obecnej służy jako dmuchawa do liści, tokarka, traktor, kombajn zbożowy, koparka, betoniarka, skuter śnieżny i jako drugi samochód, w zależności od tego, jaką część zamienną, wykutą własnoręcznie, przykręci Ukki. *Kone*, ustrojona kwiatami, odpoczywa w delikatnym świetle poranka. Dwa renifery w skórzanej uprzęży zostały zaprzęgnięte jak konie do powozu, żują właśnie trawę przy delikatnym dźwięku dzwoneczków przypiętych do ich uprzęży.

- Ho! Ho! Ho! - Ukki odwzajemnia moje zdziwione spojrzenie. Dopiero teraz dostrzegam na jego głowie ogromną czapkę Świętego Mikołaja, której białe wełniane frędzle sięgają aż do kolan.

Kiedy wchodzimy do *mokki*, Mummi siedzi w fotelu bujanym z wałkami w kolorze różowym na głowie i robi na drutach rękawice jedнопalcowe. Ma na sobie pomarańczowy dres. Materiał naciąga się na piersiach i biodrach. Na jej szyi wisi stoper w metalowej obudowie.

- *Huomenta* - szepczę w pomieszczenie słabo oświetlone płomieniem świec, ale nie otrzymuję odpowiedzi na moje poranne powitanie. W koszuli w paski i bokserkach stoję przed moimi przyszłymi teściami. Mummi prowadzi mnie do stołu. Na papierowym talerzu parują dwie ogromne kielbasy parówkowe, długie na dwadzieścia centyme-

trów i grube na pięć centymetrów, a więc *HK:n sininen* (niebieska helsińska). Żyłasta, niedosolona papka zbożowa, wymieszana z ohydnyymi mięsnymi odpadami, oprawiona w płowobrunatną skórę, tak sztuczną i twardą, że zazwyczaj jest wydalana w niestrawionej postaci. Ulubiona potrawa Finów.

- *Syó, poika* - mówi Mummi. Jedz, mój chłopcze.

Wstrząsnęły mną dreszcze. Marznę. Nie chcę.

- *Miksi, Mummi? Dlaczego?* - pytam.

Nagle jak duch wychodzi z ciemności Raimo, ma na sobie również pomarańczowy dres. Kładzie dłoń na moim ramieniu i wciska mnie w drewniany taboret.

- *Ei miksi. Syó!*

Z kielbasy wytryskuje woda i trafia w moje prawe oko. Pałący ból. Pytam o musztardę, *sinappi*. Wszyscy się śmieją.

Nadeszła więc noc próby.

Ukki włącza telewizor i wkłada kasetę wideo do odtwarzacza. Mika Hakkinen mknie po nieskończenie długich pętłach i wymija ferrari Schumachera. Raimo tańczy wokół mojego stołka, a fińska flaga powiewa w każdej ręce:

- *Hyva Suomi! Hyva Suomi!* - krzyczy.

Mój organizm nie może już więcej. Częściowo rozgryzione kawalki helsińskiej mieszają się ze wzorem rozwinętego maku na obrusie. Mummi naciska stoper i chrząka niezadowolona. Teraz podchodzi do lodówki i wyciąga białą ceramiczną salaterkę, a w niej śmierdzącą, ciemnobrązową, zimną papkę. Jakby opróżniła latrynę, a następnie dodała do tego mleko i cukier. To jest *mammi*. Wieki temu wymyślono tę potrawę w Finlandii i nigdy nie opuściła granic tego kraju.

Wyjątkowo duża porcja.

Chcę wstać, zaprotestować, ale znów czuję silny uścisk Raimo na moim ramieniu.

Mummi zawiązuje mi wokół szyi śliniak ze wzorem Marimekko.

- *Maistuuko*, Rami? *Maistuukol* - pyta po każdej łyżce.
Smakuje ci, Rami, smakuje?

Lepkie strużki ciemnobrązowej cieczy wyciekają mi z kącików ust. Nie mogę sobie przypomnieć słowa „proszę” po fińsku, nawet nie wiem, czy istnieje w tym języku.

Ukki wlewa wódkę do kieliszka.

- *Hyviiä kurkulle* - mówi. Dobra, by przeplukać gardło.
Chcę właśnie podziękować, gdy Raimo dodaje kilka kropel koncentratu *salmiakki*. Gdzieś głęboko we mnie łączą się kielbasa, *mdmmi* i lukrecjowa wódka. Pali mnie w środku.
Jakby to była zgaga, tylko że tysiąc razy mocniejsza.

Gdy ponownie otwieram oczy, leży przede mną mapa lasu wokół *mokki*.

- *Sormus* - Mummi wskazuje na zaznaczony czerwonym kolorem krzyż w prawym, górnym rogu.

-Co?

- *Sormus* - powtarza. - *Sormus, ymmdrrdtko*, Rami?

Nie, nie rozumiem. Nic już nie rozumiem.

- *SORMUS, SORMUS, SORMUS!* - krzyczy Mummi i daje mi pstryczka w głowę. To boli.

- *Sormus, the rings* - szepcze mi do ucha Raimo stojący po drugiej stronie. - *Understand, Rami, no rings, no wedding!**

* Rami, zrozumiałeś? Nie ma pierścionka, nie ma ślubu (ang.).

No rings, no wedding. Przytakuję. I już wyciąga mnie na werandę, gdzie mam włożyć kalosze Ukkiego. Dochodzi do mnie podwójny sygnał telefonu komórkowego Nokia. Woda z kielbasy zmaćla mój wzrok. Nic nie widzę.

- *Good luck* - mówi Ukki, odpychając łódkę od skały po drugiej stronie brodu.

Budzi się las, a wraz z nim komary. Drzę na całym ciele, potykam się, idąc przez pola czarnych borówek i paproci. Docieram do pierwszego wzniesienia. Słyszę dźwięk myśliwskiego rogu, potem męskie głosy i szczekanie psów.

- *Snabbt, Joel, dar springer han* - wołają. Oraz: - *Javla sackeman**!

Biegnę tak szybko, jak pozwalają mi na to kalosze, jednak jazgocząca zgraja jest coraz bliżej. Boję się, coraz bardziej się boję. Więcej zwierząt niż ludzi, skaczę przez krzewy jeżyn i spadam kilka metrów w dół. Zatrzymuję się w dziurze zakrytej liśćmi. W połowie jama, w połowie jaskinia. Mam wrażenie, że ta ciemna dziura dosłownie mnie pochłania. Grzęznę coraz bardziej w fińskim bagnie. Wtedy nad jamą pojawia się Ukki, spuszcza wiosło, by mnie uratować. Krzyczę, chwytam, krzyczę... wyczuwam nad sobą drewnianą płytę, czuję się jak w trumnie.

Krople potu na moim czole. Nikt nie puka. Nie ma Ukkiego. Tylko cisza *aitty* i spokojny, regularny oddech Pii. Jej twarz oświetlają niebieskie diody telefonu komórkowego.

* Pospiesz się, Joel, (on) tam biegnie. [...] Pieprzony szkop (szw. i fm.).

Z BOGIEM W SERCU

Jest 4.32. Otrzymałem SMS-a.

Dziwne, o tej godzinie. Mam nadzieję, że moi rodzice nie puścili z dymem sauny.

Czytam: *Wszystkiego dobrego i trzymam kciuki! Miń.*

Właściwie Miriam. Pewnie siedzi naćpana w jakiejś knajpie w berlińskiej dzielnicy Prenzlauer Berg. Omal jej nie poznałem, kiedy spotkaliśmy się przypadkiem kilka tygodni temu w parku miejskim. Smutna i wychudzona, wyglądała wręcz na wycieńczoną, a krótko obcięte włosy w jednym z odcieni henny podkreślały jej zły wygląd. Już od czterech lat jest w mieście, zaczęła rozmowę. Pracuje jako rzeczniczka prasowa w jednej z tutejszych fundacji, przejściowo, podkreśliła i przedstawiła mi swojego niebieskookiego towarzysza, który co rusz podskakiwał w górę, liżąc ją przy tym po twarzy wyraźnie pobudzony - alaskan husky wabiący się Bossę.

Dopiero kiedy opowiedziałem jej krótko o planowanej emigracji i ślubie w Finlandii, jej twarz jakby ożyła, a ona nawet klasnęła radośnie w dłonie.

- Naprawdę? O rany! Finlandia! Super! Wiesz, ja też tam chcę! Muszę wy dostać się z tego gówna tutaj! Żyłabym w jakimś gospodarstwie wiejskim i projektowałabym

strony internetowe, z Bossem oczywiście. To by dopiero było! Zawsze chciałam mieszkać w Skandynawii. Już jako dziecko o tym marzyłam!

Stoję przed nią w milczeniu i wydobywam z siebie jedynie przypominające astmatyczne charczenie:

- *Juuuuu*. - Co innego mogłem powiedzieć? Że nie jestem pewien, czy Finlandia należy do Skandynawii? Że potrzebowałem wielu lat, aby nauczyć się żyć z powściągliwością Finów? Że tuż przy polach uprawnych, gdzie wieje najsilniejszy wiatr, stoją drzewa, które w czasie mroźnych zimowych dni pękają od wewnątrz z głośnym hukiem? Że pierwszą rzeczą, jaką widzę każdego ranka, kiedy budzę się w fińskiej leśnej chacie, są zasuszone wnętrzości owadów, które jak czarno-czerwone punkty ozdabiają starą płytę wiórową stanowiącą górną część piętrowego łóżka?

Miriam, Miriam, gdybyś wiedziała, o czym marzę nocami!

Przypominam sobie Alexeia, niegdyś niemieckiego studenta, który w nagrodę za ukończenie studiów (ekonomia polityczna) postanowił odbyć jesienią tramping przez Finlandię bez szczególnego planu, a ponieważ szukał noclegu, poprosił o łóżko prawosławnych mnichów z monasteru Nowy Walaam w lasach Savonii niedaleko granicy rosyjskiej. Alexei musiał doznać tamtej nocy jakiegoś szczególnego olśnienia, ponieważ zdecydował się pozostać u mnichów. Najpierw przez kilka dni, potem przez kilka tygodni, w końcu przez całą zimę, aż wraz z nadchodzącą wiosną poprosił jako pierwszy Niemiec w prawie tysiącletniej historii klasztoru o przyjęcie do prawosławnej wspólnoty.

Moja żona zawiozła mnie do monasteru podczas naszego pierwszego wspólnego lata. Jest to jedyna atrakcja turystyczna na obszarze kilkuset kilometrów. Od tego czasu odwiedzamy klasztor każdego roku z naszymi niemieckimi przyjaciółmi i gośćmi. I każdego roku spotykaliśmy brata Alexeia z charakterystycznym meszkiem na policzkach przypominającym bokobrody, który siedział w okienku informacyjnym w holu wejściowym i kołysał się pogodnie, jak gdyby przysłuchiwał się swojej własnej melodii szczęścia. Na jego czarnym habicie była przymocowana metalowa tabliczka z informacją, że władza językami niemieckim, angielskim, francuskim i - śledziłem to przez kolejne lata - szwedzkim, rosyjskim i fińskim. Punktualnie o jedenastej, w środę, przyjeżdżaliśmy zawsze w środę, podchodził do stojącej pośrodku kwadratowego dziedzińca fontanny i zapraszał w języku niemieckim do zwiedzania.

Opowiadał o monasterze walaamskim. Po przegranej przez Finlandię wojnie zimowej mnisi, obawiając się prześladowań ze strony komunistów, uciekli do Finlandii i tu założyli klasztor Nowy Walaam. Następnie w kilku zdaniach przedstawiał historię Fińskiego Kościoła Prawosławnego oraz wskazywał na cudowną właściwość ikon. Przedstawiona na nich postać patrzy zawsze prosto w oczy oglądającego, niezależnie od kierunku, z którego się do niej zbliża. Na przyklasztornym cmentarzu opowiadał o Penttim Saarikoskim, wielkim fińskim poecie-buntowniku, który na początku lat osiemdziesiątych minionego wieku, gnany chorobą alkoholową, szukał nieustannie schronienia w klasztorze i którego mnisi tolerowali mimo jego licznych eskapad łamiących wszelkie tabu. Jak świętego błazna pośród siebie.

Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, tylko z uśmiechem kiwaliśmy zawsze do siebie głowami. A jednak z upływem lat Alexei stał się dla mnie zaufaną i - tak! - bliską osobą. Moim oparciem gdzieś tam w oddali. Kiedy w lipcu minionego roku udaliśmy się z Borisem i Anitą ponownie do monasteru, dostrzegliśmy w okienku informacyjnym starszkę w skromnym stroju i chuście na głowie. Uśmiechały się do nas jej złote zęby. Ani śladu po Alexeiu.

Trudno było zdobyć jakiegokolwiek informacji. W damskiej toalecie moja żona spotkała pomoc kuchenną, siostrzenicę swojej dawnej koleżanki z drużyny, i dowiedziała się, że ten *saksalainen munkki* opuścił wiosną zakon i klasztor. Trzynasta fińska zima była więc jego ostatnią zimą.

Właściwie dlaczego chciałem opowiedzieć Miriam o jego losie? Jaki był mój zamiysł? Może taki: jeśli nie jesteś w stanie przetrwać w Finlandii nawet z Bogiem w sercu, to tym bardziej nie powinnaś próbować ze źle wychowanym psem. A jednak milczałem.

Nie wytrzymam. Nie mogę spać, muszę wyjść, wyjść na powietrze, do światła.

MÓJ PIERWSZY PSTRĄG TĘCZOWY

Jeziro o poranku, zagadkowo piękne i niezwykle spokojne, przypomina to z pocztówek, które ciocia Vera przysyłała nam niegdyś z urlopu. Tylko delikatne drżenie przy wietrze w sitowiu po drugiej stronie pozwala przeczuć wydarzenia, które rozgrywają się pod spokojną powierzchnią wody. Teraz. Teraz powinny zacząć brać. Musiałbym tylko złapać wędkę, wsiąść do łódki i zerwać haki linowe, a potem tygodniami mógłbym najspokojniej w świecie płynąć w jednym kierunku, aż do Petersburga lub na południe, w kierunku domu, do Morza Bałtyckiego.

W pierwszych latach nawet nie pomyślałbym o tym. Na początku, zaraz po naszym przybyciu do Finlandii, narzucałem na siebie nieprzemakalną pelerynę, chwytalem za szpadel w celu znalezienia dżdżownic w miękkiej ziemi tuż za latryną, *puusee*, i rzucałem się z wędką, *onki*, w dół, w stronę kładki. Szybko jednak skoncentrowałem się na wprawdzie bardziej wymagającym, ale siłą rzeczy skuteczniejszym sposobie łowienia ryb na przynęty sztuczne - polowaniu na ryby drapieżne, takie jak okoń, *ahven*, szczupak, *hauki*, i pstrąg tęczowy, *kirjolohi*.

Teoretycznie - Mummi przypomina mi o tym każdego lata - aby móc w Finlandii łowić ryby wędką z kolowrotkiem, *virveli*, potrzebne jest odnawiane każdego roku zezwolenie, które można nabyć za 25 euro w urzędzie gminy, *kunnantalo*. W praktyce, aby móc skutecznie kontrolować 190 tysięcy jezior nadających się do wędkowania, potrzebny byłby aparat kontroli o charakterze służb bezpieczeństwa. I jeszcze każda rodzina musiałaby kontrolować i szpiegować inne rodziny.

Kilka słów o moich sukcesach w tym tak szczególnym dla fińskiego mężczyzny obszarze działania. Bardziej jako miłośnik niż znawca należę do tej grupy zapalonych entuzjastów, którzy tracą przynajmniej dwie cenne przynęty, zanim uda im się złowić drapieżnika, a ruch mojej przynęty w wodzie raczej rzadko rokuje nadzieję. Większość czasu przeznaczonego na wędkowanie spędzam na wiązaniu skomplikowanych węzłów, a ponieważ jestem podwójnie leworęczny, powstają najczęściej okrutnie poplątane straszdyła, na tyle niezgrabne, by wzbudzić podejrzenie u ryb nawet w najbardziej mętnej wodzie. Inną, nazbyt często pojawiającą się komplikacją jest plątanina przy szpuli, która po długich zmaganiach z jej rozplataniem wymaga ostatecznie cięcia nożem marki Fiskars, co z kolei oznacza utratę wielu metrów drogocennej żyłki wykonanej z materiału sprawdzonego przez specjalistów z NASA. I tak morderczy proces naciągania zaczyna się od początku.

Przy kolejnym zarzuceniu wędki wszystko ułoży się na pewno inaczej. Jedno jest pewne: kto wędkuje, ten wie, czym jest nadzieja. Ten trzyma się kurczowo myśli, że po

kilku daremnych godzinach poczuje jednak wibrację na koniuszkach zmarzniętych palców i że zobaczy w tych rzadkich chwilach szczęścia, jak napina się żyłka i jak elastycznie wygina się wędzisko, poddając się ruchom zdobyczy. Pozwoli sobie nawet oszacować długość i ciężar ryby, choć wymiary te będą raczej odbiegać zdecydowanie od tych rzeczywistych.

Nie wolno tylko poddać się presji sukcesu, nie wolno też pozwolić, aby drapieжник odplynął w gęstwinę lilii wodnych, należy utrzymać odpowiednie napięcie żyłki i przyjąc pierwszy skok na szeroko rozstawionych nogach, pospieszny ruch czy bojaźliwe zwlekanie są wykluczone. I często już w ostatnim momencie, wijąc się, zdobycz umyka.

Jak bardzo moje nieudolne starania odbiegają od tu-tejszego standardu, pokazali mi Raimo i jego długoletni partner w interesach, Urponen, którzy zaprosili mnie serdecznie na wyprawę wędkarską w czwartym roku mojej fińskiej egzystencji. Z sympatii czy wyrafinowanego sadyzmu - ocenę pozostawiam innym.

Fin łowi ryby, wtedy to zrozumiałem, nie przez kilka godzin, lecz przez kilka dni, i nie w łodzi wiosłowej, lecz na jachcie motorowym oferującym ochronę przed deszczem, jak również wąską koję do spania. Urponen kierował sam swoim klejnotem nazwanym przez niego *Helmi* (Perła) i prowadził go z Lahti przez jeziora aż do kładki przy *mokki*. Chwila, w której jego silnik Kawasaki wypchnął gnijące liście z dna jeziora na powierzchnię wody, pozostanie na zawsze w mej pamięci.

Deszcz w tamtych dniach był na tyle słaby, że spędziliśmy krótkie noce na jeziorze, na wyspach w otwartych drewnianych wiatach, *laavu*. Nasz prowiant składał się z dwóch lodówek wypełnionych puszkami z piwem, wódką, która tu w Finlandii, podobnie jak woda mineralna w Niemczech, sprzedawana jest w skrzynkach na 12 butelek, jak również z kanapek zrobionych z chleba żytniego, *sampylt*, i grubo pokrojonej kielbasy parówkowej. Ponadto obowiązywała złota reguła: *We eat what we kill**.

Do diaska! Czego to oni nie wyciągali! Niewyobrażalnie duże okonie, szczupaki potężne jak krokodyle z Nilu oraz tak zwane *sarkia*, płocie, z tak dużą ilością ości, że chyba dlatego ich egzystencja uszła dotychczas mojej uwagi. Wszystko działo się tak szybko, wędka ledwie zarzucona, a już wyciągnięta, że nie nadązałem z czyszczeniem. Każdy połów kończyliśmy nocą przy ognisku.

Na rozmowy nie było czasu.

Cudowna echosonda Raima pokazywała jak w grze komputerowej dokładne położenie i wielkość drapieżników znajdujących się w zasięgu rzutu. Ale jak każda technika, także i ta płatała figle. W każdym razie nie znam innego tak psychicznie wyniszczającego doświadczenia, jak chwila, w której zarzuca się wędkę z przynętą, wiedząc, że na głębokości czterech metrów, dokładnie w tym miejscu, znajduje się przepiękny, pięciokilowy pstrąg. Ale bestia nie reaguje, nawet się nie rusza, no, nie ociągaj się, słodziutka. Jest, mam ją, widzę to dokładnie,

* Jemy to, co zabijemy (ang.).

przecież wszystko się zgadza, Raimo, Urponen, przecież nie kłamię, powiedzcie coś, porozmawiajcie ze mną, co takiego robię źle?

- *Paska!* Cholera! - wykrzyknąłem wraz z kilkoma innymi przekleństwami, które niesione silnym północnym wiatrem rozbrzmiewały jeszcze długo nad jeziorem na obszarze wielu kilometrów. Wyobrażam sobie, jak fińskie matki stojące na brzegu zatykały uszy swoim przerażonym dzieciom.

Nie bój się, Mały, to tylko ten Niemiec z domku państwa Paivióów, wiesz, ten, który nie ma karty wędkarskiej.

Fin, zagłębiając się w obszar przekleństw, wybiera przestrzeń kulturowego kompromisu, a więc drogę pośrodku. I tak przedstawiciel grupy języków romańskich, gdy chce ubliżyć innym lub sobie samemu, ucieka się do sfery płciowej, natomiast przedstawiciel języków germańskich jest zafiksowany na wskroś analnie. Fin zaś, pomstując, sięga po słownictwo ze sfery demonów, a więc przywołuje belzebuba, *perkele*, lub tego samego w postaci szatana, *saatana*, i miesza je na zasadzie subtelного balansu z różnego rodzaju ekskrementami i określeniami genitaliów. Najbardziej nieprzyzwoite słowo, które można usłyszeć w tym delikatnym języku, to diaboliczne przekleństwo kobiecego narządu płciowego.

A jednak zlapała przynętę, później i nieoczekiwanie.

- *Kiinni* - mój głos jakby wyrwany z klatki piersiowej, bo właśnie rozgorzał pojedynek pomiędzy nią a mną. W tej kilkuminutowej walce zaklinałem ją wielokrotnie.

- Rybo! - mówilem. - Chodź, rybo, chodź - przed oczami Hemingway, podczas gdy Raimo jak kapitan Ahab z *Moby Dicka* Melville'a patrzył spokojnie w dal z cygaretką o smaku koniakowym w ustach, a Urponen, znajdujący się również przy relingu, wodził nerwowo ręką po czapce na głowie.

- Rami dał plamę - obwieścił kilka godzin później Raimo w *mokki*.

Rami, czyli ja. Zmarnowałem sytuację, która w punkcie wyjścia była doskonała, w partacki sposób wypuściłem z ręki zdobycz, popisywałem się swoim brakiem umiejętności, co graniczyło wręcz z groteską, odniosłem porażkę wobec wyzwania, z którym można było się uporać, poniosłem klęskę, której można było uniknąć.

- *Juu* - zaciągnął się Ukki, nie pytając o szczegóły.

- *No jo* - jęknęła Mummi, która przy zlewozmywaku marynowała w soli dobry tuzin okoni.

Moja Finka wycofała się tego wieczoru, trochę wcześniej niż zazwyczaj, do *aitty*, by oddać się tam lekturze cza-sopism.

Moje sukcesy są tak rzadkie, że nie mogę sobie pozwolić na wrzucenie z powrotem do jeziora nawet tych małych, młodych i praktycznie niemożliwych do wykorzystania egzemplarzy. Unicestwiam każdą zdobycz, także dlatego że musiałbym wyciągnąć ostry potrójny hak z pyska szamoczącej się kreatury tak, aby nie rozerwać na strzępy całego aparatu gryzącego. Sięgam więc kierowany wyłącznie współczuciem, jak sam sobie wmawiam, po moją drewnianą palkę i kończę życie ryby, wykonując trzy lub cztery uderzenia.

Zabijanie to smutna i trudna dziedzina, gdyż trochę może potrwać, zanim fińska ryba przestanie się szamotać. Dość często zdarza się, że po kilku godzinach w brudnym wiadrze nieruchomą rybę przeszywa nagle jakiś dreszcz, wręcz imponujący w swej sile. Elektryczne impulsy przechodzą czasami przez ciało zdobyczy nawet wtedy, gdy pozbawiona wszystkich organów leży na ławie gdzieś daleko w lesie. Coraz bardziej nie mogę znieść tego widoku śluzu i krwi. I coraz częściej, siedząc w łódce, marzę, aby żadna ryba nie brała, choć z drugiej strony czekam jednak pełen nadziei - to uzależnia - na pierwszy sygnał, że jednak jakaś polknęła haczyk - niejasny, wręcz sprzeczny stan oczekiwania.

PRZYNETY

Gra wstępna stała się więc dla mnie z czasem właściwym wyzwaniem. Mam na myśli przede wszystkim wybór przynęty, od którego ostatecznie wszystko zależy i której to czynności poświęcam długie godziny.

Jeśli pominiemy wędkarstwo muchowe, to fiński wędkarz łowiący na jeziorach ma do wyboru, zaglądając do swojej skrzynki na przynęty, trzy możliwości: błystki obrotowe, woblerki lub wahadłówki.

Każda z nich ma swoje zalety i słabości, swój urok. Z reguły kolorowe, zaopatrzone w dwa małe metalowe skrzydelka, błystki obrotowe wzorowane są na skrzydlatych owadach. Błystka kręci się, lekko przy tym szumiąc, wokół własnej osi i wywołuje w ten sposób falę akustyczną, która silnie prowokuje drapieżniki. Nawiasem mówiąc, haczyk błystki obrotowej wykazuje skłonność do „zakleszczania się” w kępach przybrzeżnego sitowia, gdzie szczupak stoi, a mały okoń merda ogonem. I gdy już ugrzęźnie w łodygach i liściach lili wodnych lub paprotników, co zdarza się niezmiernie często, Fin wykrzykuje głośno i chętnie *Vittu, gronsaker!* Druga część jest po szwedzku i oznacza „warzywa”.

Może właśnie z tego powodu Fin traktuje błyskę raczej podejrzliwie, a biorąc pod uwagę opinie na jej temat oraz częstość jej stosowania, stoi daleko z tyłu za woblerem. Ponieważ wobler - niewiele osób o tym wie - należy bez wątpienia obok penicyliny, bomby atomowej i mikrochipu do spektakularnych osiągnięć XX wieku. Owa niezwykłość polega na tym, że jego sposób poruszania się w wodzie imituje ruch, który oko drapieźnika odbiera jako ruch chorej, przygasłej, a więc bezbronnej ryby. Krok milowy w historii wędkarstwa.

A uczyniono go, nie mogłoby być inaczej, w Finlandii, w jednej z *pómpeli*. Pewnego leniwego jesiennego popołudnia roku 1936 Lauri Rapala, leśny robotnik i poławiacz, postrzegany przez swoich przyjaciół jako osoba dokładna, drobiazgowa, a przy tym zuchwała, wziął do ręki zwykły korek do butelek, owinął go pozłotką z opakowania po żółtym serze i batoniku czekoladowym, a następnie, aby zabezpieczyć wierzchnią warstwę, roztopił na niej stary negatyw fotograficzny. I tak powstał pierwszy na tym świecie wobler Rapala.

Imperium Rapala przoduje na światowym rynku przynęt, sprzedając każdego roku przeszło dwadzieścia milionów egzemplarzy. A dzięki kreatywnej cierpliwości fińskich inżynierów możemy wybierać dziś między woblerami pływającymi, unoszącymi się i tonącymi, z których każdy z kolei może być jedno- lub wieloczonowy i znów do wyboru z jednym, dwoma lub trzema potrójnymi hakami. A jakby tego było mało, to różnią się one kształtem, przeznaczeniem i kolorem - od woblerów stonowanych w kolorystyce po asortyment w jaskrawych, wręcz agresywnych kolorach. Woblery wy-

dają dźwięki, drżą, migoczą bokami, zamiatają ogonkiem, wiją się jak wąż, a wszystko po to, by doprowadzić ryby do żerowego szalu.

Fin, podobnie jak wobler, chętnie markuje w swoim życiu. Udawanie słabości, niemocy lub braku umiejętności w połączeniu z nieśmiałym i pozornie pozbawionym ambicji merdaniem ogonkiem pod powierzchnią wody można określić wprost jako główną społeczną kompetencję tego niewielkiego narodu. Do dzisiaj na całym świecie myli się tę cechę ze skromnością.

Vain vahan, just a little bit, tylko trochę, ma w zwyczaju, bezwiednie, odpowiadać Fin. Kiedy nieznaną osobą, może zbyt ciekawą, zapyta o uzdolnienia, mocne strony lub dziedzinę specjalizacji, on lub ona mruży lekko oczy i nieśmiało spogląda w dół. Ale uwaga!

General Mannerheim*, stosując pasywno-agresywną technikę woblera, prosił o tym poczytać, odnosił zwycięstwa nad zdecydowanie silniejszą Armią Czerwoną. A ilu to czołowych niemieckich menedżerów z firm Siemens, Porsche lub Lidl śmiało się szyderczo podczas powrotnego lotu z groteskowej niezdarności swych fińskich partnerów mówiących łamanym niemieckim, by zaledwie trzy dni później dowiedzieć się - drogą e-mailową - że zostali wrogo przejęci lub pozbawieni wszystkich bonusów. Nie wspomnę już o podstępnych fortelach fińskich

* Carl Gustaf Emil Mannerheim - fiński dowódca wojskowy, marszałek Finlandii, polityk, pierwsza głowa państwa jako regent po uzyskaniu niepodległości, prezydent Finlandii (1944-1946). W grudniu 2004 został wybrany w fińskim programie telewizyjnym „Suuret suomalaiset” (Wielcy Finowie) na największego Fina w dotychczasowej historii kraju.

kobiet w walce płci. Potrzeba wielu lat uodporniania się na ból, aby przejrzeć w końcu Finkę i dostrzec woblera w tej ubranej w pastelowe kolory i uśmiechającej się dyskretnie dziewczynie, która wraca właśnie na chwiejnych nogach do domu z imprezy. Potrzeba wielu lat, aby umieć pozostawić ją gdzieś tam na jej przystanku życia mimo stosowanych przez nią intensywnie technik kusząco-wabiących. Proszę zaufać mi lub przynajmniej pocziwemu Gabriele.

Nadal z szacunkiem i podziwem przyglądam się moim tak różnorodnym woblerom firmy Rapala, biorę do ręki każdy egzemplarz, patrzę na niego przez długie minuty i oglądam pod światło jak drogocenny klejnot. A mimo to wybieram najczęściej skromną, wręcz niepozorną błyskę. Metalowa przynęta, przypominająca kształtem lekko wygiętą łyżkę i imitująca ryby roślinożerne, porusza się w wodzie bez zbędnych zawijasów i lekko szumi, by zwabić jednego z wielu krążących wokół niej drapieżników - godna przynęta na godny połów.

Jednak, jak już wspomniałem, wędkuję rzadko, co najwyżej idę z innymi, instruuję przyjaciół, dzielę się moją skromną wiedzą z niemieckimi gośćmi, najczęściej początkującymi wędkarzami, których wędką nazbyt często splata się z długimi gałęziami brzoź nadbrzeżnych. Moja znajomość tematu wydaje im się niezwykła i nieoceniona, zwłaszcza że od czasu do czasu sięgam po fińskie fachowe terminy, a podczas dłuższych wypraw łodzią wiosłową nawiązuję do etymologii słów i przyczyn kulturowych. Wskazuję, że „przynęta” określana jest w języku fińskim także jako *kuva*, a *kuva* to pierwotnie „obraz”. Więc ujmując rzecz metaforycznie, moglibyśmy dostrzec w wędkują-

cym Finie pewnego rodzaju życiowe przesłanie. Bo czyż w kulturze Zachodu, do której, jak wnioskuję, nie wolno nam zaliczyć kultury fińskiej, nie zatracamy prawdziwego obrazu świata i obrazu siebie samego, kiedy to uganiamy się przez całe życie za złudzeniami? Ta nieudolna imitacja świata doskonałego kusi i wabi nas każdego dnia, podobnie jak kolorowe przynęty mają przyciągać mieszkańców świata podwodnego.

Co mam odpowiedzieć?

Droga Miri, Tobie również Życzę wszystkiego dobrego! W.

KOSZYKÓWKA

- Rami? Ra-ami?
- Tutaj, przy kładce, Piękna!
- Już myślałam, że uciekłeś.
- Ale dlaczego?
- No tak, w każdym razie nie byłbyś pierwszym mężczyzną.
- Chciałem tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.
- Znowu zły sen?
- Chyba tak.
- Ale nie musisz się bać.
- Bać się?
- No wiesz. To wszystko tutaj i... -
- Hm.
- Chodź, coś ci pokażę.
- Co takiego?
- To niespodzianka.
- *W aitciel*
- Tak, szybko, bo inaczej wszystkie komary zlecą się do środka.

A więc idę. Moja Finka nie lubi czekać. Kiedy jestem już wewnątrz, widzę, jak na czworakach zbliża się do piętrowego łóżka i wyciąga spod niego jasnoniebieskie pudełko na buty. Papier szeleści obiecująco.

- Jeszcze nie patrz!

- Teraz już możesz. - Pia trzyma przede mną otwarte pudełko.

- O rety! Bardzo sportowe. Firma Adidas?

- Tak, kupiłam specjalnie do kościoła w tamtym sklepie, wiesz.

- Nie wiedziałem, że mają też szpilki.

- To model japoński. Podobają ci się kolory?

- Niebieskie z białymi pasami. Piękne. Będą pasować idealnie do mojej koszuli.

- Tak też pomyślałam. Taki mały żart też jest potrzebny.

- Ale w tych butach będziesz wyższa o kolejnych dziesięć centymetrów!

- Przecież zawsze powtarzasz, że ci to nie przeszkadza.

- Bo mi nie przeszkadza.

- Chcesz też pojechać do sklepu?

- Po buty?

- No tak, poszukasz jakichś.

-Ależ my pobieramy się za pięć godzin.

- No i? Przecież nikt nie zauważy.

Jej twarz nade mną, okrągła i duża jak księżyc. Jak dawniej. Jak zawsze. Jak wtedy, kiedy uczyliśmy się razem grać na boisku do koszykówki w naszej andaluzyjskiej wiosce. Pia pozwalała mi raz za razem wyprzedzić ją, wabiła mnie w ten sposób do strefy, by potem niespodziewa-

nie, właśnie w tym momencie, gdy chciałem wrzucić piłkę do kosza, pojawić się, wykonawszy jeden lub dwa zwinne ruchy, bezpośrednio nade mną. Nie miałem żadnych szans.

To było zupełnie nowe doświadczenie. Nie tylko dla mnie. Także dla chłopaków z *cancha**, dla Santiago, Pepe, El Schustera i oczywiście dla Rubia - kolor jego włosów, naturalny blond, był nadal nieodgadniona zagadką dla wiośki. Przez pierwsze dni stali na obrzeżach boiska i śmiali się szyderczo, przeżuwali orzeszki pistacjowe i drapali się demonstracyjnie, powszechny nawyk w każdym zakątku kuli ziemskiej, w przyrodzenie. Grać przeciwko kobiecie. I do tego przegrać. Rzecz nie do pomyślenia. Wręcz haniebna. Po prostu *locol*

A jednak pewnego dnia, gdy gwiazda drużyny, solidnie zbudowany podoficer Guardia Ci vii, którego wszyscy nazywali Bombero i który mógł się pochwalić 43 meczami w hiszpańskiej lidze A, został oddelegowany do swojej prowincjonalnej drużyny, zagraliśmy w jednym zespole. Tak, my! Mnie również dopuszczono do gry, choć już podczas turnieju rejonowych kas oszczędnościowych musiałem grać ławę. A mimo to jestem dumny, że wygraliśmy w finale, pierwszy raz od siedmiu lat, ze znieawidzonymi *gilipollas***z Barbate.

Moja Finka została wybrana na najlepszego zawodnika turnieju, *mejor jugador*. Socjalistyczny burmistrz Vejer, wręczając trofeum, podkreślił w krótkim przemówieniu, że Hiszpania może się jeszcze wiele nauczyć od swoich skandynawskich braci i siostr - rzeczywiście ładnie powie-

* Boisko (hiszp.). **

Kutasami (hiszp.).

dziane. Niebiesko-biały emaliowany talerz jest do dzisiaj dla nas świętością.

Obawiam się, że zafalszowuję rzeczywistość. Ponieważ pierwsze wrażenie było przecież zupełnie inne.

Delikatne. Miękkie. Kruche.

Wydarzyło się to w poniedziałek, pod koniec maja, właśnie skończyły się przedpołudniowe zajęcia, kiedy Francisco poprosił mnie do swojego niedużego, raptem 3 m², gabinetu dyrektora, który znajdował się na końcu korytarza wyłożonego kafelkami. Chodzi o, powiedział cicho i zamknął za sobą drzwi, tę Finkę, na pewno już o niej słyszałem, jest *muy aha* i *muy simpatica**. Właściwie to nie powinien mi o tym mówić, ale dostała dzisiaj ze swojej ojczyzny list i siedzi teraz tam na dole, przy szkolnym patio i gorzko płacze. Jej hiszpański jest jeszcze nadal bardzo słaby, a jego angielski, hm. Może mógłbym zapytać, martwi się o nią, przede wszystkim z uwagi na wydarzenia, które miały miejsce w minioną sobotę, byłem przecież przy tym. Nigdy nie wiadomo, jak postępować z tymi Skandynawkami.

W minioną sobotę, w czasie wycieczki, powinienem to wyjaśnić, szaleńczo zakochana maturzystka z Danii próbowała odebrać sobie życie. Chciała skoczyć w przepaść dokładnie w tym samym miejscu, w którym „cudowna przejrzystość i świeżość” powietrza zainspirowały niemieckiego poetę Rainera Marię Rilkego do napisania kilku udanych wersów i w którym 30 lat później faszystujący mieszkańcy

* Bardzo wysoka i bardzo sympatyczna (hiszp.).

miasteczka zepchnęli w dół swoich sąsiadów komunistów. Pionowa skała, wysoka na kilkaset metrów i gdzieś tam w dole bezdenna otchłań. Straszny widok.

Zupełnie inny niż ten, który roztaczał się za oknem gabinetu dyrektora. Rudawe włosy lśniły w słońcu południa, a odkryte ramiona prezentowały kolejne piegi. Dzieliło mnie zaledwie kilka stopni.

- *Hola. Everything okay?*

- *Yes, o yes. Very much so, thank you. It's just that, you know, we won. We won! For the first time ever!* - uśmiechnęła się, nadal szlochając, i podała mi wycinek z gazety, na którym starszy pan w okularach i z przedziałkiem z boku, obejmował serdecznie dwóch zdecydowanie młodszych od niego mężczyzn, zupełnie przepoconych.

- *Looks like a lot offun.*

- *Ooohhh, I just wish I had be en there.*

- *Weil, congratulations then! Hope we see each other again*.*

- *Thank you.*

Kiedy wróciłem do biura, wyjaśniłem *jefe de estudios*, że Finlandia wygrała przed dwoma tygodniami mistrzostwa świata w hokeju na lodzie.

- I dlatego płacze?

* - Wszystko w porządku? Tak, o tak. Nawet bardzo, dziękuję. Chodzi o to, no wiesz, że wygraliśmy. Wygraliśmy. Po raz pierwszy! [...] - Widać, że to duża frajda. - Och, tak bardzo chciałabym tam wtedy być. - No cóż, moje gratulacje! Mam nadzieje, że się znów spotkamy (ang.).

- Dopiero teraz dowiedziała się o tym, z listu. Nie rozumiesz tego, ale dla nich jest to coś bardzo ważnego, tak jak piłka nożna tutaj. A może jest to jeszcze ważniejsze.

- Nasza drużyna narodowa jeszcze nigdy niczego nie wygrała*.

- Wiem. Podobnie było z Finami. Do teraz. Uspokoileś się?

- Chyba tak - Francisco wziął głęboki oddech, otworzył okno i jeszcze raz spojrzął przez swoje szkła w niklowych oprawkach na Finkę szlochającą na schodach. - Wolfi, tylko nie zrób jakiegoś głupstwa.

- Co masz na myśli?

- Dobrze wiesz, o czym myślę. Tam jest bardzo zimno, szczególnie w zimie.

- Niepotrzebnie się martwisz.

- Tak, tak, tak. Zobaczymy się więc jeszcze dzisiaj podczas wieczoru flamenco.

- Jasne.

Dziś jest mi trudno samemu w to uwierzyć, ale wtedy, wiosną 1995 roku żyli w cywilizowanym świecie ludzie - choćby my dwoje - którzy przez długie dwa tygodnie czekali z utęsknieniem na wiadomość. To był świat bez łączy bezprzewodowych, bez kawiarenek internetowych, bez Google czy bez dziś powszechnie dostępnej telefonii komórkowej. Przynajmniej tak było w tej naszej andaluzyjskiej wiosce na końcu Europy z trzema publicznymi budkami telefonicznymi, przed którymi co wieczór ustawiały

* Dopiero w roku 2010 Hiszpania wygrała Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej rozgrywane w RPA.

się długie kolejki młodych ludzi. Świat, w który mogłeś wyruszyć, nie wiedząc, co cię tam spotka.

Wtedy nie posiadałem nawet adresu e-mailowego. Otrzymałem go siedem miesięcy później; fiński uniwersytet, na którym studiowałem, przyznał mi go automatycznie wraz z kontem użytkownika, hasłem i elektroniczną legitymacją studencką, po której okazaniu mogłem jeść w stołówce, drukować bez ograniczeń w sali komputerowej, ćwiczyć w siłowni nawet nocą i zamawiać bezpłatnie w bibliotece książki z całej Skandynawii.

Podczas gdy w Heidelbergu moi koledzy w obawie przed naruszeniem ustawy o ochronie danych osobowych okupowali przez kilka dni powstające właśnie w piwnicznych pomieszczeniach starej biblioteki miejskiej centrum komputerowe, ja siedziałem w Turku obok studentów w moim wieku, którzy dziesięcioma palcami pisali SMS-y na wykładach, w przerwie zaś czatowali z przyjaciółmi w Stanach Zjednoczonych lub przedłużali w parkometrze czas parkowania, dokonując opłaty na swoich elegancko szumiących, cudownych maszynach. Z telefonem komórkowym w ręce można było nawet kupić orzeszki ziemne w automacie.

Zimą, na przełomie lat 1995/1996 kurs akcji firmy Nokia wystrzelił w górę jak rakieta w niebo, a pewien Fin, Linus Torvalds, zaczął spokojnie pisać - po szesnastu semestrach studiów finansowanych przez państwo - swoją pracę dyplomową („Linux as a portable operating system”).

Zimą, na przełomie lat 1995/1996 Finlandia była laboratorium badawczym, tu rozpoczęła się rewolucja cyfrowa, tu rozpoczęła się nowa era w dziejach ludzkości.

Jeśli w ogóle istnieje data, którą moglibyśmy uznać za początek nowej ery, to byłby to z fińskiej perspektywy 7 maja 1995 - dzień, który nawet najbardziej powściągliwi i ostrożni zapamiętali jako największe wydarzenie w historii świata.

BOHATEROWIE

- Wiercie w siebie! Jesteście dobrzy! - Tak prosto brzmiało przesłanie nowego proroka.

Sto czterdzieści tysięcy Finów jakby oszalało na placu Senackim w Helsinkach. Nikt nie mógł nawet przypuszczać, że taki szal radości ogarnie ten kraj. Curre! Curre! To on, Curt „Curre” Lindstrom, szwedzki trener hokeja na lodzie, nazywany w swojej ojczyźnie „prowizorką”, poprowadził fińską drużynę do zwycięstwa. Tlum nieustannie wzywał swoich bohaterów. Młoda fińska drużyna pokonała 4:1 szwedzkich sąsiadów, silnych i dotąd niezwycięzonych. I to w Sztokholmie, w mieście, z którego rządono fińską prowincją przez przeszło sześć wieków.

Mistrzowie świata w hokeju na lodzie! Po raz pierwszy w historii. 4:1 przeciwko Szwecji - w Szwecji! Nawet słońce świeciło tego dnia.

Jeśli wierzyć czołowym fińskim kulturoznawcom, to właściwego znaczenia zwycięstwa w mistrzostwach świata należy szukać w wyzwoleniu emocjonalnym. Sukces drużyny hokeja na lodzie zadziałał jak wentyl. Pomógł Finom uwolnić długie tłumione uczucia i zademonstrować je publicznie.

Ale przede wszystkim było to pierwsze fińskie zwycięstwo w sportach drużynowych. Do tej poru sukcesy na światowych arenach sportowych odnosili dziwni samotnicy. Gracze Currego zwyciężyli jako drużyna i zachowali przy tym fiński styl: silną więź i powściągliwą pewność siebie.

Trener Lindström poprowadził swój młody zespół po jego pierwsze zwycięstwo, ale to nie charyzmatyczne przywództwo czy genialna, nowatorska taktyka przesądziły o wygranej. Curre skoncentrował się raczej na kompetencjach społecznych swoich protegowanych. W nocy przed finałem uczynił coś, co w Finlandii uważa się za najtrudniejszy egzamin w życiu mężczyzny. Napisał list miłosny. Ponieważ nie mówił ani słowa po fińsku, przetłumaczył go pospiesznie jego asystent, a sam Lindström wręczył go rano każdemu ze swoich zawodników. W liście zawarł rewolucyjne, jak na fińskie stosunki, przesłanie: Wygrana nie jest niczym złym, zasłużyliście na nią, zrelaksujcie się.

Postępując tak niekonwencjonalnie, Lindström pozbył się z psychiki Fina, znajdującego się pod presją homogeniczności narodowej, czynników hamujących sukces i uwolnił potencjał, który doprowadził w końcu do tak dużego przełomu. I 2,3 miliona Finów oglądających finał (więc 93% włączyło telewizor) dostrzegło siebie w tym zespole. Szczególnie trójka zawodników, Koivu/Lehtinen/Peltonen*, była tego dnia nie do pokonania, choć poza lodowiskiem umiała przyjąć rolę szarmanckich bohaterów.

Stał tam na placu otoczony przez swoich zwycięzców. Uzdrowiciel, *poppamies*, Curt Lindström, Szwed, jedyny

* Finowie nazwali ich imionami trzech siostrzeńców Kaczora Donalda: Tupu (Hyzio), Hupu (Dyzio) i Łupu (Zyzio) (przyp. autora).

w fińskiej pamięci, którego tak bardzo polubili. A wszyscy, dosłownie wszyscy śpiewali tę samą piosenkę. Pewni zwycięstwa Szwedzi nagrali bowiem, tuż przed finałem, swój własny song czempionów, *Den glider in*. Utwór ten opiewał wielkie czyny szwedzkiej drużyny, która ponownie „zakończy finał zwycięstwem”.

Przez wiele miesięcy zajmował on pierwsze miejsce na fińskiej liście przebojów i jest do dnia dzisiejszego jedną z najbardziej ulubionych piosenek granych na imprezach. Z biegiem lat nucenie chwytliwego refrenu przybrało w fińskiej alkowie charakter ostatecznego sygnału. Pewien rodzaj kulturowego impulsu, jeśli mnie Państwo dobrze rozumieją.

PANOWIE OD PIŁKI

- Tak, Jurgen, taaak Jurgen, taktaktaaaaaaak...

- *Mina olen* Rami - powtarzam. Ale Joni nie słucha.

- Oczywiście, Jurgen, oczywiście! - sapie. - O, tak! O, tak! Jurgen! Tak jest dobrze, tak właśnie!

Zachowuję się tak, jakbym go nie zauważał i wypakowuję z torby drugą parę moich kalesonów. Teraz Joni wspina się na ławkę do masażu, ściąga koszulę i szczypie swoje brodawki piersiowe. Kilku z graczy zaczyna klaskać rytmicznie w dłonie.

- Ooooo, Jurgen, ooooooo, Jurgen, mocniej, moooocniej! Właśnie tak! Jurgen, Jurgen, Juuuuuurrrrrgeeeeen!!!

Wszyscy wrzeszczą, tupią i przybijają sobie nawzajem piątkę. Kiedy Joni wraca wreszcie na swoje miejsce, klepie mnie po ramionach.

- Jurgen, odrobina zabawy też jest potrzebna - mówi po niemiecku.

Totalny idiota. Przecież ja mu nie dokuczam z powodu jego imienia, które w sanskrycie oznacza „cipa”. Jednak nie mówię tego głośno, tylko szczerzę zęby w pojednawczym uśmiechu. W końcu nie chcę zostać uznany już w pierwszym tygodniu za pozbawionego humoru *saksalainena*.

Niemcowi nigdy nie jest łatwo za granicą. Nieustannie musi zajmować stanowisko, wobec siebie samego, wobec swojej ojczyzny i wobec tego tak sprzecznego postrzegania jego narodu. Decydujący wpływ na wizerunek Niemiec i Niemców wśród Finów mają takie postaci, jak Luter, Kant, Hitler, Derrick, Jens Weibflog i Michael Schumacher. Niemiec odwiedzający Finlandię powinien być przygotowany na zarzut „*You burned Lapland*”, jak również na pytania o imperatyw kategoriyczny. Ale młodsza generacja zdecydowanie obniża poziom.

W knajpach w Turku, kiedy na jaw wyjdzie moja narodowość, rozpoczyna się spontaniczne śpiewanie piosenki *Balls to the Wall* niemieckiej grupy hardrockowej Accept wraz z pokazem gry na gitarze powietrznej. I jeszcze istnieją takie typy jak Joni, który kojarzy Niemcy automatycznie z niemieckim producentem filmów erotycznych, Dolly Busterem. W końcu nie można samemu wybrać kraju, w którym przyjdziemy na świat. Podobnie jak imienia.

- Potraktuj to z przymrużeniem oka. W Brunszwiku też drwili ze mnie - mówi Timo, kiedy idziemy na boisko treningowe.

Timo mówi „trochę po niemiecku”. Jako młody gracz miał podpisaną na dwa lata umowę z Eintrachtem Brunsz-

* Spaliłeś Laponię (ang.).

wik. Nigdy jednak nie zagrał. Mówi, że trener go nie lubił. Na początku drugiego sezonu złamał sobie nogę, został podcięty od tyłu. Sprawa honoru. Odlamy połączone wprawdzie za pomocą gwoździ, ale kość nie zrosła się dobrze. Teraz jest trenerem Kupittaaan Allianssi, drużyny z przedmieść Turku.

Gramy w Drugiej Dywizji, Zachód, Lansu. Druga Dywizja oznacza w Finlandii III ligę. Mój ojciec nie chce przyjąć tego do wiadomości. W Niemczech opowiada każdemu, że jego syn jest teraz zawodowcem i gra w II lidze w Finlandii. Nikt mu jednak nie wierzy, skarży się przez telefon. Może mógłbym mu wysłać nagranie z telewizji lub artykuły prasowe.

To nie takie proste, odpowiadam.

Zaczynamy. Biegamy w dwóch dziesięcioosobowych grupach. W temperaturze -17 °C słowo „rozgrzewka” nabiera nowego znaczenia, podobnie jak „twarda murawa” lub „nieczuły”.

- *Nyt!** - Timo woła w ciemność przez rękawice.

Dziesięć głębokich pompek w śniegu, potem szybki bieg w kierunku wyimaginowanej linii bocznej zaraz przy torach. Każdy oddech to przeszywający ból. W oddali słychać loskot pociągu towarowego.

Timo zwaluje nas wszystkich po czwartym okrążeniu boiska. Drodzy przyjaciele, jeśli się nie mylę, to znowu przynajmniej jedna trzecia z was śmierdzi na pięćdziesiąt metrów, i to pod wiatr, fernet brancą, ale zostawmy to.

* Teraz (fiń.).

Z pewnością zauważyliście, że konserwator terenów sportowych jest chory, nie dostaniemy się więc do szafy z piłkami, a za godzinę zgasną reflektory. Nie mamy więc co myśleć o porządnym treningu, dlatego proponuję, abyśmy rozegrali mały mecz. Więc, naprzód.

A może Timo powiedział coś innego, nie mam pojęcia. W każdym razie rozdziela teraz koszulki w odblaskowym kolorze, ustala skład drużyn i kopie wysoko w ciemne niebo nocy wytartą pomarańczową skórzaną piłkę.

W zasadzie gram w środku pola po lewej stronie, *va-sen keskikenttd*. Ale w Finlandii nie ma pola środkowego. Przynajmniej w Drugiej Dywizji. Mecz przebiega zawsze według tego samego schematu. Piłka jest wybijana z własnego pola karnego daleko na drugą połowę, tu dochodzi do pojedynku na główki, piłka ląduje po pokonaniu wręcz groteskowo okrężnej drogi u stóp obrony przeciwnika i wtedy przychodzi moment, gdy wszyscy zawodnicy wrzeszczą „*Rauha!*”.

Rauha oznacza w języku fińskim wprawdzie spokój, ale reakcja obrony przeciwnika jest zgoła odmienna. Piłka zostaje natychmiast, bez żadnego planu i celu, wybita z powrotem na drugą połowę, gdzie znów dochodzi do pojedynku na główki.

Wspólnie z innymi pięcioma zawodnikami grającymi w ofensywie czają się więc na granicy pola karnego i czekam na kolejną piłkę z naszej połowy. Janne stoi tuż za mną, czuję jego oddech i łokieć. Janne jest naszym kapitanem, duszą drużyny i legendą fińskiej piłki nożnej. Ponieważ Janne był tam wtedy, na San Siro w roku 1987,

gdy TPS, Turun Palloseura , w pucharze UEFA wygrał na wyjeździe 0:1 z Interem Mediolan. Janne grał jako obrońca 90 minut przeciwko Alessandrowi Altobellemu, mistrzowi świata.

Janne blokował skutecznie strzały Altobellego. Unieszkodliwił Alessandra, całkowicie. Zaraz po pierwszym treningu, w siedzibie klubu Hirvi (Pod Łosiem) zaprezentowali mi za pomocą solniczek i pojemników z keczupem każdą minutę tamtego meczu na San Siro. Zrobili to inni, nie Janne. On siedział przez cały wieczór milczący po drugiej stronie stołu i wpatrywał się w swoje lekkie piwo.

Nie mam szans. Po każdym dośrodkowaniu ląduję twarzą w śniegu, nie czuję stóp. Chcę do domu. Do wanny. Do Niemiec.

- *Jump earlier* - od tyłu dochodzi do mnie szept Janne. Po raz pierwszy usłyszałem barwę jego głosu. Odwracam się. - *Jump a bit earlier, then I must carry you up*** - mówi i pokazuje na swoją pierś.

Jeszcze raz kiwa poważnie głową i wtedy leci na nas, wystrzelona mocno gdzieś tam daleko, piłka. Skaczę i jakby podmuch silnego wiatru porwał nas w górę, wysoko, coraz wyżej, moje plecy niemal przytulone do piersi Jannego, jakbyśmy byli jednym ciałem. Jest piłka, w najwyższym punkcie, lekki ucisk na czoło, przez chwilę, tylko przez krótką chwilę, a potem ciepły dreszcz, głęboko ze środka,

* Turun Palloseura - fiński klub piłkarski z siedzibą w mieście Turku.

** Wyskocz wcześniej, uniosę cię (ang.).

tam, gdzie mieszka szczęście. Ogarnia nas *rauha*. Każdego z nas. Niezależnie od tego, gdzie przebywamy.

- Teraz lepiej? - pyta moja Finka, a jej słowa zatrzymują się na drewnianym niebie *aitty*.

- O wiele lepiej, moja Piękna.

SPOKÓJ, NA MNIE

- Jestem bardzo gorąca.
- To prawda, Piękna, choć właściwie powinnaś powiedzieć: *Jest mi gorąco*.
- Jest *mi* gorąco.
- Mnie również.
- Idziesz więc w jezioro? - pyta moja żona.
- Masz na myśli popływać?
- O co chodzi?
- Wiesz, „iść w jezioro” może oznaczać coś zupełnie innego.
- Co takiego?
- No właśnie, iść *w* jezioro - mówię i dwoma palcami, środkowym i wskazującym, wykonuję ruch poruszania się - oznacza iść bez zamiaru pływania. Najczęściej kończy się to śmiertelnie.
- Znów te twoje bzdury! Przecież dobrze wiesz, co mam na myśli.
- Nie zawsze.
- Możesz się nauczyć fińskiego, jeśli nie odpowiada ci mój niemiecki!
- Nie musisz tak głośno krzyczeć, Piękna.

SPOKÓJ, NA MNIE

- Jestem bardzo gorąca.
- To prawda, Piękna, choć właściwie powinnaś powiedzieć: *Jest mi gorąco*.
- Jest *mi* gorąco.
- Mnie również.
- Idziesz więc w jezioro? - pyta moja żona.
- Masz na myśli popływać?
- O co chodzi?
- Wiesz, „iść w jezioro” może oznaczać coś zupełnie innego.
- Co takiego?
- No właśnie, iść *w* jezioro - mówię i dwoma palcami, środkowym i wskazującym, wykonuję ruch poruszania się - oznacza iść bez zamiaru pływania. Najczęściej kończy się to śmiertelnie.
- Znów te twoje bzdury! Przecież dobrze wiesz, co mam na myśli.
- Nie zawsze.
- Możesz się nauczyć fińskiego, jeśli nie odpowiada ci mój niemiecki!
- Nie musisz tak głośno krzyczeć, Piękna.

Poza tym wyrażenie *iść w jezioro* brzmi zdecydowanie lepiej niż *iść w ubikację*. Moja żona robi to zawsze. W każdym razie tak zawsze mówi. A kiedy wyjaśniam, że idzie się *do* ubikacji, aby usiąść *na* muszli, to patrzy na mnie za każdym razem wyraźnie zdziwiona, jakby miała przed oczami kogoś, kto siedzi na zamkniętej klapie muszli sedesowej.

Zresztą w Finlandii latem nie idzie się ani *w* ubikację, ani *do* ubikacji, tylko po prostu do lasu, *metsaan*, w każdym razie za małą potrzebą. W ten sposób chroni się skutecznie zbiornik w latrynie przed przelaniem. Zarośnięte gęsto krzakami lasy oferują wiele ustronnych miejsc, które powinniśmy jednakże zachować w pamięci, by przestrzec dzieci zbierające dojrzałe borówki na działce przy *mokki* przed włożeniem ich bezpośrednio do ust. Fin spędza wakacje, weekendy oraz wolne dni wokół domku letniskowego, *mókilld*, w każdym razie nie w domku, *mókissd*.

Często zbyt pochopnie zakładamy, że przestrzeń i czas są dla nas wszystkich w jednakowym stopniu dostępne. Nonsens. W kraju mojej żony tak wiele zależy od przypadków. Na pewno słyszeli już Państwo o tym, że w języku fińskim rzeczownik odmienia się przez piętnaście przypadków, z czego Finowie są dumni, w niemieckim natomiast przez cztery. Temu, kto w czasach szkolnych na lekcjach języka łacińskiego łamał sobie głowę nad *ablative**,

* Ablativus - przypadek deklinacji łacińskiej odpowiadający w przybliżeniu polskiemu narzędnikowi, częściowo miejscownikowi lub dopełniaczowi z przyimkiem „od”.

muszę powiedzieć, że przy piątym przypadku Fin dopiero się rozgrzewa. Wszystkim innym zaś oznajmiam: to naprawdę jest trudne.

Proszę pozwolić mi to wyjaśnić. W języku fińskim właściwie nie występują przyimki. Po prostu ich nie ma. Nie wiem dlaczego. A więc to wszystko, co język niemiecki, i każdy inny choć trochę normalny język, wyraża tak ładnie za pomocą „z”, „u”, „do”, „od”, „w” „po” i jeszcze wielu innych przyimków, język fiński oddaje, sięgając za każdym razem po odpowiedni przypadek. Dołączane do słów końcówki wskazują na ten jeden z piętnastu.

Przykład: *mokki* oznacza domek letniskowy. A więc, kiedy chcemy powiedzieć „w domku letniskowym”, mówimy *móki-ssa*, na domku: *moki-lla*, iść do domku letniskowego: *móki-lle*, iść od strony domku letniskowego: *móki-ltd*, wyjść z domku letniskowego: *mokista*, wejść do domku: *mókkiin...* i tak dalej, podobnie w odniesieniu do każdego innego przedmiotu czy istoty żyjącej, które przyjdą nam do głowy.

To już samo w sobie jest zagmatwane, a ponieważ Fin uporządkowuje ponadto przestrzeń inaczej niż przeciętny mieszkaniec Europy Środkowej, staje się to jeszcze bardziej skomplikowane. Tutaj w kraju jeździ się *na* autobusie, *bussilla*, lub *na* samochodzie, *autolla*. Ale Finowie nie żyją *na*, lecz *w* ziemi, *maassa*, i noszą swoje czapki *w* głowie, *paassa*, podobnie jak skarpetki *w* stopach, *jalassa*. „Włóż swoje buty *w* nogi!” - *Kengat jalkaan!*, i tak robi każde fińskie dziecko, nie zgłaszając sprzeciwu. A kiedy Fin wraca do domu po wizycie u koleżanki,

którą właśnie bardzo polubił, mówi, że był *na Maarit, Maaritilla*.

Sprawa niezwykle delikatna.

Jakby tego było mało, zmienia się niekiedy i to dość istotnie temat wyrazu w zależności od końcówki dołączonej do przypadku. Każdy obcokrajowiec powinien być naprawdę szczęśliwy, jeśli uda się mu rozpoznać własne nazwisko na oficjalnych dokumentach.

MIEĆ LUB BYĆ

Z systemem piętnastu przypadków związane są oczywiście kolejne osobliwości, których rozum mieszkańca Europy Środkowej nie jest w stanie ogarnąć. I tak w języku fińskim nie występują czasowniki „mieć” lub „posiadać”. Ugrupowania radykalnej lewicy głoszą wprawdzie od dawien dawna, że własność to kradzież, ale w kraju mojej żony jest to przede wszystkim gramatyczny nonsens. Kształtowana przez tysiąclecia tęsknota za samowystarczalnym komunizmem wcielany w życie na obszarze chaty jest zauważalna także w warstwie językowej.

Spójrzmy na elementarne potrzeby człowieka: Mam pragnienie. Jak powie Fin? „*Minulla onjano*”. Końcówka „-lla”, tak, mają Państwo rację, to była końcówka przypadku, który odpowiada przyimkowi „na”. A więc w dosłownym tłumaczeniu zdanie to brzmi następująco: Na mnie jest pragnienie!

Tak myśli Fin. Tam na zewnątrz lata pragnienie i jeśli masz pecha, to siada na tobie i przyczepia się do ciebie. To samo dotyczy zgagi, pytań, batoników czekoladowych, garaży, kredytów i żon. Ich się nie ma, one są *na* mężczyźnie! Czasami one złapią ciebie, czasami ty je.

Wyjaśniłbym to w sposób następujący: według Fina człowiek posiada w zasadzie tylko to, co może mieć na własnym ciele - a więc *na* plecach. Ta myśl w odniesieniu do garaży i kredytów odnawialnych jest bez wątpienia mniej przekonująca, choć z drugiej strony możemy przyjąć z dużym prawdopodobieństwem, że Finowie byli narodem nomadów, który niósł swoje domostwo na plecach i unikał stałości zarówno w sferze budowlanej, jak i prywatnej. Tak rozumując, musimy przyjąć, że kobieta, która już nie jest na mężczyźnie, nie jest już jego kobietą. A pragnienie, głód, zgaga i temu podobne stany czyhają naprawdę na nas, podobne do krążących dookoła zjaw i demonów.

Nie jest to oczywiście wywód naukowy, raczej osobisty środek mnemotechniczny, *aasinsilta*. Muszę sięgać i po takie techniki, by nie oszaleć w tym kraju. Przecież chcę tu żyć.

Z fińskiego punktu widzenia można by opisać moją obecną sytuacją w sposób następujący:

Na mnie są pragnienie, upał oraz głód, jak również, za kilka godzin, żona, która leży teraz obok mnie. Mam co dźwigać. Jednak przede wszystkim nie powinienem być uciekać się do językowych prowokacji w stosunku do mojej żony. Nie powinienem być pogarszać mojej i tak już trudnej sytuacji. W każdym razie jest to kwestia kilku sekund, gdy imperium piętnastu przypadków odeprze mój atak z impetem.

- Wolf, nauczyłeś się już przemówienia, które wygłosisz podczas posiłku?

- Tak, moja Piękna. Znam je na pamięć.
- Powiedz je więc jeszcze raz!
- Jeszcze raz? Wczoraj rano wygłosiłem ci je aż trzy razy.
- Jeszcze raz. To jest ważne, aby moi krewni myśleli, że ty znasz fiński. Potem wszystko będzie prostsze.
- No więc dobrze. Najpierw Aulis wygłosi krótką mowę, tak?
- *Juu.*
- Potem ty po niemiecku, a następnie ja po fińsku.
- *Juu.* Powiedz więc jeszcze raz, tylko głośno i wyraźnie!
- Najśladza, ja nigdy nie mamroczę.
- Po fińsku tak. I zawsze zapominasz o dopełniaczu cząstkowym! Zawsze mówisz *kahvi* i *rosolli*, a przecież to brzmi tak nieuprzejmie. Naprawdę idiotycznie!

Dopełniacz cząstkowy, jak mogłem o nim zapomnieć! Należy powiedzieć *kahvi-a* i *rosolli-a*. *Kahvi* oznacza kawę, a *rosolli* rosolli - fińską sałatkę śledziową z dodatkiem ugotowanych buraków. Przepis ten jest znany - zostało to naukowo udowodnione! - od przeszło dwóch tysięcy lat. Coś takiego zrobi na pewno wrażenie na gościach z Niemiec. Nawiasem mówiąc, moja żona napomknie w swoim przemówieniu wygłaszanym w języku niemieckim, że *rosolli* barwi mocz na czerwono. W przeciwnym razie już następnego dnia po uroczystości musielibyśmy szukać starszych panów z mojej rodziny na urologicznej izbie przyjęć w Jyväskylä. A przecież chcemy tego uniknąć.

Powróćmy jednak do dopełniacza cząstkowego, do bez wątpienia najważniejszego przypadku w języku fińskim.

Jest używany szczególnie często na wszelkiego rodzaju przyjęciach. Ponieważ w dopełniaczu częściowym chodzi o część całości - ogólnie rzecz ujmując.

Kiedy fiński pan domu-gospodarz zadaje pytanie „*Haluatko kahvia?*”, to nie pyta, czy chcieliby wypić Państwo *jedną* kawę, lecz oferuje Państwu nieokreśloną ilość tego napoju z dostępnych na całym świecie zasobów, a swoją szczodrość sygnalizuje przez użycie końcówki „-a”.

Wiem, trudno jest to zrozumieć. Po co przywoływać od razu światowe rezerwy? Co oznacza nieokreślona część jakiejś całości? Hm, sam nie rozumiem tego zbyt dobrze. Najwidoczniej Fin chce mieć wszystko na oku.

I najwidoczniej naród, którego byt kształtowało przez wieki poczucie braku, chce zrekompensować sobie ten niedostatek przez użycie dopełniacza częściowego, jak również wskazać na ograniczone zasoby danego dobra. Miłośniku kawy, pamiętaj, może przyjść dzień, w którym zostanie zebrane ostatnio ziarno kawy...

Z mojego doświadczenia wynika, że uczestnicy fińskich uroczystości rodzinnych właśnie tak to odbierają. Patrząc na ilość kawy, jaką ciocie i wujkowie Pii wlewają w siebie za każdym razem, można odnieść wrażenie, że chcą wypić raz na zawsze, w ciągu kilku godzin globalne rezerwy. Finlandia zajmuje zresztą od lat najwyższe miejsca w światowym rankingu spożycia kawy. *Kahvi* to niemalże napój narodowy Finów.

Misterium zastosowania dopełniacza częściowego nie ogranicza się oczywiście wyłącznie do kawy, lecz dotyczy także rzeczy jadalnych oraz napojów alkoholowych. Szczególnie przy trunkach wysokoprocentowych

należy nadstawić uszu. Jedno „-a” więcej lub mniej i babskie spotkanie staje się orgią. Dlatego najrozsądniej jest oferować alkohol w pojedynczych, niezbyt dużych butelkach, stosując przy tym tryb rozkazujący: *Ota olut!* Weź to piwo! (wyłącznie jedną butelkę -* określoną ilość —> dopełniacz cząstkowy nie istnieje). Jest bardzo prawdopodobne, że będą musieli Państwo powtarzać to zdanie wielokrotnie, ale po czwartej butelce możecie zawsze ogłosić: *Meilla ei ole enaa olutta*. Nie mamy już piwa.

A wracając do dopełniacza cząstkowego, który odwołuje się do światowych rezerw określonego dobra, to należałoby podkreślić, że owe zasoby globalne są już same w sobie ilością nieokreśloną. W końcu nikt nie wie, jak duże są one naprawdę.

Trudna sprawa. Podobnie jak *partitiivi* w języku fińskim. Zainteresowanym polecam dogłębną lekturę pozycji poświęconej fińskiej gramatyce.

- Goście czekają - mówi moja Finka. Nic i nikt mi nie pomoże. Odchrząkuję, a następnie zwracam się do wyimaginowanej grupy osób.

Tervetuloa kaikille,

me olemme oikein iloisia, ettd te kaikki tulitte tahan juhlaan. Nytparijuttua: Me syömme nyt, olutja viini ovat tddlld, ruoka on tuolla ulkona, toisessa talossa, meilla on seisovassa pöydssd (puhvetissa), on sdmpylld, salaat-teja, muikkujja, rosollia, kallaa, lohta, valkosipulisillid ja lihaa, perunaa, sienia, kotikaljaa. Kakkua ja tiramisua,

kahvia ja konjakkia otamme myóhemmin. Tarkedd missd on vessa, jos teiddn tarvitsee mennd vessaan. Vessa on oikealla. Kiitos.

Witamy was wszystkich bardzo serdecznie!

Jesteśmy naprawdę, bardzo szczęśliwi, że wszyscy Państwo przybyli na te_L uroczystość. Pozwolę[^] sobie teraz na kilka wskazówek: znajdą Państwo przed sobą wyraźnie ograniczoną ilość wina i piwa, natomiast po nieograniczoną ilość rzeczy do jedzenia należy wyjść na zewnątrz, gdyż w drugim domu znajdują się_L stoły, na których wyłożono bułki, nieposolone plasterki ogórka салатowego, wędzoną sielawę[^], liczącą dwa tysiące lat салатkę[^] śledziową z gotowanym burakiem, łososią, śledzie w zalewie czosnkowej, mięsa, ziemniaki i bezalkoholowe lokalne piwo. A wszystko to w nieograniczonych ilościach, jakie oferują nam w chwili obecnej światowe rezerwy. Nieograniczone ilości ciasta i tiramisu oraz kawy i koniaku (słysząc wyraźny szept na sali!) pojawią się_L później! Jeśli be_Lda musieli Państwo skorzystać z toalety, to znajduje się_c ona po prawej stronie.

Dziękuję_L,

(Dosłowne tłumaczenie symultaniczne).

- *Hyvd* - mówi Pia i obdarowuje mnie nawet pocałunkiem. To najwyższa nagroda w jej języku. Jestem bardzo dumny.

- *Idziesz popływać?*

- *Nie, moja Piękna, idź sama. Muszę zebrać myśli.*

- Więc zbieraj.
- Jesteś pewna, że toaleta znajduje się po prawej stronie?
- Tak, po prrrrraaawej!
- Pytam tylko, ponieważ...
- Tak, tak, wiem dlaczego!

W DRODZE

- Teraz w prawo! W prrrrrrrrrrrrrraaaaaaaaawo!

Nie mogę skrócić w prawo. Po prawej stronie stoją gołe drzewa. Ponadto nie sądzę, aby moja żona chciała mnie zachęcić świadomie do staranowania naszym samochodem złodowaczego gaju brzozowego. Mówi w prawo, ale myśli w lewo. To zdarza się często. Właściwie jest to u niej codziennością. Gdybym za każdym razem słuchał tego, co moja Finka wykrzykuje mi do ucha, siedząc w samochodzie obok mnie, już od dawna nie żylibyśmy, w każdym razie na pewno nie razem.

Coś takiego istnieje tylko w relacjach międzyludzkich. Znają to na pewno Państwo, mam na myśli różnicę między tym, co partner nam mówi, a tym, co on lub ona chce nam powiedzieć. Nazywam to „małą różnicą”, nawet jeśli mam podstawy sądzić, że owa różnica w relacjach między mną a moją Finką jest trochę większa niż zazwyczaj.

Siedzimy na przykład w samochodzie, a moja żona mówi:

- Wieje! - Czyli chce powiedzieć: Wyłącz, proszę, wentylację!

Wyłączam więc wentylację, odczekuję pół minuty i mówię, tym razem ja:

- Wieje! - Ponieważ bez wentylacji wieje jeszcze bardziej, o tym wiemy oboje od dawna.

- Ach, te pinczery - narzeka moja żona.

Chce powiedzieć, że powinniśmy rozważyć zakup nowego samochodu.

Mamy francuski samochód, który, jak można się domyślić, nie jest odpowiednio przygotowany na srogie zimy. Moja żona nazywa Francuzów, nie wiem dlaczego, pinczerami. Łatwo jej mówić. W Finlandii już od wielu lat nie produkuje się samochodów. Stop, wkradła się pewna nieścisłość! Ależ oczywiście, że montuje się tu samochody, i to nie jakieś tam, tylko samochody terenowe firmy Porsche, świetnie przygotowane na zimę. Moja żona zna się na nich bardzo dobrze.

W chwili obecnej mam jednak inne zmartwienie, ponieważ droga przed nami ponownie się rozwidła. Na rozwidleniu stoi miejscowa kobieta. Solidnie opatulona z futrzaną czapą na głowie, bardzo stara i najwyraźniej niedosłysząca. Wsiadam więc z samochodu, palcem schowanym w welnianych, ręcznie robionych rękawiczkach rysuję na śniegu dom. Staruszka kiwa głową, krzyczy:

- *Oikeallal** - i idzie dalej swoją drogą, ponieważ we dług niej powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia.

Pia nie pyta. To kwestia dumy. Przecież już kiedyś była w domku letniskowym swojego ojca chrzestnego, miała

* W prawo (fiń.).

wtedy wprowadzie cztery i pół roku, ale pamięta dobrze drogę, więc nie potrzebuje pomocy.

- *Oikealla* - mówię i jadę ostrożnie, aby nie ugrzęznąć w śniegu naszym francuskim modelem z napędem na dwa koła.

- Przecież tak właśnie mówiłam - odpowiada moja Finka.

Po dziesięciu minutach jazdy przez zimowy las zaczynam się niepokoić, chociaż zdobyte z upływem czasu doświadczenie podpowiada mi, że prywatne drogi leśne mogą być w Finlandii zadziwiająco długie. Las tutaj jest po prostu większy. Jestem raczej pewny, że zrozumiałem prawidłowo głos dochodzący spod czapki z niedźwiedzia, a mimo to przypominam sobie o kursie językowym, który leży od kilku miesięcy w domu, w szufladzie mojego biurka: *Me puhumme suomea*, klasyczny zestaw dla początkujących, scenki z życia codziennego wraz z listą słówek i zeszytem ćwiczeń gramatycznych. W sumie trzy poziomy, I-III. Któregoś dnia chciałbym zaskoczyć moją żonę wyuczonymi umiejętnościami.

Kiedyś. Niebawem.

A jednak nachodzą mnie podczas wycieczek takich jak ta wątpliwości, czy byłoby to dla nas dobre rozwiązanie. Gdyby moja żona odniosła wrażenie, że znam fiński, wtedy natychmiast zaczęłyby mówić w samochodzie „*oikealla*” zamiast „w prawo” i „*vetda*” zamiast „wieje”. I gdybym w tej sytuacji zaufał w interpretacji jej wypowiedzi wyłącznie moim bardzo słabym umiejętnościom posługiwania się językiem fińskim i działał zgodnie z nimi, to dość szybko byłoby po nas.

W wersji niemieckiej czuję się zdecydowanie pewniej w samochodzie. Już jakiś czas temu przygotowałem sobie w głowie specjalny zeszyt z niemieckimi zwrotami mojej żony. Tytuł brzmi: *Niemiecki, którym posługuje się moja Finka*. W tym bardzo prywatnym zestawieniu językowym można znaleźć następujące wpisy:

W prawo: wskazanie kierunku, kciuk skrzyżowany wyraźnie w lewą stronę. Ale uwaga! W pewnych sytuacjach, szczególnie po trwającej dłużej podróży samochodem, używane również w znaczeniu „w lewo” (zobacz wpis: *W lewo*).

Pinczer, nazwa rodzajowa, w stanie wzburzenia utożsamiany z Francuzami, przede wszystkim w odniesieniu do ich roli, jaką odgrywają w produkcji małych samochodów.

Wieje: zwrot idiomatyczny; najczęściej w znaczeniu „Wyłącz wentylację!”, ale czasami także „Powinniśmy rozważyć zakup nowego samochodu”.

To się sprawdza. Ale tylko czasami, bo gdy gra idzie o wszystko, nie pomaga nawet mój prywatny, specjalny słownik. Skuteczne rozwiązywanie „małego problemu” nie leży bowiem w warstwie językowej. Nie pomoże ani fiński, ani niemiecki. W sprawach naprawdę drażliwych na nic zdadzą się słowniki czy gramatyczne reguły, gdyż one też nie wiedzą, co tak naprawdę chce mi powiedzieć moja żona.

Zrozumiałem to dopiero na wąskich leśnych drogach Finlandii. Miałem dostatecznie dużo czasu na rozmyślania. Cztery i pół godziny mroźnego milczenia, po an-

gielsku. Tyle czasu potrzebował Ukki, by odholować nas swoim fiatem do najbliższego autoryzowanego warsztatu naprawczego.

Wjechaliśmy w ścianę śniegu. W sam środek. Nagle skończyła się droga. Nie było nic, ani w lewo, ani w prawo. Warsztat naprawczy zaofertował mi natychmiast supercenę za samochód powypadkowy, o wiele więcej, niż mógłbym dostać kiedykolwiek w Niemczech. W każdym razie tak myślałem, dopóki nie otrzymałem wezwania z fińskiego urzędu podatkowego i celnego.

Od tego czasu nie mamy własnego samochodu, korzystamy z auta Ukkiego.

Przyrzekłem sobie, że coś takiego nie przydarzy mi się nigdy więcej. Jutro sprawdzę osobiście, gdzie znajduje się toaleta. A potem umieszczę tę informację w moim przemówieniu, poradzę sobie. „Po lewej stronie” to po fińsku *vasemmalla*. Nic trudnego. Tylko zawsze zapominam, jak jest „prosto”. Będę to musiał później sprawdzić. W *mokki* jest przecież słownik.

DRUGA ROZMOWA Z FRANZEM

Ktoś puka do niedużych drzwi *aitty*. Tym razem naprawdę. Nieśmiało, cicho.

- Wejź, wędrowcze! - wołam.

- Rami, to ja, wybacz, że przeszkadzam tak wcześnie, ale...

- Franz! Co ty tutaj robisz?

- Chciałem oddać spodnie. Niefortunna zamiana. Bardzo mi przykro.

- Nie ma sprawy. Czy poza tym wszystko w porządku?

- Co masz na myśli?

- No, ciebie i moje spodnie.

- O tak, zupełnie nieuszkodzone, nie mają nawet żadnej plamy - żartuje Franz i wchodzi do *aitty*. Śmierdzi jak Janne po treningu. - Gdzie mógłbym je odłożyć?

- Powieś na haku obok wejścia, tam gdzie wiszą teraz twoje spodnie.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli przebiorę się tu szybko?

- Nie. Wiesz, Franz...

- Tak?
- Czy mogę cię o coś zapytać? -
Jasne.
- Naszły mnie wątpliwości.
- Dostałeś cykora?
- W pewnym sensie tak. Wiesz, tak naprawdę to nie wiem, co mnie czeka, dzisiaj, tutaj...
- Po ślubie? W Finlandii?
- Tak. Rozumiesz mnie?
- Chyba trochę tak.
- Co masz na myśli, mówiąc „trochę”?
- Rami, jak dalece jest ci bliski dopełniacz częstokowy? -
pyta Franz i skacze na jednej nodze, na tej wsuniętej już w nogawkę spodni.
- Pia próbowała już wielokrotnie przybliżyć mi ten przypadek. Ale dlaczego pytasz?
- Ponieważ mówiąc po fińsku, można tylko częściowo zrozumieć drugiego człowieka. *Mina ymmarran sinua**.
- Aha.
- Podobnie jest z miłością. Po fińsku kocha się zawsze tylko jakąś część drugiej osoby, nigdy całego człowieka.
- Nie zauważyłem tego.
- A jednak tak jest: *Mina rakastan sinua***.
- Ale dlaczego? Zawsze uważałem, że kochać oznacza kochać całego człowieka, z całym jego bagażem ciała i duszy.
- Trudna sprawa - mówi Franz. - Nigdy nie widzimy i nigdy nie doświadczamy całego człowieka, lecz tylko jakąś jego część, tę, którą poznajemy z danej perspektywy.

* Ja cię rozumiem (fiń.). **
Kocham cię (fiń.).

Więc zawsze pozostaje to coś dotąd niepoznane. Podobnie jest z językiem.

- Tym także posługujemy się tylko częściowo?

- Tak. *Minapuhun suomea** - mówi Franz. - Ponieważ język zmienia się z każdym kolejnym zdaniem i ponieważ posługują się nim inni w rozmowie z innymi. A każdy na swój własny sposób. I to jest sens całości.

- Także dopełniacza częściowego?

- Między innymi - odpowiada Franz.

- Chcesz powiedzieć, że moja wiedza na temat tego, kogo dziś poślubię i co powiemy sobie wzajemnie przy oltarzu, jest częściowa? I że wszyscy Finowie zgromadzeni w kościele zdają sobie z tego sprawę?

- *Juu. Juu.* Ale powinieneś dostrzec też to, co jest pozytywne.

- Mianowicie?

- Zawsze jest coś do odkrycia. Jesteśmy przecież *ihmisiä* .

- I w Finlandii nigdy się to nie kończy? Odkrywanie i *partitiivil*

- Dopiero w krainie baśni.

- *Satumaassa*.

- *Juu. Juu* - mówi Franz i wiesza moje spodnie od ślubnego garnituru na gwoździu. - Idziesz popływać? Przydałaby się nam odrobina chłodnej wody.

- Dobry pomysł. Franz, powiedz, gdzie byłeś ostatniej nocy?

- *Ainolla*.

* Mówię po fińsku (fiń.).

** *Ihminen, ihmisen, ihmista* (fiń.) - człowiek.

- Rozumiem, na Aino.

Wychodzimy w światło poranka. Aino i Pia są już w wodzie. Jeszcze nigdy nie widziałem jeziora tak pięknie lśniącego błękitem.

Idealna kopia nieba.

KOTIIN - DO DOMU

NAS CZWORO

Słońce wysoko nad nami na błękitnoniebieskim niebie. Ukki umieszcza w bagażniku samochodu salaterki. Od wczesnego poranka trwa porządkowanie. Drewniane ławy, jedna na drugiej, czekają na transport. Drewniana podłoga pozamiatana. Lśni pustką to miejsce, gdzie jeszcze wczoraj sto niemiecko-fińskich ciał bawiło się razem wesoło. Był czas na milczenie, rozmowę, taniec i picie. Przykucnąłem na pniu starego drzewa obok parkingu przy budynku, gdzie świętuje się w Paippinen różnego rodzaju uroczystości. Niebiesko-białe balony w barwach narodowych Finlandii powiewają leniwie na sznurkach do suszenia bielizny. Przynajmniej nie zgubiłem moich spodni.

- *Ramilla on krapula** — stwierdza moja żona rzecz oczywistą.

Nie jest to niestety niemiecki, zwykły kac, lecz fiński *krapula*, który męczy ciało po wypiciu białego wina, fernet branca, *sahti* i *kossu*. Nie jestem pewien, czy powinienem wstać. Ruchy bolą bardziej niż myśli. Właśnie w takim stanie Matti Nykanen wygrał wiele noworocznych konkursów

* Rami ma kaca (fiń.).

skoków narciarskich. Jest to więc przede wszystkim kwestia siły woli. Naprzód. Wysił się. Pia pomaga mi dojść do samochodu. Na tylnym siedzeniu dopada mnie atak czkawki, a następnie wymioty. Z każdym z sześciu braci Aulisa wypilem kieliszek wódki. Za każdy kieliszek skurcz. Ten ostatni za wódkę z Yrjó.

- Pachniesz jak fiński mężczyzna - śmieje się moja żona, gdy wczłguję się ponownie do fiata.

Mummi przytakuje.

- *Se oli oikein hyva puhe*, Aulis - mówię. Wygłosił świetne przemówienie, naprawdę.

- *Juu, kiitos*.

Ubrany w uroczysty strój hobbita rodem z Śródziemia stał na podwyższeniu z notatkami w ręce, dumny i wyprostowany, nawet delikatny uśmiech pojawił się na jego twarzy. Stara mądrość mówi, rozpoczął swoje przemówienie, że córka wybiera na męża mężczyznę podobnego do swojego ojca. Swojego niemieckiego zięcia obserwował przez długich siedem lat, jak dotąd nie dostrzegł żadnych podobieństw.

To był oczywiście żart wieczoru. A potem zakończenie, w które wplótł kolejną mądrość, tym razem o mężczyźnie. Ten, który za żonę bierze dobrą kobietę, wykonuje zazwyczaj zawód czynny, jest więc lekarzem lub inżynierem, w przypadku złej kobiety, kończy jako filozof*. Aulis zastrzegł jednak, że nie wie, w jakim stopniu trafna jest ta mądrość w odniesieniu do obecnej tu młodej pary, ale z upływem lat zrozumiał, że nie jest w stanie wszystkie-

* Wolfram Eilenberger - niemiecki filozof i publicysta.

go pojąć, dlatego też życzy nowożeńcom przede wszystkim szczęścia. Jochen, mąż Venli, przyjaciółki Pii jeszcze z przedszkola, przetłumaczył przemówienie symultanicznie na język niemiecki.

Między Jochenem a Venlą zaiskrzyło przed przeszło dziesięcioma laty na balu studniówkowym, który odbywał się w Szkole Niemieckiej w Helsinkach. Ta szkoła byłaby odpowiednim miejscem także dla naszych dzieci. Nasi goście sprawiali wrażenie wyraźnie zaskoczonych i jednocześnie uradowanych tą wiadomością. Moja żona nie ogłosiła jednak, że to będą bliźniaki. Zawsze jest dobrze mieć coś w zanadru, powiedziała moja Finka głęboko o tym przekonana.

Towarzystwo było już wyraźnie rozbawione, gdy na podwyższenie weszli moi. W czwórkę, w hawajskich koszulach, w boa z piór i okularach przeciwsłonecznych w kształcie kwiatów. W tle słychać już było muzykę. Aby uniknąć językowych nieporozumień, rada rodziny zdecydowała się zaprezentować show z największymi przebojami Abby. Pełny playback. Mój ojciec jako Benny i Robert jako Björn. Ktoś musiał im jednak pomóc. A ponieważ Finowie cenią szczególnie tych, którzy dobrowolnie i konsekwentnie robią z siebie idiotów, znaleźli się szybko chętni.

Virpi jako pierwsza stanęła na drewnianej ławie, przyciskając mocno do siebie podwójnego doktora Minderera. I po kilku minutach szaleli już wszyscy. Najpierw / *Have a Dream*, potem *Gimme gimme gimme*, w końcu *Take a Chance on Me*.

A jednak Szwecja bywa trochę lepsza.

NA DYWANIE

Od Paippinen skręcamy w prawo na E75 w kierunku Joutsa. Ten trzypasmowy fragment autostrady jest najszerszy w całym kraju, ponieważ może służyć także jako pas do awaryjnego lądowania dla lotów krajowych. Wysokie ogrodzenia z drucianej siatki chroniące przed wtargnięciem losia na jezdnię ciągną się wzdłuż balustrad drogowych, za gajami świerkowymi wystaje miejscowa wieża ciśnień, a wieńcząca ją futurystyczna nadstawka przypomina niezidentyfikowany obiekt latający, UFO.

Mikę, który siedział podczas uroczystości przy stole z innymi gośćmi z zagranicy, wygłosił w poważnym tonie po raz kolejny tezę, że patrząc na Finów, bierze pod uwagę istnienie cywilizacji pozaziemskiej. W każdym razie jest to jego zdaniem najbardziej przekonujące wyjaśnienie uzasadniające istnienie tego narodu, a wszechobecne wieże ciśnień to nic innego jak wyrzutnie raketowe, z których Finowie zostaną wystrzeleni któregoś pięknego dnia, by powrócić do swojej ojczyzny na dalekiej planecie. Wtedy Francisco wyraził nadzieję, że może zabiorą ze sobą Basków.

To była piękna uroczystość.

- Nieprawdaż?

- Tak, to prawda - potwierdza moja żona i podaje mi półtoralitrową butelkę fińskiej pomarańczowej lemoniady. *Jaffa* to najlepszy na całym świecie środek przeciw *krapula*.

Ostrożnie. Tylko mały łyk. I jeszcze jeden. Kochać, pić, mieć nadzieję.

- Moja Piękna, czy Tarmo robił jeszcze później zdjęcia?

- Kilka.

Kuzyn Tarmo, którego wszyscy nazywają „Błyskawicą z Hame”. Hame jest sąsiednią prowincją od strony zachodniej. Jej mieszkańcy uważani są przez innych Finów za szczególnie powolnych i ostrożnych. I tak Tarmo pisze swoją pracę magisterską z zakresu literatury porównawczej już od 23 semestrów, a jej temat brzmi: „Kim jest autor?”.

Przed kilkoma laty wyjaśnił mi szczegółowo głęboki sens tego pytania. Pokonaliśmy wtedy - ja, Pia, Tarmo i jego przyjaciółka Cita - w siedem dni Pętlę Niedźwiedzia, *karhunkierros*. Przez tysiące lat nikt nigdy nie pytał o autora danego opowiadania, wartością samą w sobie była historia i sens jej dalszego przekazu, nic więcej. Dopiero druk typograficzny i powstały wraz z nim rynek księgarski powołały do życia postać autora. W kapitalistycznym świecie odgrywa on szczególną rolę, bo jeśli dziś kupuje się jeszcze książki, to tylko ze względu na autora, zakończył swój wywód Tarmo.

W ciągu tych siedmiu dni raz za razem szeptał sam do siebie, wyciągał wnioski, analizował. Kiedy w ostatni wieczór wyprawy grzaliśmy przy ognisku obolałe nogi, a ja zastanawiałem się nad tempem prowadzenia rozmowy

przez Tarmo, przyszła mi do głowy myśl, że nawiązuje on najpierw łączność z centralą ulokowaną na dalekiej planecie, a dopiero potem udziela odpowiedzi.

Mam więc nadzieję, że poradził sobie z nowym aparatem cyfrowym Raimo. W każdym razie lampa błyskała, błysnęła na pewno wtedy, gdy po krótkiej przerwie, która wywołała w kościele wśród niemieckich gości zatroskane mruczenie, moje usta wypowiedziały „*tahdon*”. Oczywiście, że chcę ją poślubić. Powiedziałem to łamiącym się głosem i z zaczerwienionymi od łez oczami. *Finlandia*, hymn Sibeliusa - to mnie przerosło. Już po pierwszym akordzie łzy płynęły strumieniami po moich policzkach, mocząc coraz bardziej fiński dywan, *ryijy*, utkany ręcznie na naszą uroczystość zaślubin. Ziemisty kolor i wzór złożony z rombów. Moja żona i ja klęczeliśmy na nim podczas ceremonii.

Mummi, chyba coś przeczuwając, zaczęła go tkąć ubiegłej jesieni. Siedziała nad nim przez dziewięć miesięcy, każdego wieczoru w *mokki*. *Ryijy* będzie zdobić ścianę za naszym łóżem małżeńskim do końca naszych dni, chroniąc nas przed lodowatymi porywami zimowego wiatru. Tak było od dawien dawna.

Nie byłem jednak w stanie podążyć za dwujęzycznym kazaniem wygłoszonym przez panią pastor Peltonen. Byłem za bardzo przejęty. Było podobno znakomite. Przede wszystkim pytanie przewodnie, czy dobre małżeństwo jest możliwe tylko w dobrym państwie, dało wiele do myślenia cioci Verze. Wspomniała mi o tym przy tiramisu, podczas gdy Urponen siedzący ławkę dalej zachwalał fińską biotechnologię jako „*next big thing*” i udzielał licznych wska-

zówek co do kupna odpowiednich akcji. Wujek Elmar notował to pilnie na swojej serwetce ze wzorem rozwiniętego maku firmy Marimekko.

Ukki wyprzedził traktor, jakby chciał zaliczyć naszym fiatem test losia. To nie jest przecież konieczne. Tak też powiedziała mu moja małżonka, wyraźnie i głośno, czyli po fińsku. Mummi natomiast trzymała mocno na kolanach dwie salaterki firmy iittala* przykryte folią aluminiową. Ziemiaków wystarczyło. Dzięki Bogu.

* Iittala (nazwa pisana często małą literą: iittala, by litery I nie mylić z L) - narodowe dobro Finlandii i zarazem synonim skandynawskiego designu; fińska firma projektowa i producent przedmiotów użytkowych, przede wszystkim zastawy stołowej. Stworzył ją nie Fin, lecz Szwed Petrus Magnus Abrahamson w 1881 roku.

PRZYJACIELE

- *Lotharin puhe oli kiva myös** - Aulis kiwa głową, redukując znacznie prędkość.

To prawda. Mój ojciec, po wypiciu trzeciej butelki białego wina, został obłożony surowym zakazem występowania. Wykorzystał jednak chwilę, gdy nikt go nie obserwował, i wśliznął się niczym zwinna kotka na podwyższenie. Udało mu się nawet wyrwać mikrofon w trakcie utworu mistrzowi tanga Veikko Lahtinenowi. Zastygliśmy w bezruchu przygotowani na najgorsze. Podziękował gorąco i to po angielsku, więc dobrze, nie musiał jednak popisywać się swoimi ledwo co nabytymi umiejętnościami w języku fińskim (*Lihapullaonkaunismaakarhunainen!*), ale na koniec przyszła mu do głowy myśl wręcz genialna, aby zacytować swojego, jak sam to wyraził - starego przyjaciela Winstona Churchilla - który i w tej kwestii miał rację: „Finlandio, pokaż, do czego są zdolni wolni ludzie”.

Wiwaty! Jeszcze nigdy nie słyszałem tak nielicznie wypowiedzianych *hópohopo*. Aulis ściągnął go ze sceny. I już wznosili głośne toasty *na zdarowje*, zachowując się

* Mowa Lotharina także była ładna (fiń.).

jak dwaj bracia, którzy odnaleźli się na nowo. Z każdym kolejnym łykiem mój ojciec proponował kolejnemu kompanowi przejście na ty:

- *Mina olen Lothar, tewetuloa!*

Moja matka, tak mi się wydaje, nie przeżyła tego *live*, tylko wymknęła się przezornie z sali jeszcze przed pierwszym słowem. Ale znów była na miejscu, gdy przyszedł czas na tango weselne, by już po kilku taktach, tak się umówiliśmy, uwolnić swego syna z ramion jego żony i porwać go do tańca. Przecież tak nakazuje niemiecka tradycja.

Ukki skręca na drogę 428 w kierunku Pertunmaa. Przecina ona w linii prostej soczystą zieleń niewysokich wzgórz pokrywających Finlandię Środkową. Ze wzniesień roztacza się piękna panorama na tak liczne tu jeziora, zalesione wyspy, które mienią się teraz błękitem, różem, czerwienią i... kolorem pomarańczowym?

- *Oliko sahti hyvaa?** - chce się dowiedzieć Mummi.

- *En muista* - odpowiadam zgodnie z prawdą, ponieważ naprawdę nie pamiętam.

Dość późno uwolniono *sahti* ze stalowych cylindrów, chyba wtedy gdy Aino próbowała zmotywować towarzystwo weselne do nocnego pływania w sadzawce w Paippinen. Oprócz pani pastor Peltonen nikt nie skorzystał z tej propozycji.

Na ostatnim wzniesieniu, gdzie stoi stara szkoła Anu--Mummi, widać grupę młodych ludzi. Anita, Boris i Anssi uwijają się, jakby tańczyli poloneza, a Juha i Corinna, trzy-

* Czy *sahti* było dobre? (fiń.).

mając się za ręce, kroczą tuż za nimi. Timo gestykuluje, jakby naprowadzał samolot odrzutowy, i jeśli nie zwodzą mnie moje osłabione zmysły, to dziesięć metrów dalej siedzą w polu rzepaku, przytuleni mocno do siebie, Gabriele i poczciwa Impi.

Ukki naciska raz za razem klakson, co sprawia mu, jak widać, ogromną przyjemność. Mummi natomiast rozdziela przez otwarte okno miłośnikom nocnych imprez ostatnie mięsne klopsiki. Sven i Markus planują w swoim domku letniskowym zorganizować jeszcze małe przyjęcie po dużym przyjęciu. Świetny pomysł. Niech się dobrze bawią. Pia podaje kilka butelek *jaffa*, a potem ruszamy dalej. Do domu.

W końcu dostrzegam nieduży znak z napisem *Petajarventie*. Moje ciało drży zgodnie z rytmem szutrowej drogi. Dreszcze, nudności, zimny pot.

- Źle się czujesz, Kuckelmann? - moja fińska żona obejmuje mnie czule.

- Jakoś to będzie, moja Piękna. - Jakoś będzie. Teoretycznie jestem bardzo szczęśliwy.

Przy ogrodzeniu, tuż pod lasem pasą się dwie krowy, *lehmid*, smagane letnim wiatrem. Stoją bardzo blisko siebie, są bardzo spokojne. Cudowne stworzenia. Nie potrzebują nowych pastwisk. Nawet o nich nie marzą.

KIITOS - DZIĘKUJĘ

Autor dążył w niniejszej książce do merytorycznej poprawności, przedstawiając fakty związane z historią, językiem, krajem, kulturą i zwyczajami Finów. Z pewnością nie udało się mu uniknąć podobieństw do osób żyjących lub tych, które odeszły. Ewentualne zgodności są jednak przypadkowe. Imiona i nazwiska osób prywatnych zostały zmienione lub wymyślone - moja żona, Pia-Maria Paivió, poprosiła mnie o to. Dziękuję przede wszystkim jej, jak również Ukkiemu, w którego *pompeli* powstała ta książka, a także Mummi, która tam nigdy nie weszła.

Szczególne podziękowania kieruję pod adresem Margit von Cossart, Nicoli Bartels i Michaela Gaeba.

Spis treści

Varhaiset opit - Początki.....	9
Saunassa - W saunie.....	35
Jarvi - Jezioro.....	57
Jumala - Bóg.....	71
Ihme ja kumma - Dziw nad dziwy.....	91
Kyy - Wąż.....	111
Sormus - Obrączka.....	133
Rakkaus - Miłość.....	157
Yollisia kuvia - Obrazy nocy.....	177
Urheilu - Sport.....	201
Kieli - Język.....	221
Kotiin - Do domu.....	243